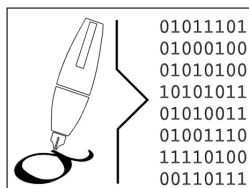


Stanisław Lem

Śledztwo

1959



Rozdział I

Staroświecka winda o szybach wyrzynanych w kwiatki sunęła w górę. Słysząc było miarowe szczykanie kontaktów na piętrach. Stanęła. Czterej mężczyźni szli korytarzem, mimo dnia paliły się lampy.

Obite skórą drzwi otwarły się.

— Pozwólcie, panowie — powiedział stojący w nich człowiek.

Gregory wszedł za doktorem ostatni. I tu było prawie ciemno. Za oknem stały we mgle nagie gałęzie drzewa.

Główny Inspektor wrócił do biurka, czarnego, wysokiego, z rzeźbioną balustradką. Miał przed sobą dwa telefony i płaski mikrofon wewnętrznej instalacji. Na wypolerowanej płycie leżała jego fajka, okulary i płatek zamszu, nic więcej. Siadając z boku, w głębokim fotelu, Gregory dostrzegł twarz królowej Wiktorii, patrzącą z małego portreciku nad głową Głównego Inspektora. Ten spojrział na nich kolejno, jakby ich liczył czy przypominał sobie ich twarze. Boczna ścianę zakrywała wielka mapa południowej Anglii, naprzeciw stała długa, czarna półka z książkami.

— Panowie orientujecie się w tej sprawie — powiedział Inspektor — którą ja znam tylko z protokołów. Dlatego chcę prosić o krótką rekapitulację faktów. Może pan zaszczepić, kolego Farquart.

— Tak, panie inspektorze, ale początek ja też znam tylko z protokołów.

— Na samym początku nawet protokołów nie było — zauważył Gregory nieco za głośno. Wszyscy spojrzeli na niego. Z przesadną nonszalancją, energicznymi ruchami jął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu papierosów.

Farquart wyprostował się w swoim fotelu.

— Rzecz zaczęła się mniej więcej w połowie listopada ubiegłego roku. Być może, pierwsze wypadki zaszły wcześniej, ale były bagatelizowane. Pierwszy meldunek policyjny dostaliśmy na trzy dni przed Bożym Narodzeniem i dopiero o wiele później, bo w styczniu, skrupulatne dochodzenia wykazały, że te historie ze zwłokami zdarzały się już poprzednio. Pierwszy meldunek pochodził z Engender. Miał on, ściśle rzecz biorąc, charakter półoficjalny. Nadzorca kostnicy, Plays, skarżył się komendantowi miejskiego posterunku, który, nawiasem mówiąc, jest jego szwagrem, że ktoś ruszał w nocy zwłoki.

— Na czym polegało to ruszanie?

Inspektor czyścił metodycznie okulary.

— Na tym, że zwłoki znajdowały się rano w innych pozycjach niż poprzedniego wieczora. Ściśle mówiąc, chodziło o jedne tylko zwłoki, zdaje się, pewnego topielca, który...

— „Zdaje się”? — wciąż tak samo obojętnym tonem powtórzył Główny Inspektor. Farquart jeszcze bardziej wyprostował się w fotelu.

— Wszystkie zeznania są wtórnymi rekonstrukcjami, bo podówczas nikt nie przywiązywał do nich wagi — wyjaśnił. — Nadzorca kostnicy nie jest teraz zupełnie pewny, czy szło właśnie o zwłoki tego topielca, czy jakieś inne. Zaszła w samej rzeczy nieformalność: komendant posterunku w Engender, Gibson, nie zaprotokołował tego doniesienia, bo myślał...

— Nie będziemy chyba wdawali się w podobne szczegóły? — rzucił ze swego fotela mężczyzna siedzący pod półką z książkami. Przybrał on najswobodniejszą pozę. Nogę założył na nogę tak wysoko, że widać było żółte skarpetki i pasek nagiej skóry nad nimi.

— Obawiam się, że to konieczne — odparł oschle Farquart, nie patrząc na niego. Główny Inspektor nałożył wreszcie szkła i twarz jego, dotąd jakby nieobecna, nabrała przychylnego wyrazu.

— Stronę formalną śledztwa możemy sobie darować, przynajmniej na razie. Proszę, niech pan mówi, kolego Farquart.

— Tak, panie inspektorze. Drugi meldunek mieliśmy z Planting, w osiem dni po pierwszym. Także i tam szło o to, że ktoś ruszał w nocy zwłoki w kostnicy cmentarnej. Zmarłym był robotnik portowy nazwiskiem Thicker, który chorował od dłuższego czasu i stanowił ciężar dla rodziny.

Farquart spojrział kątem oka na Gregory'ego, który poruszył się niecierpliwie.

— Pogrzeb miał się odbyć rano. Członkowie rodziny, zjawiwszy się w kostnicy, zauważyli, że zwłoki leżą na twarzy, to znaczy plecami do góry, i miały ponadto porozrzucone ręce, co wywołało wrażenie, że ten człowiek... ożył. To znaczy, tak sądziła rodzina. W okolicy poczęły krążyć plotki o letargu; mówiono, że Thicker zbudził się z pozornej śmierci i tak się przeląkł tego, że leży w trumnie, że umarł, tym razem już na dobre.

— Były to oczywiście bajki — podjął Farquart, — Zgon został stwierdzony przez miejscowego lekarza ponad wszelką wątpliwość. Gdy jednak plotki rozeszły się po okolicznych miejscowościach, zwrócono uwagę, że o tak zwanym „ruszaniu zwłok”, a w każdym razie o znajdowaniu ich, po upływie nocy, w zmienionej pozycji, ludzie mówili już od niejakiego czasu.

— Od „niejakiego”, to znaczy? — spytał Inspektor.

— Tego niepodobna ustalić. Plotki odnosiły się do Shaltam i Dipper. Z początkiem stycznia przeprowadzono pierwsze jako tako systematyczne śledztwo siłami miejscowymi, gdyż sprawa nie wydawała się poważna. Zeznania miejscowej ludności były częściowo przesadzone, częściowo sprzeczne, wyniki śledztwa właściwie bez wartości. W Shaltam szło o ciało Samuela Filtheya, zmarłego na udar serca. Miał się „przewrócić w trumnie” w noc Bożego Narodzenia. Grabarz, który tak twierdził, jest znany jako nałogowy alkoholik, jego słów nikt nie mógł potwierdzić. W Dipper znów szło o zwłoki umyślowo chorej kobiety, znalezione rano na ziemi obok trumny w kostnicy. Mówiono, że wyrzuciła je pasierbica, która zakradła się w nocy do kostnicy, a uczyniła to z nienawiści. Doprawdy niepodobna zorientować się w tych wszystkich plotkach i pogłoskach. Ograniczały się do podawania nazwiska rzekomo naocznego świadka, ten zaś odsyłał znów do kogoś innego.

— Sprawę odłożyłoby się pewnie „ad acta” — Farquart mówił teraz szybciej — lecz szesnastego stycznia z kostnicy w Treakhill znikły zwłoki niejakiego Jamesa Trayle’a. Sprawę tę prowadził sierżant Peel, odkomenderowany przez nasz CIC. Zwłoki usunięto z kostnicy między dwunastą w nocy a piątą rano, kiedy to przedsiębiorca pogrzebowy wykrył ich nieobecność. Zmarły był mężczyzną... lat bodajże czterdziestu pięciu...

— Pan nie jest pewny? — zagadnął Główny Inspektor. Siedział z pochyloną głową, jakby się przyglądał sobie w lustrzanej politurze. Farquart odkaszlnął.

— Jestem pewny. Tak mi się powiedziało... Otóż zmarł on wskutek zatrucia gazem świetlnym. Był to nieszczęśliwy wypadek.

— Sekcja? — podniósł brwi Główny Inspektor. Pochyliwszy się w bok, pociągnął za rękojeść, która odmykała lufciki. W nieruchome, nagrzane powietrze pokoju wpłynął wilgotny powiew.

— Sekcji nie było, ale o tym, że to był nieszczęśliwy wypadek, przekonaliśmy się dokładnie. W sześć dni później, 23 stycznia, zaszedł drugi wypadek, w Spittoon. Znikły tam zwłoki dwudziestoosmioletniego Johna Stevensa, robotnika, który uległ śmiertelnemu zatruciu dzień wcześniej, czyszcząc kocioł w gorzelnii. Zgon nastąpił koło trzeciej po południu, ciało odtransportowano do kostnicy, gdzie po raz ostatni widział je dozorca o dziewiątej wieczorem. Rano go już nie było. I tę sprawę prowadził sierżant Peel, jak w pierwszym wypadku, również bez wyników. Ponieważ w tym czasie nie braliśmy jeszcze pod uwagę możliwości zazębiana się tych dwu wypadków z poprzednimi...

— Może zechce pan na razie wstrzymać się od komentarzy, dobrze? To ułatwi nam przegląd faktów — zauważył Główny Inspektor. Uśmiechnął się uprzejmie do Farquarta. Suchą, lekką rękę położył na biurku. Gregory zapatrzył się mimo woli w tę starczą dłoń bez rysunku żył, zupełnie bezkrwistą.

— Trzeci wypadek zaszedł w Lovering. To jest już w obrębie Wielkiego Londynu — mówił dalej Farquart matowym głosem, jakby stracił ochotę do kontynuowania swej

przydługiej relacji. — Wydział lekarski ma tam swoje nowe prosektoria. Zginęły z nich zwłoki pięćdziesięcioletniego Stewarta Aloneya, zmarłego na przewlekłą chorobą tropikalną, której nabawił się jako marynarz podczas rejsu do Bangkoku. Wypadek ten zdarzył się dziewięć dni po drugim zniknięciu, drugiego lutego, to znaczy w nocy z drugiego na trzeciego. Tym razem śledztwo objął Yard. Prowadził je porucznik Gregory, który potem objął jeszcze jedną sprawę: zniknięcia zwłok z kostnicy podmiejskiego cmentarza w Bromley. Stało się to dwunastego lutego, chodziło o zwłoki kobiety zmarłej po operacji raka.

— Dziękuję panu — powiedział Główny Inspektor. — Dlaczego sierżant Peel jest nieobecny?

— Choruje, panie inspektorze. Leży w szpitalu — odezwał się Gregory.

— Tak? A co mu jest?

Porucznik zawahał się.

— Nie jestem pewny, ale zdaje mi się, że coś z nerkami.

— Panie poruczniku, może pan streści nam teraz przebieg śledztwa?

— Tak, panie inspektorze.

Gregory odchrząknął, zaczerpnął tchu i, strzepując popiół obok popielniczki, powiedział niespodzianie cicho:

— Nie mam się czym poszczycić. Zwłoki znikły we wszystkich przypadkach w ciągu nocy. Na miejscu nie było żadnych śladów ani oznak włamania. W kostnicach było to zresztą niepotrzebne. Na ogół nie są zamykane albo tak, że otworzy je dziecko zgiętym gwoździem...

— Prosektorium było zamknięte — odezwał się po raz pierwszy lekarz policyjny, Sörensen. Siedział z głową odrzuconą do tyłu, uchodził wówczas uwagi jej niemiły kanciasty kształt. Masował delikatnie palcem podpuchłą skórę pod oczami.

Gregory zdążył pomyśleć, że Sörensen dobrze zrobił obierając zawód, w którym przestaje przeważnie z nieboszczykami. Skłonił się z dworską niemal uprzejmością przed doktorem.

— Wyjął mi pan to z ust, doktorze. Na sali, z której znikły zwłoki, odkryliśmy otwarte okno. To znaczy, było przymknięte, ale nie zamknięte, jakby ktoś przez nie wyszedł.

— Pierwej musiał wejść — niecierpliwie rzucił Sörensen.

— To świetne spostrzeżenie — odpalił Gregory, pożałował tego i zerknął na Głównego, który milczał, nieruchomy, jakby nic nie słyszał.

— Sala ta mieści się na parterze — podjął porucznik po sekundzie niezręcznego milczenia. — Wieczorem okno było zamknięte jak inne, tak brzmia zeznania służącego, który obstawał przy tym, że wszystkie okna były zamknięte. Sam to sprawdzał, ponieważ brał mróz i obawiał się, że mogą zamarznąć kaloryfery. Tam i tak mało palą, jak to w prosektorjach. Profesor Harvey, zawiadujący katedrą, wystawił służącemu najlepszą opinię. Ma to być człowiek wręcz nadmiernie pedantyczny. Można mu bezwzględnie wierzyć.

— Gdzie można się ukryć w tym prosektorium? — spytał Główny Inspektor. Popatrzył na zebranych, jakby na nowo uprzytomnił sobie ich obecność.

— Więc to... jest właściwie wykluczone, panie inspektorze. Wymagałoby to współnictwa służącego. Poza stołami sekcyjnymi nie ma tam żadnych mebli, ciemnych kątów, schowków... Są szafki w ścianach na płaszcze studentów i narzędzia, ale w żadnej nawet dziecko by się nie zmieściło.

— Czy pan rozumie to dosłownie?

— Proszę?

— Więc — dziecko też nie? — spytał spokojnie Inspektor.

— No... — porucznik zmarszczył brwi. — Dziecko panie inspektorze, zmieściłoby się, ale najwyżej siedmio-, ośmioletnie.

— Czy pan mierzył te szafki?

— Tak — padła natychmiastowa odpowiedź. — Mierzyłem wszystkie, bo myślałem, że któraś jest może większa, ale nie. Żadna. Poza tym są ubikacje, toaleta, sale do ćwiczeń, w piwnicy — chłodnia i magazyn preparatów, a na piętrze — pokoje asystentów i gabinet profesora. Wszystkie te pomieszczenia służący obchodzi wieczorem, nawet po kilka razy, z własnej gorliwości, że tak powiem. Mówił mi o tym profesor. Nikt nie mógł się tam ukryć.

— A gdyby dziecko...? — poddał miękko Inspektor. Zdjął okulary, jakby rozbierał ostrość spojrzenia. Gregory potrząsnął energicznie głową.

— Nie, to niemożliwe. Dziecko nie otworzyłoby okna. To są bardzo wielkie, wysokie okna z dwoma zamkami, na górze i na dole, które uruchamia tkwiąca we framudze dźwignia. Podobnie jak tutaj — Gregory wskazał na okno, z którego ciągnął zimny wiew. — Te dźwignie chodzą bardzo ciężko, służący skarżył się nawet na to. Sam zresztą próbowałem.

— On zwracał uwagę na to, jak ciężko chodzą? — powiedział Sörensen ze swym tajemniczym uśmiechem, którego Gregory nie cierpiał. Przemilczałby to pytanie, ale Główny Inspektor patrzył na niego wyczekująco, odrzekł więc niechętnie:

— Służący powiedział mi o tym, dopiero gdy przy nim otwierałem i zamykałem okna. Jest to nie tylko pedant, ale porządny nudziarz. Zręda — oświadczył dobitnie Gregory, patrząc niby to przypadkiem na Sörensen. Był z siebie zadowolony. — To zresztą naturalne w tym wieku — dodał pojednawczo — koło sześćdziesiątki, sklero... — Urwał, zmieszany. Inspektor nie był młodszy. Próbował rozpaczliwie wymanewrować z ostatnich słów, ale nie umiał. Obecni trwali w absolutnej nieruchomości. Gregory wziął im to za złe. Główny Inspektor nałożył okulary.

— Czy pan skończył?

— Tak — Gregory wahał się — właściwie tak. To znaczy, co się tyczy tych trzech wypadków. W ostatnim zwróciłem szczególną uwagę na otoczenie, mam na myśli przede

wszystkim nocny ruch w okolicy prosektorium. Konstable, którzy mieli w tym rejonie służbę, nie zauważyli nic podejrzanego. Kiedy objąłem sprawę, dowiedziałem się możliwie dokładnie o szczegółach poprzednich wypadków, zarówno od sierżanta Peela, jak i bezpośrednio: byłem w tych wszystkich miejscowościach. Nie znalazłem jednak żadnej nici, żadnego śladu. Nic, zupełnie nic. Kobieta, która zmarła na raka, znikła z kostnicy w podobnych okolicznościach, jak ów robotnik. Rano, gdy przyszedł ktoś z rodziny, trumna była pusta.

— Tak — powiedział Główny Inspektor. — Na razie dziękuję panu. Kolego Farquart, może pan teraz?

— Mam przejść do następnych? Tak, panie inspektorze.

„Powinien służyć w marynarce, zachowuje się jak przy porannym podnoszeniu flagi, i to przez całe życie” — pomyślał Gregory. Zachciało mu się westchnąć.

— Następne zniknięcie nastąpiło w Lewes siedem dni później, dziewiętnastego lutego. Szło o młodego robotnika portowego, który uległ wypadkowi samochodowemu. Doznał wewnętrznego krwotoku wskutek pęknięcia wątroby. Był operowany z sukcesem, jak mówili lekarze... ale nie wytrzymał operacji. Zwłoki znikły nad ranem. Czas mogliśmy określić z wyjątkową dokładnością, ponieważ koło trzeciej nad ranem zmarł niejaki Burton, którego siostra (on mieszkał z siostrą) tak bała się pozostawać z nieboszczykiem w jednym mieszkaniu, że postawiła na nogi właściciela zakładu pogrzebowego. Zwłoki zawieziono więc do kostnicy właśnie o trzeciej nad ranem. Dwaj pracownicy tego zakładu położyli ciało obok ciała tego robotnika...

— Pan chciał coś powiedzieć? — poddał Główny Inspektor.

Farquart przygryzł nieznacznie wąż.

— Nie... — powiedział wreszcie.

Nad gmachem dał się słyszeć przeciągły, narastający miarowo grzmot motorów lotniczych. Niewidzialny samolot przeleciał na południe. Szyby odezwały się cichym unisono.

— To znaczy... — zdecydował się Farquart — składając przyniesione zwłoki, jeden z posługaczy przesunął trupa tego robotnika, gdyż utrudniał mu dostęp. Otóż... on twierdzi, że to ciało — nie było zimne.

— Mhm — przytaknął Główny Inspektor, jakby szło o rzecz najzwyczajszą w świecie. — Nie było zimne? A jak on to określił? Czy potrafi pan powtórzyć jego słowa?

— Powiedział, że nie było zimne — Farquart mówił niechętnie, robiąc przerwy między słowami. — To brzmi idiot... to jest bezsensowne, ale ten posługacz upierał się, że tak było. Twierdzi, że powiedział to swemu towarzyszowi, ale tamten o niczym nie pamięta. Gregory przesłuchiwał ich obu, osobno, dwa razy...

Główny Inspektor bez słowa zwrócił twarz ku porucznikowi.

— Cóż, to bardzo gadatliwy i niezbyt wiarygodny człowiek ten posługacz — pospieszył z objaśnieniem Gregory. — Takie odniosłem wrażenie. Facet z gatunku głupich, co to ogromnie lubią skupiać na sobie uwagę, gotów w odpowiedzi na każde pytanie opowiadać historię świata. Upierał się, że to był letarg „albo jeszcze gorzej” — to jego wyrażenie. Skądinąd zdziwiło mnie to, bo ludzie zawodowo pracujący przy zwłokach w le-targi nie wierzą, temu przeczy ich doświadczenie.

— A co mówią lekarze?

Gregory milczał, oddając głos Farquartowi, który, jakby niezadowolony, że błahostce poświęca się tyle uwagi, rzekł, wzruszając ramionami:

— Zgon nastąpił poprzedniego dnia. Wystąpiły plamy opadowe, stężenie pośmiertne... był nieżywy jak kamień.

— Czy jeszcze coś...?

— Tak. Podobnie jak w poprzednich wypadkach, zwłoki były ubrane do pochówku. Tylko zwłoki Trayle’a, które znikły w Treakdown, nie były ubrane. Przedsiębiorca pogrzebowy miał się tym zająć dopiero nazajutrz. Stało się tak dlatego, ponieważ rodzina nie chciała zrazu dać ubrania. To znaczy zabrała je. A kiedy przynieśli inne, ciała już nie było...

— A w innych wypadkach, powiada pan?

— Zwłoki tej kobiety też były ubrane. Tej po operacji raka.

— Jak?

— No... w suknię.

— A buciki? — spytał Główny Inspektor tak cicho, że Gregory pochylił się do przodu.

— Buciki też miała...

— A ostatnie?

— Te ostatnie... otóż, nie były ubrane, ale równocześnie (jak można sądzić) znikła zasłona, która odgradzała niewielką wnękę w głębi kostnicy. Była to czarna płachta, poruszająca się na pręcie, a zawieszona na metalowych kółkach, do których była przyszyta jak portiera. Na tych kółkach zostały strzępy płótna.

— Została zdarta?

— Nie. Pręt jest cienki i nie wytrzymałby mocnego szarpnięcia. Ten strzęp...

— Pan próbował złamać ten pręt?

— Nie.

— Więc skąd pan wie, że nie wytrzymałby?

— Tak, na oko...

Główny Inspektor zadawał pytania spokojnie, wpatrując się w szkło szafki, odbijające prostokąt okienny, czynił to jakby myśląc o czymś innym, a jednak padały one po sobie szybko, tak szybko, że Farquart ledwo nadążał z odpowiedziami.

— Dobrze — zakonkludował Główny Inspektor. — Czy te strzępy były badane?

— Tak. Doktor Sörensen...

Lekarz przestał masować swój spiczasty podbródek.

— Płótno zostało przerwane, czy raczej przetarte ze znacznym mozołem, a nie odcięte. To pewne. Tak jakby je... jakby je ktoś odgryzł. Zrobiłem nawet parę prób. Obraz mikroskopowy jest taki sam.

W krótkim milczeniu, które zapanowało, odezwał się daleko silnik samolotowy, stłumiony przez mgłę.

— Czy oprócz tej zasłony jeszcze coś zginęło? — spytał wreszcie Inspektor.

Doktor spojrział na Farquarta, który skinął głową.

— Tak. Rolka plastra, duża rolka plastra, zapomniana na stoliku przy drzwiach wejściowych.

— Plaster? — uniósł brwi Inspektor.

— Oni go używają do podtrzymania brody... żeby szczeka nie opadała — wyjaśnił Sörensen. — Kosmetyka grobu — dodał z sardonicznym uśmiechem.

— To wszystko?

— Tak.

— No, a zwłoki z prosektorium? Czy też były ubrane?

— Nie. Ale tę sprawę... o tym wypadku mówił już Gregory...

— Zapomniałem o tym powiedzieć — zaczął szybko porucznik z nieprzyjemnym uczuciem, że przyłapano go na roztargnieniu. — Ciało było nie ubrane, ale służący nie mógł się dorachować jednego płaszcza lekarskiego i paru białych płóciennych spodni, jakich studenci używają w lecie. Podobno brakło też kilku par tekturowych trepów. Co prawda, mówił mi, że tych rzeczy nigdy nie może się doliczyć, podejrzewał praczkę o niedbalstwo, a nawet o kradzież.

Inspektor odetchnął głęboko i stuknął okularami w biurko.

— Dziękuję. Doktorze Sciss, czy mogę teraz pana prosić?

Sciss nie zmienił swej nonszalanckiej pozy. Mruknął coś niewyraźnie, kończąc pośpiesznie notować w otwartej teczce, którą podtrzymywał ostrym, wysoko uniesionym kolanem.

Przekrzywiwszy ptasią głowę, trochę już łysiejącą, z rozmachem zamknął teczkę. Schował ją pod fotel, wydłużył cienkie wargi, jakby chciał gwizdnąć, i wstał, zacierając ręce o wydatnych, artretycznych stawach.

— Zaproszenie mnie traktuję jako pożyteczne novum — powiedział wysokim głosem, zatrącającym o falset. — Z natury rzeczy popadam łatwo w ton wykładu, co może panom nie odpowiadać, ale jest to nie do uniknięcia. Serię, o której mowa, zbadałem — o ile było to możliwe. Klasyczne metody śledztwa — kolekcjonowanie śladów i poszukiwanie motywów — zawiodły zupełnie. Musiałem zatem użyć metody statystycz-

nej. Cóż ona daje? Na miejscu przestępstwa można często określić, jaki fakt ma z nim związek, a jaki nie. Na przykład kształty krwawych plam w pobliżu zwłok zamordowanego mają związek ze zbrodnią i mogą sporo rzec o jej przebiegu. Natomiast fakt, czy w dniu zabójstwa płynęły nad domem cumulusy czy cirrostratusy albo też czy druty telefoniczne przed domem są z aluminium, czy z miedzi, można uznać za nieistotny. Co się natomiast tyczy naszej serii, to z góry niepodobna w ogóle określić, jakie fakty towarzyszące były związane z przestępstwem, a jakie nie.

— Gdyby zaszedł jeden tylko wypadek — ciągnął Sciss — bylibyśmy bezradni. Szczęśliwie zdarzyło się ich więcej. Oczywiście, że ilość przedmiotów i zjawisk, jakie w krytycznym czasie znajdowały się czy zachodziły w pobliżu miejsca wydarzeń, jest praktycznie nieskończona. Że jednak mamy przed sobą serię, musimy oprzeć się na tych głównie faktach, które towarzyszyły wszystkim bądź prawie wszystkim wypadkom. Będziemy zatem postępowali metodą statystycznego zestawiania zjawisk. Metoda ta nie była dotąd prawie stosowana w śledztwie i rad jestem, że mogę panom ją dzisiaj przedstawić — wraz z pierwszymi jej wynikami...

Doktor Sciss, który stał dotąd za swoim fotelem, jak za katedrą, zrobił na długich nogach kilka kroków w stronę drzwi, zawrócił niespodzianie, przekrzywił głowę i ciągnął, patrząc w przestrzeń między siedzącymi:

— Otóż, po pierwsze, mieliśmy przed zjawiskiem właściwym stadium — nazwiemy je tak umownie — „zwiastunów”. Zwłoki zmieniały pozycję. Jedne obrócono plecami do góry, inne na bok, inne znów znaleziono na ziemi obok trumny.

Po drugie, wszystkie, które znikły, z jednym wyjątkiem, były zwłokami mężczyzn w sile wieku.

Po trzecie, za każdym razem, z wyjątkiem znów pierwszego, zatroszczono się o jakieś okrycie dla ciała. Dwa razy było to ubranie, raz prawdopodobnie płaszcz lekarski i białe spodnie, a raz — czarna płócienna zasłona.

Po czwarte, zawsze były to zwłoki nie poddane sekcji, dobrze zachowane i możliwie nie uszkodzone. Od śmierci upłynęło w każdym przypadku nie więcej niż trzydzieści godzin. I to godne jest uwagi.

Po piąte, wszystkie wypadki, znowu z wyjątkiem jednego, nastąpiły w kostnicy cmentarnej małego miasteczka, do której dostęp jest z reguły dość łatwy. Nie daje się tylko włączyć tu zniknięcia ciała z prosektorium.

Sciss zwrócił się do Inspektora:

— Potrzebny mi jest silny reflektor. Czy mogę dostać coś takiego?

Inspektor włączył mikrofon i powiedział cicho kilka słów. W zaległym milczeniu Sciss wydobywał powoli ze swej obszernej jak miech skórzanej torby złożony wielokrotnie arkusz kalki, pokrytej kolorowymi rysunkami. Gregory przypatrywał się temu odczuwając mieszaninę niechęci i ciekawości. Drażniła go wyższość, jaką okazywał im

naukowiec. Zdusił papierosa i usiłował na próżno zorientować się, co kryje płachta kalki, szeleszcząca w nieporadnych rękach Scissa.

Ten naddarł ją z boku, położył na biurku, wygładził przed nosem Inspektora, niby go nie dostrzegając, podszedł do okna i zaczął wyglądać na ulicę, trzymając się jednocześnie palcami jednej ręki za przegub drugiej, jakby liczył uderzenia pulsu.

Drzwi otwarły się, wszedł policjant z aluminiowym reflektorem na wysokim statywie i włączył go do kontaktu. Sciss zaśwycił lampę, zaczekał, aż drzwi zamkną się za policjantem, i skierował mocny krąg światła na wielką mapę Anglii. Potem nakrył kalką mapę. Ponieważ mapa nie przezierała spod mlecznego papieru, zabrał się do przesuwania reflektora. Zdjął też mapę ze ściany (przy czym niebezpiecznie zachwiał się na krześle) i niezgrabnie rozwiesił ją na wieszaku, który przeciągnął z kąta na środek pokoju. Reflektor umieścił z tyłu, tak że teraz jego blask prześwietlał na wylot mapę i nałożoną na nią kalkę, którą trzymał w szeroko rozpostartych rękach. Była to pozycja — z wyprostowanymi i wzniesionymi ramionami — nad wyraz niewygodna.

Sciss przesunął jeszcze stojak nogą, wreszcie znieruchomiał. Trzymając kalkę u samej góry, odezwał się, zwracając głowę w bok:

— Proszę zwrócić uwagę na okolicę, w której zdarzyły się nasze wypadki.

Głos doktora był jeszcze wyższy niż przedtem, może z powodu starannie ukrywanego wysiłku.

— Pierwsze zniknięcie nastąpiło w Treakhill, szesnastego stycznia. Proszę zapamiętać miejsca i daty. Drugie — dwudziestego trzeciego stycznia — w Spitton. Trzecie w Loring, drugiego lutego. Czwarte — w Bromley, dwunastego lutego. Ósmego marca w Lewes zaszedł wypadek ostatni. Jeżeli za punkt wyjściowy przyjmiemy miejsce pierwszego wypadku i zatoczmy wokół niego rosnącym promieniem koła, to stwierdzimy to, co przedstawia rysunek na mojej kalce.

Plama światła mocno i wyraźnie odgraniczała część południowej Anglii, przylegającą do Kanału. Pięć współśrodkowych kół obejmowało pięć miejscowości, zaznaczonych czerwonymi krzyżykami. Pierwszy widniał w centrum, następne coraz dalej ku obwodowi największego koła.

Gregory zmęczył się już niemal oczekiwaniem na objawy znużenia Scissa, którego ręce wzniesione w górę i trzymające brzeg kalki nawet nie zadrżały.

— Jeżeli panowie będą sobie tego życzyli — powiedział ostrym głosem Sciss — to mogę później przedstawić szczegóły mych obliczeń. Teraz podam tylko ich wynik. Każdy wypadek następował w ten sposób, że im później się zdarzał, tym dalej był położony od ośrodka, to jest miejsca pierwszego. Występuje nadto druga prawidłowość: czasy między poszczególnymi wypadkami są, licząc od pierwszego, coraz dłuższe, nie tak, co prawda, aby miały się do siebie w jakiejś określonej proporcji. Jeżeli jednak uwzględnić dodatkowy czynnik — temperaturę — to okaże się, że zachodzi pewna nowa regu-

larność. Mianowicie iloczyn z czasu, jaki upłynął między dwoma wypadkami, i odległości dzielącej dwa kolejne miejsca zniknięcia ciał od centrum, staje się wielkością stałą — gdy pomnożyć go przez różnicę panującej w obu razach temperatury...

— W ten sposób — podjął po chwili Sciss — otrzymujemy liczbę stałą o wielkości pięć do dziewięciu centymetrów na sekundę i stopień. Mówię pięć do dziewięciu, ponieważ dokładny moment zniknięcia nie został w żadnym wypadku stwierdzony. Zawsze mamy do czynienia z szerokim, kilkugodzinnym przedziałem czasu, w ciągu nocy albo ściślej: w drugiej połowie nocy. Jeżeli za wartość rzeczywistą stałej przyjmiemy średnią siedem centymetrów, to wówczas po dokonaniu obliczeń, które zrobiłem, uderza ciekawa rzecz. Przyczyna zjawiska, które posuwało się miarowo od środka ku obwodowi tego obszaru, nie leży w Treakhill, ale jest przesunięta w stronę zachodnią, ku miejscowościom Timbridge-Wells, Engender i Dipper... to znaczy tam, gdzie krążyły pogłoski o „ruszaniu” trupów. Jeśli zaś ważyć się na eksperyment, polegający na zupełnie już ścisłym umiejscowieniu punktu stanowiącego geometryczne centrum zjawiska, — to znajdzie się on nie w żadnej kostnicy, ale osiemnaście mil na południowy zachód od Shaltam — na terenie moczarów i nieużytków Chinchess...

Inspektor Farquart, który słuchał tego wywodu z czerwieniącym coraz bardziej karkiem, nie wytrzymał.

— Czy pan chce przez to powiedzieć — wybuchnął — że z tych przeklętych bagien wylazł jakiś duch, który płynąc powietrzem, niewidzialny, porywał kolejno jedne zwłoki za drugimi?!

Sciss związał powoli swój rulon. W świetle ukrytego reflektora, chudy i czarny na tle zielonkawo jaśniejącej mapy, podobny był bardziej niż kiedykolwiek do ptaka (bagiennego — dodał w duchu Gregory). Schował starannie kalkę do swej przepaścistej teczki i wyprostowawszy się, z twarzą naznaczoną czerwonymi plamami, popatrzył zimno na Inspektora.

— Nic nie chcę powiedzieć poza tym, co wynika ze statystycznej analizy — oświadczył. — Istnieją związki bliskie, na przykład między jajkami, wędzonką i żołądkiem, oraz związki odległe, trudniej dostrzegalne, na przykład między politycznym ustrojem kraju a przeciętnym wiekiem zawierania małżeństw. Zawsze jednak chodzi o określoną korelację, dającą podstawy do mówienia o skutkach i przyczynach.

Dużą, starannie złożoną chustką do nosa wytarł drobne kropelki potu znad górnej wargi, schował chustką do kieszeni i ciągnął dalej:

— Ta seria wypadków jest trudna do wyjaśnienia. Należy się powstrzymać od jakichkolwiek uprzedzeń. Jeślibym miał się spotkać z nimi ze strony panów, zmuszony będę porzucić tę sprawę, jak i współpracę z Yardem.

Wyczekał chwilę, jakby w nadziei, że ktoś podejmie rzuconą rękawicę, po czym, podszedłszy do ściany, zgasił reflektor. Zrobiło się prawie zupełnie ciemno. — Sciss szukał przez chwilę kontaktu wodząc ręką po ścianie.

Blask sufitowej lampy zmienił pokój. Stał się pozornie mniejszy, a oślepiiony, mrugający oczami Główny Inspektor przez mgnienie przypomniał Gregory'emu jego starego wuja. Sciss wrócił do mapy.

— Gdy podjąłem badania, od pierwszych dwu wypadków upłynęło już tyle czasu, albo, żeby nie upiększać, policja poświęciła im w swych „dossiers” tak mało uwagi, że ścisła rekonstrukcja faktów, pozwalająca stwierdzić, co się działo godzina po godzinie, była rzeczą niemożliwą. Ograniczyłem się zatem do pozostałych trzech wypadków. We wszystkich trzech panowała mgła — dwa razy gęsta, a raz nadzwyczaj gęsta. Nadto w promieniu kilkuset metrów przejeżdżały rozmaite samochody — nie było, co prawda, żadnych „podejrzanych”, ale nie bardzo wiem, na czym miałyby się takie podejrzenie oprzeć. Przecież nikt nie wybierałby się na podobną wyprawę autem z napisem „przewóz skradzionych ciał”? Auto mogłoby ewentualnie parkować w dość znacznej nawet odległości od miejsca kradzieży. Wreszcie dowiedziałem się, że we wszystkich trzech wypadkach w okresie zmierzchu (przypominam, że zniknięcie następowało zawsze nocą) zauważono w pobliżu... — Sciss zrobił maleńką przerwę i głosem cichym, lecz dobitnym zakończył: — ...jakieś zwierzę domowe, którego tam normalnie nie spotykano, a przynajmniej, którego moi rozmówcy nie znali i nigdy tam nie widzieli. Dwa razy był to kot, a raz pies.

Rozległ się krótki śmiech, który przeszedł zaraz w lichą imitację kaszlu. Śmiał się Sörensen. Farquart ani się nie poruszył, ani odezwał, nawet gdy Sciss robił wątpliwe dowcipy na temat „podejrzanych” samochodów.

Przez ułamek sekundy Gregory pochwycił spojrzenie, które Główny Inspektor skierował na Sörensena, Nie było; w nim napomnienia, nie było nawet surowości, tylko aż fizycznie wyczuwalny ciężar.

Doktor kaszlnął raz jeszcze dla uratowania pozorów i nastała cisza. Sciss patrzył nad ich głowami w ciemniejące okno.

— Statystyczna ważkość ostatniego spostrzeżenia jest pozornie niewielka — ciągnął, popadając coraz częściej w falset. — Stwierdziłem jednak, że w tych okolicach bezdomne psy lub koty praktycznie nigdy się niemal nie włóczą. Poza tym jedno z tych zwierząt — mianowicie psa — znaleziono nieżywe w czwartym dniu po zniknięciu zwłok. Biorąc to pod uwagę, pozwoliłem sobie ogłosić w ostatnim wypadku, w którym pojawił się wieczorem kot, nagrodę za wykrycie zwłok tego stworzenia. Dziś rano otrzymałem wiadomość, która uczyniła mnie uboższym o piętnaście szylingów. Kot leżał pod śniegiem w kępie krzaków, znalazły go dzieci szkolne — w odległości niecałych dwustu kroków od cmentarnej kostnicy.

Sciss podszedł do okna zwrócony plecami do pokoju, jakby chciał wyrzucić na dwór, ale tam nic już nie było widać oprócz lampy ulicznej, chwiejącej się w porywach wiatru, miarowo przebłyskującej zza cienia rzucanego przez grubego konar drzewa.

Zamilkł na dobre. Końcami palców gładził brzeg swej zbyt luźnej, szarej marynarki.
— Czy pan skończył, doktorze?

Na głos Shepparda Sciss się odwrócił. Nikły, chłopięcy prawie uśmiech odmienił zmienacka jego małą twarz, w której wszystkie rysy były nieproporcjonalne, z drobnymi poduszeczkami policzków pod szarymi oczami, prawie bez podbródka, tak cofniętą miał szczękę.

„Ależ to po prostu chłopiec, wieczny niedorostek... i jaki miły!” — ze zdumieniem pomyślał Gregory.

— Chciałbym jeszcze powiedzieć parę słów, ale jako ostatni — rzekł Sciss i wrócił na swoje miejsce.

Inspektor zdjął okulary. Oczy miał zmęczone.

— Dobrze. Kolego Farquart, proszę, jeżeli ma pan coś do powiedzenia w tej sprawie.

Farquart odezwał się niechętnie:

— Prawdę mówiąc, niewiele. Tradycyjnie i po staremu zastanawiam się nad tą całą „serią”, jak ją nazywa doktor Sciss. Myślę, że niektóre, przynajmniej niektóre pogłoski musiały być prawdziwe. Rzecz chyba prosta — sprawca chciał w Shaltam czy gdzie indziej ukraść zwłoki, ale został spłoszony. Udało mu się dopiero w Treakhill. Był wtedy jeszcze „nowicjuszem”, ciało znikło nagie. Widać nie orientował się, że transport w takim stanie musi nastęczyć siłą rzeczy znacznych trudności, większych w każdym razie niż przewiezienie nie rzucających się tak w oczy zwłok ubranych. To właśnie spowodowało, że zmienił taktykę, starając się o przyodziewek. Ponadto i wybór zwłok nie był za pierwszym razem „najlepszy” — myślę o tym, co doktor Sciss określił jako poszukiwanie ciała „w dobrym stanie”. Kostnica w Treakhill mieściła innego jeszcze zmarłego, człowieka młodego, zachowanego lepiej od tego, który zniknął. To chyba wszystko...

— Pozostaje motywacja działania — podjął po chwili. — Widzę takie możliwości: nekrofilia, obłąd bądź działanie jakiegoś, jakiegoś, powiedzmy, naukowca. Wolałbym, żeby się w tej sprawie wypowiedział doktor Sörensen.

— Nie jestem psychologiem ani psychiatrą — prawie opryskliwie rzucił doktor. — Nekrofilie można w każdym razie wykluczyć. Dotknięci nią bywają wyłącznie osobnicy ciężko upośledzeni umysłowo, debile, kretyni, na pewno niezdolni do planowania jakiejś bardziej skomplikowanej akcji. To nie ulega wątpliwości. Dalej, obłąd, moim zdaniem, można wykluczyć. Nic nie pozostawiono przypadkowi, za dużo skrupulatności, żadnych potknięć — takiej logiki działania obłąkani na ogół nie wykazują.

— Paranoja? — cicho poddał Gregory. Lekarz spojrział na niego niechętnie. Przez chwilę zdawał się smakować z powątpiewaniem to słowo na języku, potem wykrzywił cienkie, żabie usta.

— Nie. To znaczy, nie wydaje mi się — osłabił kategoryczność swego sprzeciwu. — Obłąd nie jest, proszę panów, workiem, do którego można pakować wszystkie czyny ludzkie o niepojętych dla nas motywach. Obłąd ma swoją strukturę, swoją logikę postępowania. Na upartego nie da się wykluczyć ewentualności, że jakiś ciężki psychopata, tak, psychopata, właśnie psychopata mógłby być sprawcą. To jedyna możliwość...

— Psychopata ze skłonnościami do matematyki — zauważył niby od niechcienia Sciss.

— Jak pan to rozumie?

Sörensen zaglądał w twarz Scissowi z głupawo-szyderczym uśmiechem, w którym było coś obraźliwego. Nie domknął ust.

— No, psychopata, który obliczył sobie, jak to będzie zabawnie, jeżeli iloczyn z odległości i czasu między kolejnymi wypadkami, pomnożony przez różnicę temperatur, będzie pewną stałą, constans.

Sörensen nerwowym ruchem głaskał się po kolanie, potem zabębnił po nim palcami.

— Bo ja wiem... Można mnożyć i dzielić przez siebie różne rzeczy, długość lasek przez szerokość kapeluszy, i mogą z tego wynikać różne stałe albo niestale.

— Pan sądzi, że ośmiesza w ten sposób matematyką? — zaczął Sciss. Widać było, że ma na języku coś ostrego.

— Przepraszam. Chciałbym usłyszeć pana zdanie o trzecim możliwym motywie — Sheppard patrzył na Sörenseną jak przedtem.

— O tym uczonym? Który kradnie zwłoki? Nie. Ależ skąd, co znowu. Taki uczony, który dokonuje eksperymentów na trupach? Nigdy w świecie! Pomysł rodem z trzeciorzędowego filmu. Po cóż kraść trupa, kiedy można go dostać w byle prosektorium, i to bez najmniejszej trudności, albo i od rodziny odkupić? Zdarzają się takie rzeczy. Poza tym żaden uczony nie pracuje dziś sam i gdyby nawet ukradł trupa (nie wiem tylko, po co), nie mógłby ukryć tego przed kolegami, współpracownikami. Ten motyw można spokojnie wykluczyć.

— Co więc według pana pozostaje? — spytał Sheppard. Jego ascetyczna twarz była bez wyrazu. Gregory złapał się na tym, że wpatruje się w swego przełożonego do imperzynencji — jakby studiował obraz. Czy on naprawdę taki jest, czy też to po prostu znużenie i rutyna?

Myślał tak w ciężkim, niemiłym milczeniu, które zapanowało po ostatnich słowach Głównego Inspektora. Znów daleki silnik odezwał się w głębi zaokiennych ciemności, przepłynął basowym łoskotem w górze i ścichł. Szyby drżały.

— Psychopatia albo nic — powiedział naraz doktor Sciss. Uśmiechał się, był naprawdę w dobrym humorze. — Jak rozsądnie orzekł doktor Sörensen, działanie psychopaty wygląda zazwyczaj odmiennie, cechuje je impulsywność, niedomyślenia, wywołane

emocjonalnym zwężeniem pola uwagi, błędy. Pozostaje nam więc — nic. To znaczy, że te wypadki nie mogły się zdarzyć.

— Jest pan nad wyraz dowcipny — burknął Sörensen.

— Panowie — odezwał się Sheppard — jest rzeczą zdumiewającą, jak łagodnie do-
tąd traktuje nas prasa. Należało to przypisać konfliktowi małoazjatyckiemu, jak myślę.
Opinia publiczna zbyt była zajęta tą sprawą — ale do czasu. Obecnie możemy oczeki-
wać nagonki na Yard. Otóż, co się tyczy strony czysto formalnej — śledztwo musi biec
dalej. Chciałbym się dowiedzieć, co już zostało zrobione, a zwłaszcza, jakie kroki podję-
to, aby odnaleźć skradzione ciała.

— To jest rzecz porucznika — powiedział Farquart. — Dostał od nas pełnomocnic-
twa dwa tygodnie temu i od tej pory wszystko robił sam.

Gregory przytaknął, udając, że nie dosłyszał wyrzutu tkwiącego w tych słowach.

— Począwszy od trzeciego wypadku — powiedział — zastosowaliśmy bardzo rady-
kalne środki. Bezpośrednio po meldunku o zaginięciu zwłok zamknęliśmy całą okoli-
cę w promieniu bez mała stu kilometrów, posiłkując się wszystkimi siłami miejscowy-
mi, jak posterunkami drogowymi i lotnymi, oraz ściągnęliśmy z Londynu dwa oddzia-
ły wozów radiowych z centralą taktyczną w Chichester. Wszystkie skrzyżowania, prze-
jazdy kolejowe, rogatki, wyloty autostrad i dróg z zamkniętego obszaru były kontro-
lowane — bez rezultatu. Zatrzymaliśmy przy tej okazji pięciu ludzi poszukiwanych za
różne sprawki, ale co się tyczy naszego problemu, wyników nie było. Chciałbym zwró-
cić przy tym uwagę na ostatni wypadek. Zamykanie terenu w promieniu stu kilome-
trów jest nader uciążliwe i praktycznie nie daje stu procent gwarancji, że oczka sieci są
wystarczająco małe, by wykluczyć możliwość prześlizgnięcia się sprawcy. Jest prawdopo-
dobne, że w wypadkach poprzednich, to znaczy drugim i trzecim, sprawca opuścił te-
ren zamknięty, zanim wszystkie nasze posterunki rzeczywiście go zamknęły. Miał bo-
wiem sporo czasu, raz bodaj sześć, a drugi raz około pięciu godzin nocy. Zakładam na-
turalnie, że dysponował autem. W ostatnim jednak wypadku zniknięcie nastąpiło mię-
dzy trzecią a czwartą pięćdziesiąt rano. Sprawca miał maksymalnie godzinę i trzy kwa-
dranse na ucieczkę. Otóż była to noc z typową marcówką, na przemian wichura i śnie-
życa po wieczornej mgle, wszystkie drogi były do południa następnego dnia zasypane
i zatarasowane zaspami. Sprawca musiałby chyba użyć potężnego traktora. Wiem coś
o tym, bo mieliśmy niesłychane trudności z wyciąganiem naszych wozów patrolowych,
zarówno miejscowych, jak i tych, które spieszyły na nasze wezwanie z rejonu Wielkiego
Londynu, z rezerwy, wyznaczonej przez Crime Investigation Departament.

— Więc pan twierdzi, że żaden samochód nie mógł się wydostać do południa z oko-
licy Lewes?

— Tak.

— A sanki?

— Technicznie byłoby to możliwe, ale nie w czasie, który sprawca miał do dyspozycji. Sanki nie ujadą przecież więcej niż kilkanaście kilometrów na godzinę, a w takim śniegu ledwo kilka. Nawet najlepszymi końmi nie wyrwałby się do południa z koła o promieniu osiemdziesięciu kilometrów.

— Dobrze, poruczniku, ale sam pan mówił przecież, że takie zamykanie terenu nie daje bezwzględnej pewności — łagodnie powiedział Sheppard. — Stuprocentowa kontrola jest tylko ideałem, do którego dążymy...

— On mógł zresztą wynieść zwłoki w worku, pieszo, idąc polami na przełaj — zauważył Farquart.

— Upierałbym się przy tym, że to niemożliwe — powiedział Gregory. Chciał być spokojny, ale czuł już pałanie policzków. Miał ogromną ochotę wstać, ledwo się od tego powstrzymał.

— Po szóstej rano żaden pojazd nie mógł się wydostać ze strefy zamkniętej, za to mogę ręczyć — oświadczył. — Przez śniegi mógł się w końcu przebić piechur, ale nie z takim ciężarem, jaki przedstawia ciało dorosłego człowieka. Raczej by je rzucił...

— Może i rzucił — zauważył Sörensen.

— Myślałem i o tym. Przetrzęsaliśmy całą okolicę, ułatwiła nam pracę odwilż, która rozpoczęła się zaraz nazajutrz. Nic nie znaleziono.

— Pańskie rozumowanie nie jest tak bez zarzutu, jak pan sądzi — wtrącił się zniebna do rozmowy Sciss. — Po pierwsze, nie znaleźliście zdechłego kota, co nastąpiłoby, gdybyście szukali dość skrupulatnie...

— Pan wybaczy, ale myśmy szukali ludzkich zwłok, a nie zdechłego kota — oświadczył Gregory.

— Dobrze. Zbyt wiele jest jednak możliwości ukrycia zwłok w tak rozległym terenie, by można orzec, że ich tam na pewno nie ma.

— Sprawca mógł też zakopać ciało — dorzucił Farquart.

— Skradł je po to, aby je zakopać? — z niewinną miną spytał Gregory. Farquart prychnął.

— Mógł je zakopać widząc, że nie umknie.

— A skądże mógł wiedzieć, że nie umknie? Przecież nie ogłaszaliśmy zamknięcia dróg przez radio — odparował Gregory. — Chyba że miał informatora — albo że sam jest oficerem policji...

— A to nawet niezła myśl — uśmiechnął się Sciss. — Poza tym, panowie, nie wyczerpaliście wszystkich możliwości. Pozostaje helikopter.

— To nonsens! — doktor Sörensen nie ukrywał lekceważenia.

— Dlaczego? Czy w Anglii nie ma helikopterów?

— Doktor sądzi, że łatwiej u nas o psychopatę niż o helikopter — zauważył Gregory i uśmiechnął się z satysfakcją.

— Przepraszam, ale na taką rozmowę szkoda mi czasu.

Sciss otworzył znów swoją teczkę, wydobył z niej grubego maszynopisu i jął go przegłądać z piórem w ręku.

— Panowie!

Na głos Shepparda wszyscy zamilkli.

— Możliwość wymknięcia się sprawcy z zamkniętego obszaru niepodobna wykluczyć. To musi pan wziąć pod uwagę także na przyszłość, kolego Gregory. Co się tyczy helikoptera... możemy zostawić go sobie jako ostateczność, na później...

— A także wszelką padlinę — dodał Sörensen.

Sciss nie odezwał się, pozornie zagłębiając się w lekturze.

— Poszukiwanie ciał należy kontynuować — ciągnął Sheppard. — Trzeba planować tę akcję szeroko, objąć nią i porty. Dyskretna kontrola statków, zwłaszcza ładunków drobnicowych, nie będzie zbyt skuteczna. Czy który z panów ma jeszcze coś do powiedzenia? Jakaś hipoteza? Jakaś myśl? Może być bardzo odważna, nawet za odważna.

— Według mnie nie można... — odezwali się jednocześnie Gregory i Farquart. Spojrzeli na siebie i urwali.

— Słucham.

Nikt się nie odezwał. Zabrzęczał telefon. Inspektor wyłączył go i popatrzył na siedzących. Dym tytoniowy sinawym obłokiem rozpościerał się pod lampą. Przez chwilę panowała cisza.

— Wobec tego ja — rzekł Sciss. Skrupulatnie składał we dwoje i chował do teczek swój maszynopis. — Zastosowałem stałą rozprzestrzeniania się zjawiska, o której wspominałem, aby przewidzieć jego ciąg dalszy.

Wstał i czerwonym ołówkiem zakreślił na mapie pas otaczający część hrabstw Sussex i Kent.

— Jeżeli następny wypadek zdarzy się między dniem dzisiejszym a końcem przyszłego tygodnia, to zajdzie w tym sektorze, ograniczonym od północy przedmieściami East Wickham, Croydon i Surbiton, od zachodu przez Horsham, od południa — pasmem, brzegowym Kanału, a od wschodu — przez Ashord.

— Bardzo wielka przestrzeń — burknął powątpiewająco Farquart.

— Bynajmniej, ponieważ trzeba z niej wyeliminować cały krąg wewnętrzny, w którym nastąpiły dotychczasowe wypadki. Zjawisko odznacza się ekspansją na zewnątrz, w grę wchodzi więc tylko okrągły pas szerokości do trzydziestu pięciu kilometrów. Na terenie tym znajduje się około osiemnastu szpitali oraz ponad sto sześćdziesiąt małych cmentarzyków. To wszystko.

— I pan... pan jest pewny, że to nastąpi? — palnął Sörensen.

— Nie — odparł po dłuższej chwili Sciss. — Nie jestem pewny. Ale jeżeli to nie nastąpi, o, jeśli to nie nastąpi...

Z uczonym działo się coś dziwnego; wszyscy patrzyli nań w zdumieniu, widząc, jak cały drży, aż naraz głos mu się załamał, niczym imitującemu chłopcu. Sciss parsknął głośno. Ależ tak, śmiał się do rozpuku, rozbawiony jakąś myślą, nic sobie nie robiąc z martwej ciszy, jaką przyjęto jego niepohamowaną wesołość.

Podniósł spod fotela teczkę, skłonił głowę w nieznacznym ukłonie i podrygując jeszcze ramionami, szybkim, przesadnie długim krokiem wyszedł z gabinetu.

Rozdział II

Silny wiatr rozerwał chmury nad domami zajaśniała żółtawa zorza. Lampy zbladły, śnieg czerniał i rozpływał się na chodnikach i jezdni. Gregory szedł szybko, z rękami w kieszeniach płaszcza, nie patrząc na przechodniów. U skrzyżowania stanął, ociągał się chwilę, przestępując na swych długich nogach, bo robiło mu się zimno w przesyconym wilgocią odwilżowym powietrzu. Zły na własne niezdecydowanie poszedł wreszcie w lewo.

Konferencja zakończyła się niemal natychmiast po wyjściu Scissa — właściwie na niczym. Sheppard nie zdecydował nawet, kto będzie dalej prowadził sprawę.

Gregory prawie nie znał Głównego Inspektora, widział go dziś piąty czy szósty raz w życiu. Znał sposoby zjednywania uwagi przełożonych, lecz nie stosował ich w swej niedługiej karierze detektywa. Teraz żałował jednak, że tak niski ma stopień. Zmniejszało to poważnie szansę objęcia śledztwa.

Przy pożegnaniu Sheppard spytał go, co ma zamiar robić dalej. Odpowiedział, że nie wie. Było to zgodne z prawdą, ale taka szczerłość zazwyczaj nie popłaca. Czy Sheppard nie uznał tych słów za przejaw ograniczenia umysłowego, jeśli nie nonszalancji?

A co za jego plecami powiedział o nim Głównemu Farquart? Na pewno nie wystawił mu najświetniejszego świadectwa. Gregory starał się dojść do przekonania, że mu to tylko pochlebia, cóż bowiem wart był sąd Farquarta?

Od jego nieciekawej osoby przeszedł myślami do Scissa. Był to doprawdy osobliwy człowiek. Słyszał o nim niewiele.

Doktor pracował w czasie wojny w sekcji operacyjnej przy Sztapie Głównym i miał ponoć kilka oryginalnych osiągnięć na swym koncie. W jakiś rok po wojnie wyleciał stamtąd z krachem. Miał rzekomo nauragać jakiejś grubej rybie, bodaj że marszałkowi Alexandrowi. Znany był z tego, że zrażał sobie wszystkich współpracowników. Mówiono, że jest oschły, złośliwy, pozbawiony cienia taktu i tak nieubłagany w mówieniu innym, co o nich myśli, jak chyba tylko dziecko.

Gregory mógł doskonale zrozumieć niechęć, jaką wzbudzał uczony. Zbyt dobrze pamiętał własne zmieszanie podczas wykładu Scissa, gdy niczego nie umiał przeciwstawić

jego logicznym wywodom. Zarazem jednak miał szacunek dla klasy intelektu, którą wyczuwał w tym człowieku, przypominającym ptaka o zbyt małej głowie. „Trzeba się będzie tym zająć” — zakończył ten ciąg swych rozważań, nie precyzując, na czym to „zajęcie się” ma właściwie polegać.

Dzień gasł szybko, tym szybciej, że zapalały się już wystawy. Ulica zwęziła się, był to bardzo stary, chyba od średniowiecza nie przebudowany zakątek śródmieścia, z ciemnymi, niezgrabnymi domami, w których lśniły nienaturalnie wielkie i przezroczyste, przeszklone pudła nowych sklepów.

Wszedł w pasaż, by skrócić drogę. U wejścia leżała cienka warstwa nawianego śniegu; zdziwił się, że nie jest zdeptany. Samotna kobieta w czerwonym kapeluszu oglądała woskowo uśmiechnięte manekiny, prezentujące balowe suknie. Dalej pasaż zakręcał łagodnie, na suchym betonie leżały liliowe i białe kwadraty wystawowych światła.

Gregory szedł trochę wolniej, nie myśląc o tym, gdzie jest. Przypomniał sobie śmiech Scissa i usiłował odgadnąć jego przyczynę. Chciał sobie dokładnie uzmysłwić brzmienie tego śmiechu, wydało mu się to ważne. Sciss nie był, wbrew pozorom, efekciarzem; zadufany był na pewno, toteż śmiał się, by tak rzec, tylko dla siebie i z siebie tylko znanych powodów.

Z głębi pustego pasażu szedł naprzeciw Gregory’ego człowiek. Wysoki, szczupły, poruszał głową, jakby mówił do siebie. Gregory zbyt był sobą zajęty, aby go obserwować, ale miał go gdzieś na peryferii spojrzenia. Tamten był już niedaleko. Wokół zrobiło się ciemniej, trzy sklepy miały wygaszone światła, szyby czwartego ochlapało wapno — remont. Tylko tam, skąd szedł samotny przechodzień, błyszczało kilka wielkich wystaw.

Gregory podniósł głowę. Tamten zwolnił kroku, szedł dalej, ale z ociąganiem. Naraz obaj stanęli w odległości kilku kroków. Gregory nie otrząsnął się jeszcze ze swych myśli i choć patrzył na wysoką sylwetkę stojącego naprzeciw mężczyzny, nie widział jego twarzy. Zrobił krok, tamten postąpił tak samo.

„Czego on chce?” — pomyślał Gregory. Obserwowali się spode łba. Tamten miał niewyraźną od cieni, szeroką twarz, kapelusz przesadnie naciśnięty na czoło, przykrótki płaszcz, ściągnięty pasem nieporządnie, tak że jego koniec okręcał się wokół kłamry. Z ta kłamrą było coś nie w porządku, ale Gregory miał na głowie dość własnych spraw. Ruszył, chcąc wyminąć obcego, lecz ten zastąpił mu drogę.

— Ej, bo zaraz... — zaczął Gregory gniewnie i zająknął się.

Obcy — to był on sam. Stał przed wielkim lustrem, które jak ściana zamykało cały pasaż. Wszedł przez pomyłkę w ślepy zaułek, przykryty szklanym dachem.

Patrzył na własne odbicie, przez chwilę jeszcze z gasnącym wolno uczuciem, że obserwuje kogoś obcego. Smagła twarz, nie bardzo rozumna, z upartą szczęką, jak ośmielał się czasem sądzić. Może była to raczej przekora, tępawa przekora — i tak bowiem nieraz myślał. — Napatrzyłeś się? — mruknął, zawrócił na pięcie i poszedł ku wyjściu, w rosnącym zamieszaniu, jakby wystrychnięty na dudka.

W połowie drogi nie mógł oprzeć się nierozumnemu impulsowi i popatrzał za siebie. „Tamten” także przystanął, daleko, między oświetlonymi, pustymi sklepami, odchodząc w głąb uliczki, do jakichś swoich spraw lustrzanego świata. Ze złością poprawił pas na klamrze, odsunął kapelusz z czoła i wyszedł na ulicę.

Następny pasaż zaprowadził go prosto do „Europy”. Szwajcar otworzył szklane drzwi. Gregory kroczył między stolikami, ku liliowym światłom baru. Był tak wysoki, że nie musiał unieść się na palcach, by sięść na trójnogu.

— „Biały koń”? — spytał barman. Gregory skinął głową.

Butelka wydawała taki dźwięk, jakby w niej był ukryty szklany dzwoneczek. Gregory wypił szybko, stwierdzając, że „Biały koń” jest ostry, ma posmak fuzlu i drapie w gardle. Nie znosił go. Tak się jednak złożyło, że kilka razy z rzędu wstępował do „Europy” z młodym Kinseyem i pił z nim tę właśnie whisky; odtąd barman uważał Gregory’ego za stałego gościa i pamiętał o jego upodobaniach. W rzeczywistości Gregory spotykał się z Kinseyem, aby sfinalizować zamianę mieszkania. Wolał grzane piwo od whisky, ale wstydził się zamawiać je w tak wytwornym lokalu.

Zaszedł tu po prostu dlatego, że nie chciało mu się wracać do domu. Postanowił ułożyć nad kieliszkiem wszystkie znane fakty „serii” w jednolitą konstrukcję, ale nie mógł sobie przypomnieć ani jednego nazwiska, ani jednej daty.

Wypił, przesadnie zadzierając głowę.

Drgnął. Barman mówił coś do niego.

— Co? co?

— Czy nie zje pan kolacji? Mamy dziś dziczyznę, pora w sam raz.

— Dziczyznę?

Nie rozumiał ani słowa.

— A, kolację? — doszło go wreszcie. — Nie. Proszę mi nalać.

Barman skinął głową. Mył szkło pod srebrzystymi kurkami, grzechocąc nim, jakby je chciał roztrzaskać na drobne kawałki. Poczerwieniała, twardą od mięśni twarz podniósł na Gregory’ego, oczy mu się zwężyły, zaszeptał:

— Pan czeka?...

Przy barze nie było nikogo.

— Nie. A co takiego? — dodał ostrzej, niż to było jego zamiarem.

— Nie, nic, myślałem, że pan... na służbie — mruknął barman i odszedł w drugi kąt. Ktoś delikatnie dotknął ramienia Gregory’ego, odwrócił się błyskawicznie, niezdolny ukryć rozczarowania: stał przed nim kelner.

— Przepraszam... porucznik Gregory? Telefon do pana.

Musiał przejść przez tłum tańczących, potracono go, starał się iść jak najszybciej. Żarówka w kabinie była przepalona. Stał w ciemności; przez okrągłe okienko padała plama zmieniającego barwy światła.

— Słucham, tu Gregory.

— Mówi Sheppard.

Na dźwięk dalekiego głosu serce uderzyło mu mocno, raz tylko.

— Poruczniku, chciałbym się z panem zobaczyć.

— Tak, panie inspektorze. Kiedy mam...

— Wolałbym tego nie odkładać. Ma pan czas?

— Naturalnie, proszę pana. Czy jutro?

— Nie. Dziś, jeśli pan może. Może pan?

— Tak, oczywiście.

— To dobrze. Pan wie, gdzie mieszkam?

— Nie, ale mogę...

— Walham 85. To jest w Paddington. Może pan przyjechać teraz?

— Tak.

— Czy też woli pan za godzinę albo za dwie godziny?

— Nie, mogę zaraz.

— A więc czekam.

Odłożona słuchawka dźwięknęła. Gregory popatrzał w osłupieniu na aparat telefoniczny. Skąd, na Boga, Sheppard wiedział o tej nieszczęsnej „Europie”, w której wyżywał swe półgroszowe snobizmy. Czyżby wydzwaniał go systematycznie, czyżby go tak szukał? Na samą myśl o podobnej możliwości zrobiło mu się gorąco. Wyszedł z lokalu i puścił się biegiem ku nadjeżdżającemu autobusowi. Od przystanku trzeba było przejść dobry kawał, klucząc uliczkami coraz mniej ludnymi. W końcu znalazł się w boczniczy, pozabawionej większych kamienic. W kałużach migotliwym szpalerem odbijały się gazowe latarnie. Nie przypuszczał, by taki zapuszczony kąć mógł kryć się w samym sercu tej dzielnicy.

Przy numerze osiemdziesiątym piątym zdziwił się raz jeszcze. W ogrodzie za niskim murem stał masywny budynek, znacznie oddalony od innych, cały ciemny, jak wymarły. Dopiero gdy dobrze się przyjrzał, dostrzegł słaby blask w skrajnym oknie na piętrze.

Furtka otwarła się ciężko, ze zgrzytaniem. Stapał niemal po omacku, bo mur odcinał światło lampy ulicznej. Płaskie, nieregularne tafle kamienne wiodły ku bramie. Wyczuwał je stopami. Zamiast dzwonka wystawała z czarnej płyty drzwi wyslizgana rękojeść. Pociągnął niezbyt mocno, jakby się bał narobić hałasu.

Czekał dość długo. Z rzadka cykała niewidzialna rynna, samochód zaświszczał na skrzyżowaniu po mokrym asfalcie. Drzwi odemknęły się bezgłośnie. Stał w nich Sheppard.

— Jest pan już. To dobrze. Proszę za mną.

Hall był zupełnie ciemny. W głębi leżał słaby odblask, wiodący w górę — schody w smudze światła. Na piętrze drzwi stały otworem, przed nimi był rodzaj małego przed-

pokoju. Coś spojrzało na niego z wysoka pustym, czarnym wzrokiem, była to czaszka jakiegoś zwierzęcia, ledwo widzialna, majaczyły tylko oczodoły pośród żółtawych zarysów kości.

Zdjął płaszcz i wszedł do pokoju. Wędrowka przez mrok tak uwrażliwiła jego oczy, że musiał je zmrużyć.

— Siadaj pan, proszę.

Pokój był prawie ciemny. Mocna lampa, płonąca na biurku, miała reflektor skierowany w dół, prosto na otwartą książkę. Od rozpostartych papierów bił odblask na ściany i sufit. Gregory wciąż jeszcze stał. W pokoju był tylko jeden fotel.

— Niech pan siada — powtórzył Główny Inspektor. Brzmiało to jak rozkaz. Porucznik usiadł z ociąganiem. Był teraz tak blisko źródła światła, że nic już prawie nie widział. Na ścianach majaczyły niewyraźne plamy jakichś obrazów, pod nogami czuł miękkiego dywan. Fotel nie był wygodny, ale dobry do pracy przy ogromnym biurku. Naprzeciw stała długa półka z książkami. W środku matowym bielmem lśnił telewizor.

Sheppard podszedł do biurka, wydobyl spod książek czarne metalowe pudełko z papierosami i podsunął je gościowi. Sam też zapalił i zaczął chodzić od drzwi ku oknu, zasłoniętemu ciężką brunatną portierą. Milczenie trwało długo, aż Gregory znużył się śledzeniem kroczącej miarowo postaci.

— Postanowiłem dać panu tę sprawę — odezwał się nagle Sheppard, nie przystając.

Gregory nie wiedział, co mówić. Czuł wypity alkohol i zaciągał się tak mocno papierosem, jakby dym miał trzeźwiące właściwości.

— Będzie ją pan prowadził sam — podjął tonem orzeczenia Sheppard. Nie przestając chodzić, z ukosa spojrzął na siedzącego w kręgu lampy.

— Wybrałem pana nie ze względu na szczególne zdolności śledcze, bo ich pan nie ma. Systematyczny też pan nie jest. I to nie szkodzi. Ale jest pan w ten problem osobiście zaangażowany. Prawda?

— Tak — odparł Gregory. Wydało mu się, że dobrze wypadła taka sucha, stanowcza odpowiedź.

— Ma pan jakąś własną koncepcję tej sprawy? Najzupełniej prywatną, której nie chciał pan wyjawiać dziś u mnie w biurze?

— Nie. To znaczy... — Gregory wahał się.

— Słucham.

— To wrażenie na niczym nie oparte — odezwał się Gregory. Mówił niechętnie. — Wydaje mi się, że w tej historii nie chodziło o zwłoki. To znaczy cnie mają tam swoją określoną rolę, ale nie w tym rzecz.

— A w czym?

— Tego nie wiem.

— Naprawdę?

Głos Inspektora był przekorny, ton niemal wesoły. Gregory żałował, że nie może zobaczyć jego twarzy. Był to zupełnie inny Sheppard niż ten, którego widywał z rzadka w Yardzie.

— Myślę, że to paskudna sprawa — wypalił naraz, jakby mówił do kolegi. — Jest w niej coś... coś przewrotnego. Nie chodzi o to, że jest taka trudna. Tam są szczegóły, które nie dają się połączyć nie dlatego, że to jest fizycznie niemożliwe, ale dlatego, że wtedy wynika nonsens psychologiczny, i to tak piramidalny, że dalej nie sposób myśleć.

— Tak, tak — tonem uważnego zasluchania przywodził mu Sheppard. Wciąż chodził. Gregory nie patrzył już za nim, nie odrywał oczu od papierów, mówiąc coraz zapalczywiej:

— Koncepcja obłądu, manii, psychopatii, jako podłoża, z którego wyrasta cała ta historia, narzuca się nieodparcie. Skądkolwiek się zaczyna, jakkolwiek pragnie się tego uniknąć — wraca się wciąż do tego samego. To właściwie jedyna deska ratunku. Ale tak się tylko wydaje. Maniak — bardzo dobrze. Ale ta skala i ta żelazna logika — nie wiem, czy pan rozumie! Gdyby się weszło do jakiegoś domu i znalazło w nim wszystkie stoły i krzesła tylko o jednej nodze, można by sobie powiedzieć: to robota szaleńca. Jakiś wariat umeblował tak sobie mieszkanie. Ale gdyby się szło od domu do domu i to samo znajdowało w całym mieście?... Ja nie wiem, co to znaczy, ale to nie mógł być, to nie może być szaleniec. To jest raczej przeciwny biegun. Ktoś nadmiernie rozumny. Tylko że poświęcił swój rozum niepojętej sprawie.

— A dalej?... — spytał niegłęboko Sheppard, jakby nie chciał stłumić żaru, który w widoczny sposób ogarniał Gregory'ego. Siedząc za biurkiem, ślepo wpatrzony w papiery, nie widząc ich, młody człowiek odezwał się po chwili milczenia:

— Dalej... bardzo niedobre rzeczy. Bardzo niedobre. Seria działań bez jednego potknięcia — to okropne, to... to mnie przeraża. To nie jest ludzkie. Tak ludzie nie działają. Ludzie myślą się, muszą się od czasu do czasu przeliczyć, pomylić, zostawić ślad, rzucić rozpoczęte działanie. Te zwłoki na początku, te... poruszane, jak to się nazywa — ja nie wierzę w to, co twierdzi Farquart, że sprawca został spłoszony i uciekł. Nic podobnego. On chciał wtedy tylko poruszyć. Najpierw trochę. Potem więcej. Potem jeszcze więcej — aż to pierwsze ciało znikło. Tak miało być, on to sobie tak postanowił. Myślałem, wciąż myślę, dlaczego... ale nie wiem. Nic.

— Zna pan sprawę Lapeyrota? — spytał Sheppard. Stał w głębi pokoju, ledwo widoczny.

— Lapeyrot? Ten Francuz, który...

— Tak. To było w tysiąc dziewięćset dziewiątym. Zna pan tę sprawę?

— Coś mi chodzi po głowie, ale nie pamiętam. O co tam szło?

— O nadmiar śladów. Tak to nazwano, niezbyt szczęśliwie. Na wybrzeżu, nad Sekwaną, przez pewien czas znajdowano guziki od ubrań, ułożone w różne figury geometryczne. Klamerki od pasków, od szelek. Drobne monety. Poukładane w wielokąty, w koła. Rozmaicie. Chustki do nosa posplatane jak warkocze.

— Zaraz. Coś sobie przypominam. Musiałem o tym gdzieś czytać. Takich dwu starych, którzy na poddaszu... tak?

— Tak. To właśnie ta historia...

— Wyszukiwali młodych ludzi, którzy chcieli popełnić samobójstwo, odradzali im to, pocieszali, sprowadzali do siebie i prosili, żeby im opowiedzieć, co przywiodło takiego nieszczęśliwca do samobójczych myśli. Tak to było, prawda? A potem... dusili. Tak?

— Mniej więcej. Jeden był chemikiem. Zamordowane ofiary rozbierali, ciała pozbywali się za pomocą stężonych kwasów i paleniska, a guzikami, klamerkami i wszystkimi drobiazgami, które zostawały po zaginionym, bawili się, a raczej grali w zgadywanek z policją.

— Nie rozumiem, czemu pan o tym wspomniał. Jeden z tych morderców był obłąkany, a drugi stanowił ofiarę tak zwanej *folie en deux*. Bezwolny, podporządkowany indywidualności tamtego. Zgadywanki guzikowe wymyślili dlatego, że to ich podniecało. Rzecz była może i trudna do rozwiązania, ale w gruncie rzeczy trywialna: byli mordercy i zamordowani, były ślady. Cóż z tego, że sztucznie sporządzone...

Gregory urwał i z niepojętym uśmiechem, który pojawił się naraz na jego wargach, patrzył na Inspektora, usiłując dojrzeć go w mroku.

— A... — powiedział takim tonem, jakby dokonał wstrząsającego odkrycia — o to chodzi...

— Tak, właśnie o to — odrzekł Sheppard i wrócił do swego marszu przez pokój.

Gregory opuścił nisko głowę. Skubał palcami brzeg biurka.

— Sztuczne... — powiedział szeptem. — Imitacja... Imitacja, co? — powtórzył, podnosząc głos. — Udane, ale co? Szaleństwo? Nie, nie tak: krąg znów się zamyka.

— Zamyka się, bo pan idzie w złą stronę. Kiedy pan powiada „udawane szaleństwo” — to szuka pan ścisłej analogii do sprawy Lapeyrota. Mordercy działali tam, że tak powiem, pod określonym adresem: zostawiali umyślnie ślady, a więc dawali policji łami-główki do rozwiązania. Tymczasem w naszym wypadku wcale nie jest pewne, że „adresatem” jest policja. Uważam to nawet za bardzo mało prawdopodobne.

— No tak... — powiedział Gregory. Był zniechęcony, przygaśł. — Więc znowu wracamy do punktu wyjścia. Do motywu.

— Ależ nie, czekajże pan. Proszę tu spojrzeć.

Sheppard wskazał ręką na ścianę. Widniała na niej nieruchoma plamka światła, której Gregory dotąd nie zauważył. Skąd pochodziło to światło? Spojrzył na biurko. W pobliżu reflektora lampy spoczywał na papierach szlifowany przycisk. Jeden wąski promień, załamując się w głębi kryształu, biegł w ciemną głąb pokoju i padał na ścianę.

— Co pan tu widzi? — spytał Sheppard, usuwając się w cień.

Gregory przechylił się w bok, aby umknąć oślepiającej lampie na biurku. Na ścianie wisiał obraz, skryty w mroku. Tylko jeden jego fragment oświetlał ów samotny promyk. Na tej przestrzeni, nie większej od dwu monet, widniała ciemna plama, obrzeżona bladopopielatym, wygiętym słabo brzegiem.

— Ta plama? — powiedział. — Jakiś przekrój? Nie, nie mogę się w tym połapać, zaraz...

Ów kształt zaintrygował go. Patrzył coraz uważniej, mrużąc oczy. W miarę jak obserwacja się przedłużała, powstawało w nim uczucie niepokoju. Dalej nie wiedział, na co patrzy, ale niepokój rósł.

— To jest jakby żywe... — powiedział, mimo woli zniżając głos. — Chociaż nie... wypalone okno w ruinie?

Sheppard podszedł bliżej i zasłonił sobą to miejsce. Nieregularna plamka światła leżała teraz na jego piersi.

— Nie może pan się w tym zorientować, bo widzi pan tylko część — powiedział. — Prawda?

— A! Pan myśli, że ta seria znikających zwłok stanowi tylko część, fragment, powiedzmy, początek jakiejś większej całości?

— Tak właśnie myślę.

Sheppard znów chodził. Gregory znów zwrócił wzrok ku miejscu na ścianie.

— Może to być początek jakiejś afery o dużym zasięgu, kryminalnej albo i politycznej, która z czasem przekroczy granice naszego kraju. To, co dopiero nastąpi, miałyby zatem wynikać z tego, co już było. Może też być inaczej, może obserwowaliśmy tylko manewr odwracający uwagę, czyli taktyczną operację pozorną...

Gregory ledwo słuchał, tak był zapatrzony w ów ciemny, niepokojący go kształt.

— Przepraszam — powiedział nieoczekiwanie dla samego siebie — co tam jest, panie inspektorze?

— Gdzie? A, to!

Sheppard przekręcił kontakt. Światło zalało pokój, trwało to może dwie lub trzy sekundy. Potem inspektor zgasił górną lampę i znów zapadł mrok. Nim wrócił. Gregory dostrzegł to, co było dotąd niewidoczne — kobietą twarz, rzuconą skosem w tył, patrzącą samymi białkami, z szyją o głębokiej bruździe wisielczej. Nie widział już szczegółów fotografii, a mimo to, jakby z dziwnym opóźnieniem, docierała do niego zgroza zakrzepła w tej martwej twarzy. Powiódł oczami za Sheppardem, który wciąż chodził.

— Może pan ma rację — powiedział, mrugając powiekami — ale nie wiem, czy to jest najważniejsze? Czy pan może sobie wyobrazić człowieka, który w nocy, w ciemnej kostnicy, odgryza zębami płócienna zasłonę?

— A pan nie potrafi? — przerwał mu Sheppard.

— Och, tak, ale w podnieceniu, w przestraczu, w braku innych narzędzi pod ręką, z konieczności... Ale pan przecież wie tak samo dobrze jak ja, po co on to zrobił. To się powtarza przecież w całej serii, ta przeklęta, żelazna konsekwencja. Przecież on wszystko robił po to, żeby wyglądało tak, jakby te zwłoki zmartwychwstały. Po to obliczał wszystko i studiował biuletyny meteorologiczne. Ale czy taki człowiek mógłby sądzić, że znajdzie się policjant gotowy uwierzyć w cud!? Tu, tu właśnie tkwi całe szaleństwo!

— O którym pan mówił, że go nie ma i być nie może — zauważył obojętnie Sheppard. Odsunął portierę i patrzył w ciemne okno.

— Dlaczego wspomniał pan o sprawie Lapeyrota? — spytał po dłuższej chwili Gregory.

— Bo zaczęła się dziecinnie: od guzików układanych we wzorki. Ale nie tylko dlatego. Niech mi pan powie: jakie jest przeciwieństwo ludzkiego działania?

— Nie rozumiem... — bąknął Gregory. Odczuwał dojmujący ból głowy.

— W swoich czynach manifestuje człowiek swoją osobowość — wyjaśnił spokojnie Inspektor. — Przejawia się więc ona i w czynach zbrodniczych. Ale ta prawidłowość, która wyłania się z naszej serii, jest bezosobowa. Bezosobowa — jak prawo natury. Rozumie pan?

— Zdaje mi się... — ochryple powiedział Gregory. Przechylał się cały na jedną stronę, bardzo powoli, aż znalazł się całkowicie poza zasięgiem oślepiającego reflektora. Dzięki temu jego oczy coraz lepiej widziały w ciemności. Obok fotografii kobiety były inne. Przedstawiały twarze zmarłych. Sheppard znów szedł przez pokój, poruszał się na tle owych majaczących twarzy, jak wśród dziwnej dekoracji, nie — jak między bardzo zwykłymi, swojskimi rzeczami. Stał na wprost biurka.

— Jest w tej serii matematyczna doskonałość, sugerująca, że sprawca nie istnieje. To zdumiewające, ale prawdziwe, Gregory...

— Co... co pan... — ledwie słyszalnie rzucił porucznik, cofając się odruchowo.

Sheppard stał nieruchomo, z niewidzialną twarzą. Naraz dobiegł Gregory'ego krótki, urywany odgłos. Główny Inspektor śmiał się.

— Przestraszyłem pana? — rzekł poważniejąc. — Sądzi pan, że mówię od rzeczy?

— Kto robi dzień i noc? — spytał. W głosie jego było szyderstwo. Gregory wstał nagle, odsuwając fotel.

— Rozumiem. Naturalnie! — powiedział. — Chodzi o stworzenie nowego mitu. Sztuczne prawo natury. Sztuczny, bezosobowy, niewidzialny sprawca. I, ma się rozumieć, wszechmocny. To świetne! Imitacja nieskończoności...

Gregory śmiał się, ale nie był to śmiech wesoły. Zamilkł oddychając głęboko.

— Dlaczego pan się śmieje? — spytał powoli, jakby ze smutkiem, Inspektor. — Czy nie dlatego, że pan już o tym myślał, ale odrzucał tę myśl? Imitacja? Oczywiście. Ale ona może być doskonała, tak doskonała, Gregory, że wróci pan do mnie z pustymi rękami.

— Możliwe — zauważył Gregory chłodno. — Wtedy zastąpi mnie ktoś inny. Ostatecznie każdy szczegół z osobna potrafiłbym wyjaśnić już teraz. Nawet to pro-sektorium. Okno można otworzyć z zewnątrz za pomocą nylonowej żyłki, zapętlonej uprzednio na klamce. Nawet próbowałem. — Ale żeby jakiś twórca nowej religii, jakiś imitator cudów tak miał stawiać pierwsze kroki...

Wzruszył ramionami.

— Nie, to nie jest takie proste. Powtarza pan wciąż słowo „imitacja”. Lalka woskowa jest imitacją człowieka, nieprawdaż? A jeżeli ktoś sporządzi lalkę, która będzie chodziła i mówiła, będzie to imitacja wyborna. A jeśli skonstruuje lalkę krwawiącą? Lalkę, która będzie nieszczęśliwa i śmiertelna, co wtedy?

— I cóż to ma wszystko... przecież nawet najdoskonalsza imitacja, i ta lalka, musi mieć swego twórcę i można go przyprowadzić skutego! — zawołał Gregory, którego ogarnął nagły gniew. „Czy on się mną bawi?” — przemknęło mu przez myśl. — Panie inspektorze... — powiedział — czy może mi pan odpowiedzieć na jedno pytanie?

Sheppard patrzył na niego.

— Pan uważa ten problem za nierozwiązalny, czy tak?

— Na pewno nie. O tym nie może być mowy. Zachodzi jednak możliwość, że rozwiązanie... — Inspektor urwał.

— Proszę, niech mi pan powie wszystko.

— Nie wiem, czy mam prawo — sucho odezwał się Sheppard, jakby urażony natarczywością Gregory'ego. Dokończył: — Być może, że pan odrzuci to rozwiązanie.

— Dlaczego? Proszę, może pan zechce wyrazić to jaśniej!

Sheppard potrząsnął głową.

— Nie potrafię.

Podszedł do biurka, wysunął szufladę i wyjął z niej małą paczkę.

— Róbmymy, co do nas należy — powiedział wręczając ją Gregory'emu.

Były to fotografie trzech mężczyzn i jednej kobiety. Przeciętne, banalne twarze, nie zwracające niczym uwagi, patrzyły na Gregory'ego z błyszczących kartoników.

— To oni — powiedział. Dwie z tych fotografii znał.

— Tak.

— Ale fotografii pośmiertnych nie ma?

— Udało mi się zdobyć dwie — Sheppard powtórnie sięgnął do szuflady. — Zrobione w szpitalu na życzenie rodziny.

Były to fotografie dwu mężczyzn. Osobliwa rzecz: śmierć dodała wagi ich pospolitym rysom, obdarzyła je znieruchomiałym namysłem. Stały się wyrazistsze niż za życia, jakby teraz dopiero miały coś do ukrycia.

Gregory podniósł oczy na Shepparda i zdziwił się. Zgarbiony, dziwnie naraz postarzały, stał z zaciśniętymi ustami, jak gdyby cierpiał.

— Panie inspektorze?... — spytał półgłosem z niespodziewaną nieśmiałością.

— Wolałbym nie dawać panu tej sprawy... ale nie mam nikogo — odezwał się cicho Sheppard. Położył rękę na ramieniu porucznika. — Niech się pan ze mną kontaktuje. Chciałbym panu pomóc, chociaż nie wiadomo, ile będzie tu warte doświadczenie.

Gregory cofnął się. Ręka Inspektora opadła. Obaj stali teraz poza kręgiem lampy. Z mroku patrzyły jednocześnie wszystkie twarze ze ścian. Porucznik czuł się bardziej pijany niż w jakiegokolwiek chwili tego wieczoru.

— Proszę pana... — powiedział — pan wie więcej, niż pan mi chce powiedzieć... czy tak? — Był odrobinę zdyszany, jak po wysiłku. Sheppard nie odpowiedział.

— Pan... nie może czy pan nie chce? — pytał Gregory. Do głowy nie przyszło mu nawet dziwić się, skąd bierze się w nim taka odwaga.

Sheppard zaprzeczył ruchem głowy, patrząc na niego z jakimś bezmiernym pobłażaniem. Czy może z ironią?

Gregory spojrział na swoje ręce i zobaczył, że w lewej trzyma fotografie żywych, a w prawej — martwych. Wówczas ten sam niepojęty impuls, który przed chwilą skłonił go do niezwykłego pytania, natchnął go znowu. Było to prawie jak dotyk niewidzialnej ręki.

— Które są... ważniejsze? — spytał ledwo dosłyszalnie. Tylko w bezwzględnej ciszy pokoju można go było zrozumieć.

Sheppard, patrząc nań z zaciśniętymi ustami, zrobił drobny gest zniechęcenia i podszedł do kontaktu. Białe światło wypełniło pokój, wszystko stało się zwykłe i naturalne. Gregory schował powoli fotografie do kieszeni.

Wizyta miała się ku końcowi. A jednak, choć mówili już tylko o rzeczach konkretnych: o ilości i rozmieszczeniu posterunków patrolujących kostnice, o nadzorowaniu wymienionych przez Scissa miejscowości, o pełnomocnictwach porucznika, został między nimi cień czegoś nie dopowiedzianego.

Raz i drugi Inspektor milkł i patrzył na Gregory'ego z wyczekiwaniem, jakby niepewny, czy ma od tych rzeczowych rozważań wrócić do poprzedniej rozmowy. Już nic jednak nie powiedział.

Schody od połowy pogrążone były w zupełnej ciemności. Gregory trafił po omacku do wyjścia. Naraz usłyszał swoje nazwisko.

— Życzę powodzenia! — donośnie rzucił w ślad za nim Główny Inspektor.

Porucznik zamknął za sobą drzwi, które wiatr zatrzęsął z przeraźliwym łoskotem.

Panowało przenikliwie zimno. Brał mróz ścinający kałuże, zlodowaciałe błoto chrzęściło pod stopami, w pędzącym powietrzu leciały drobne krople, zamieniając się w zawieję lodowatych igiełek. Kłuły boleśnie twarz i z ostrym papierowym szelestem odskakiwały od sztywnej tkaniny płaszcza.

Gregory chciał dokonać rachunku wszystkiego, co zaszło, ale równie dobrze mógłby próbować klasyfikacji niewidzialnych chmur, które wiatr pędził mu nad głową. Wspomnienia tego wieczoru walczyły w nim, rozsypywały się w obrazy nie powiązane niczym oprócz dojmującego przybicia i zagubienia. Pokój obwieszony pośmiertnymi fotografiami, z biurkiem pełnym otwartych książek. Pożałował gwałtownie, że nie zerknął do żadnej z tych książek, do rozłożonych papierów. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że byłaby to niedyskrecja. Zdawało mu się, że jest na granicy, poza którą nic już nie jest pewne. Każda z pozoru byle jaka rzecz gotowa jest objawić mu jedno z wielu możliwych znaczeń, aby przy gwałtownej próbie uchwycenia rozwiać się, rozpląnąć. On zaś, w pogoni za zrozumieniem, będzie pogrążał się w morzu wieloznacznych szczegółów, aż w nim utonie, do końca nie pojmując nic.

Kogo właściwie zamierza przyprowadzić Sheppardowi — twórcę nowej religii? Znakomita, wypróbowana w rutynie sprawność maszyny śledczej obracała się w tej sprawie przeciw niej samej. Im więcej bowiem gromadziło się skrupulatnie odmierzonych, sfotografowanych i spisanych faktów, tym większy wyzierał z całej tej budowli nonsens.

Gdyby miał szukać mordercy, skrytego w ciemnościach, nie czułby się tak bezradny ani tak zagrożony. Czym była owa rozterka, ów niepokój w oczach starego Inspektora, który chciał mu pomóc, a nie mógł?

Dlaczego wybrał właśnie jego, początkującego, do sprawy, której rozwiązanie — sam to mówił! — może być nie do przyjęcia? I czy po to tylko wezwał go w nocy?

Nie widząc otoczenia, ciemnej ulicy, nie czując ściekających po twarzy kropel, szedł, nie pamiętając, dokąd idzie, z zaciśniętymi w kieszeniach pięściami. Wdychał głęboko zimne, wilgotne powietrze, i znów jawiła mu się blisko, na wprost, twarz Shepparda, z odwróconymi w górę cieniami, z drgającym kątem ust.

Zaczął liczyć, ile czasu upłynęło od wyjścia z „Europy”. Było pół do jedenastej, a więc niemal trzy godziny. „Nie jestem już pijany” — mówił sobie. Naraz stanął. W świetle lampy odczytał na tabliczce nazwę ulicy. Zorientował się, gdzie jest najbliższa stacja metra, i ruszył w tę stronę.

Stawało się coraz ludniej, świeciły kolorowe reklamy, semafony na skrzyżowaniach mrugały zielono i czerwono. U wejścia do podziemi sunęło sporo przechodniów. Gregory wszedł na eskalator i jechał powoli w dół, zanurzając się w rosnącym szumie. Owiał go suchy, mechanicznie pędzony strumień powietrza.

Na peronach było cieplej niż na górze. Przepuścił pociąg, który szedł do Islington, powiodł wzrokiem za czerwonym trójkątem świateł na ostatnim wagonie, okrążył kiosk z gazetami. Po czym oparł się o żelazny wspornik stropu i zapalił papierosa.

Nadjechał jego pociąg. Drzwi rozsunęły się z sykiem pneumatycznych zaworów. Usiadł w kącie. Wagon szarpnął i ruszył. Światła peronu migotały coraz szybciej, potem zaczęły przelatywać blade, rozwiane pędem lampy tunelu.

Znowu wrócił do spotkania z Sheppardem. Zdawało mu się, że miało jakieś drugie, ukryte, ważniejsze znaczenie, do którego dotarłby, gdyby zdołał się tylko należycie skupić. Spozierał bezmyślnie na rząd przypadkowych twarzy, oświetlonych szpalerem drgających żarówek.

Był w nim jakiś niepokój, krążył jak krew, aż zawarł się w słowach: stała się bieda. Coś bardzo niedobrego i nieodwołalnego zaszło tego wieczoru... czy tego dnia? Naraz ten potok myśli stanął jak ucięty.

Zmrużył oczy. Przywidziało mu się, że w przeciwległym kącie wagonu, daleko, obok drzwi, siedzi ktoś znajomy. Twarz, która mu coś mówiła. Już tylko ją widział. Obwisła, o zatartych, gąbczastych rysach. Należała do starego człowieka.

Mężczyzna ów, z głową wspartą o przepierzenie, spał tak mocno, że kapelusz zsuwał mu się coraz niżej, rzucając długi cień aż po brodę. Ruchy pędzącego wagonu wprowadzały bezwładne ciało w miarowe kołysanie, potęgujące się na zakrętach. W pewnej chwili ręka obsunęła mu się z kolan, bezwładna, jak pakunek, i zwiśla, wahając się, duża, blada, obrzmiała.

Wagon pędził coraz szybciej, wstrząsy nie ustawały, i wreszcie dolna szczęka śpiącego, którego Gregory wciąż nie mógł sobie przypomnieć, jęła z wolna opadać. Usta odemknęły się...

„Śpi jak zabity” — przemknęło Gregory’emu przez głowę i równocześnie kolnął go lodowaty strach. Na sekundę przestał oddychać. Już wiedział. Fotografię tego człowieka — zrobioną po śmierci — miał w kieszeni pod płaszczem.

Wagon hamował gwałtownie. Cross Row. Wsiadło kilka osób. Światła peronu drgnęły, przesunęły się, pomknęły w tył. Jechali dalej.

Znowu błysnęły reklamy i oświetlone napisy. Nawet nie spojrzął na nazwę stacji, choć miał już wysiąść. Siedział bez ruchu, stężył, patrząc na śpiącego. Rozległ się przeraźliwy syk, drzwi zamykały się, poziome linie świetlnych rur za oknami płynnie odchodziły w tył, znikły jak odcięte, wagon gnał ciemnym tunelem, nabierając pędu.

Gregory nie słyszał stukania kół, tak mocno krew łomotała mu w głowie. Otoczenie zmieniało się od nieruchomego patrzenia w blady, nalany krążącymi iskrami lej, na którego dnie spoczywała głowa śpiącego. Patrzył jak zahipnotyzowany w ciemną szczelinę nie domkniętych ust. W końcu ta twarz, jej blada, napuchła skóra zmieniła się w jego oczach w opalizujące światło, tak nieruchomo patrzył. Nie odrywając oczu od człowieka, sięgnął pod płaszcz, odpinając guziki, by wyciągnąć fotografię. Wagon hamował z sykiem. Gdzie byli, już w Camberwell?

Kilka osób wstało, jakiś żołnierz, zmierzając ku wyjściu, potrącił wysuniętą nogę śpiącego, który ocknął się nagle, bez słowa poprawił szybko kapelusz, wstał i wmieszał się między wychodzących.

Gregory skoczył ze swego miejsca, zwracając na siebie uwagę. Kilka twarzy odwróciło się za nim. Wyskoczył na peron z ruszającego pociągu, przemocą przytrzymując drzwi, które już się zamykały z przeciągłym syczeniem. Na tle biegnących wagonów dojrzał kątem oka rozgniewaną twarz dyżurnego ruchu. Biegąc, słyszał za sobą jego głos:

— Ej, mój młody panie!

W nozdrza uderzył go chłodny powiew. Raptownie zatrzymał się z bijącym sercem. Wmieszany w tłum, człowiek z wagonu zmierzał ku długiej, żelaznej barierce wyjścia. Gregory cofnął się. Za plecami miał kiosk gazetowy, z którego padało silne światło nie osłoniętej żarówki. Czekał.

Stary człowiek kuśtykał, wyprzedzany przez falę pasażerów. Utykał na jedną nogę. Kresy kapelusza obwisały mu, przemoczone, płaszcz był zmięty i wystrzępiony przy kieszeniach. Wyglądał jak ostatni nędzarz. Gregory popatrzał na ukrytą w dłoni fotografię. Nie było żadnego podobieństwa.

Stracił głowę. Czyżby to był przypadkowy zbieg zbliżonych trochę rysów i nastroju, w jakim się znajdował? Zmarły na pewno był daleko młodszy. No tak — to był zupełnie inny człowiek.

Ogłupiały, z rozluźnionymi mięśniami, czując łaskotliwe drganie policzków, Gregory patrzył to na fotografię, to na nadchodzącego. Stary zauważył wreszcie, że jest bacznie obserwowany, i zwrócił swą jakby za dużą, obwisającą na klapy kołnierza, nalaną twarz, z igiełkami siwego zarostu, ku detektywowi. Nie wiedzieć czemu tak się w niego zapatrzył, że twarz jego nabrała wyrazu bezmyślnego osłupienia, szczęka lekko opadła, zaślinione wargi znów się rozchyliły i w tym nagłym znieruchomieniu znów stał się podobny do zmarłego z fotografii.

Gregory wyciągnął rękę, by ją położyć na jego ramieniu, a wtedy tamten krzyknął coś czy raczej wydał ochryply głos przestachu i skoczył do ruchomych schodów.

Zanim Gregory ruszył w pogoń, wcisnęła się między nich rodzina z dwojgiem dzieci, tarasując przejście. Stary — widząc go na tle jadących w górę schodów — przemykał między stojącymi biernie podróżnymi, był coraz dalej.

Gregory począł roztrącać tarasujących mu drogę ludzi. Padło kilka gniewnych zapytań, jakaś kobieta zaczęła mówić coś z oburzeniem. Nie zwracał na to uwagi. U wyjścia na górze tłum był tak gęsty, że nie mógł się przecisnąć. Próbował przedrzeć się przemocą, lecz musiał zrezygnować. Kiedy w powolnym, narzuconym tempie wyszedł na ulicę, po człowieku z wagonu nie było ani śladu. Na próżno wypatrywał go na chodnikach. Rozsadzał go gniew na własną bezradność, bo rozumiał, że zawiniła sekunda jego osłupienia czy po prostu — strachu.

Samochody wymijały dwoma nurtami wysepkę otaczającą wejście do metra. Osłepiany co chwila reflektorami, Gregory stał na samym skraju jezdni, aż zatrzymała

się przed nim taksówka. Kierowca był przekonany, że ten człowiek czeka na auto. Drzwi otwały się. Gregory wsiadł i machinalnie rzucił swój adres. Kiedy samochód ruszył, zauważył, że ściska jeszcze w ręku fotografię.

Po dziesięciu minutach auto zatrzymało się na rogu małej uliczki przy Old Square. Gregory wysiadł, już prawie przekonany, że uległ przywidzeniu. Z westchnieniem poszukał w kieszeni kluczy.

Dom, w którym mieszkał, należał do państwa Fenshaw. Była to budowla stara, jednopiętrowa, z portalem godnym niemal katedry, o stromym i skomplikowanym dachu, grubych, ciemnych murach, z długimi korytarzami, obfitującymi w niespodziane skręty i uskoki, i z pokojami tak wysokimi, jak gdyby służyć miały jakimś istotom latającym. Myśl tę utwierdzało nadzwyczajnie ornamentacyjne malarskie bogactwo ich sufitów. Wybłyskujący z wysokości złoceniami sklepienia, pogrążony przez oszczędność światła w mroku, ogrom klatki schodowej, wykładanej marmurem, rozległy taras, wsparty na kolumnach, lustrzany salon z pajakami skopiowanymi z Wersalu i olbrzymia łazienka, przerobiona chyba z jakiejś bawialni — wszystkie te wspaniałości podziały na wyobraźnię Gregory'ego, kiedy w towarzystwie aspiranta Kinseya oglądał posiadłość państwa Fenshaw. A że i małżonkowie wywarli na nim raczej korzystne wrażenie, skorzystał z propozycji kolegi i zamieszkał w pokoju, który Kinsey opuszczał z powodów, jak mówił, osobistych.

Architekci wiktoriańscy, którzy stawiali ów dom, nic nie słyszeli o maszynach do mieszkania i w samej rzeczy budynek przedstawiał sporo niedogodności. Do łazienki musiał Gregory wędrować przez korytarz i oszklony ganek, droga zaś ze schodów do jego pokoju wiodła przez sześciodrzwiowy salon, prawie pusty, jeśli nie liczyć szerniałych płaskorzeźb o łuszczącej się pozłótcie, kryształowego pajaka i sześciu luster w kątach. Rychło jednak okazało się, że nie lokalowe mankamenty są najistotniejsze.

Prowadząc życie w nieustającym pośpiechu, wracając do siebie późno i całe dni spędzając w pracy, Gregory nie od razu dostrzegł utajone osobliwości nowej siedziby. Nie zdawał sobie sprawy z tego, kiedy ją go ona niepostrzeżenie wciągać w orbitę spraw, do których dotąd, jak sądził, nie można było przywiązywać najmniejszej nawet wagi.

Państwo Fenshaw od dawna już nie byli młodzi, lecz starzeli się opornie. On był wyblakły, chudy, o bezbarwnych włosach, które siwieją niepostrzeżenie, miał melancholijną twarz z nosem przeniesionym jakby z innej, znacznie mięsistszej, tak że sprawiał wrażenie przyprawionego. Nosił się po staroświecku, w zadziwiająco lśniących trzewiakach i szarym tużurku, z nieodstępną, nawet w domu, wysoką laską. Jego, małżonka była kobietą niekształtną, o małych, czarnych, jakby oliwą napuszczonych oczach. Chodziła w ciemnych sukniach, dziwnie pękata (Gregory począł po jakimś czasie podejrzewać, że wypycha je czymś umyślnie) i tak małomówna, że trudno było zapamiętać brzmienie jej głosu. Kiedy porucznik pytał Kinseya o gospodarzy, ten powiedział najpierw: „Dasz

sobie z nimi radę”, a potem dorzucił zagadkowo: „To takie żuźle”. Gregory, który życzył sobie podówczas tylko utwierdzenia w swym zamiarze przenośni do wielkiego domu, nie zwrócił na ten epitet uwagi, tym bardziej że Kinsey lubił wyrażać się dziwacznie.

Pierwszy raz po wprowadzeniu się spotkał Gregory panią Fenshaw wczesnym rankiem, kiedy maszerował do łazienki. Siedziała na malutkim, jak dla dziecka, stołku i popychała przed sobą obiema nogami dywan, zwijając go w rulon. W jednej ręce trzymała szmatkę, a w drugiej jakąś zaostrzoną blaszkę i masowała delikatnie odsłaniające się spod dywanu deseczki parkietu. Posuwała się w ten sposób razem ze stołkiem nadzwyczaj powoli, tak że wracając z łazienki zastał ją może pół metra dalej, skupioną i działającą wciąż tak samo. W głębi wielkiego salonu wyglądała jak czarna głowa wolno kurczącej się gąsienicy, którą stanowił wzorzysty dywan. Spytał, czy może jej w czymś pomóc. Podniosła na niego żółtawą, nieruchomą twarz i nic nie powiedziała. Po południu, wychodząc z domu, omal nie stracił jej ze schodów (światła nie paliły się), gdy przenosiła się ze swym stołeczkiem z jednego stopnia na drugi. Natykał się potem na nią o najosobliwszych porach i w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Gdy był u siebie i pracował, dobiegało go nieraz poskrzypywanie stołka, zbliżające się korytarzem z niesłychaną regularnością i powolnością. Kiedy owo skrzypienie zacichło pod jego drzwiami, pomyślał z niesmakiem, że gospodyni podsłuchuje go, i wyszedł energicznie na korytarz, ale pani Fenshaw, która drapała delikatnie posadzkę pod oknem, w ogóle nie zwróciła nań uwagi.

Gregory domyślił się, że pani Fenshaw oszczędza na służbie, a stołeczka nie opuszcza dla wygody, by się nie schylać. Proste to tłumaczenie, przypuszczalnie słuszne, nie wyczerpywało sprawy, bo pojawienie się pani Fenshaw i powolne przesuwanie na stołku z nieodłącznym skrzypieniem od świtu do zmierzchu, z wyjątkiem dwu godzin obiadowych, jęło przybierać w jego oczach charakter nieledwie demoniczny. Tęsknił wprost do chwili, kiedy jej skrzypiąca procesja ustanie, a na to trzeba było czekać nieraz całe godziny. W pobliżu pani Fenshaw przebywały dwa duże czarne koty, którymi nikt się z pozoru nie zajmował, a których Gregory nie znosił bez konkretnego powodu. Wszystko to razem nie powinno go było wcale obchodzić; mówił to sobie dziesiątki razy. Może by się odizolował od tego, co działo się poza ścianami jego pokoju, ale był jeszcze pan Fenshaw.

Za dnia nie słyszał jego obecności. Stary pan zajmował pokój obok Gregory'ego, wychodzący także drugimi drzwiami na piękny taras, który skusił porucznika. Dobrze po dziesiątej, a czasem po jedenastej, rozlegały się zza ściany, dzielącej oba pokoje, miarowe stuknięcia. Raz pełne i dźwięczne, raz głuche, jakby ktoś opukiwał mur drewnianym młotkiem. Potem następowały inne zjawiska akustyczne. Gregory'emu wydawało się zrazu, że bogactwo ich jest nieprzebrane, lecz mylił się. Już po miesiącu wiedział, że najczęstszych odgłosów jest nie więcej niż osiem.

Po wstępnym stukaniu rozlegał się tam, za tapetowaną w różyczki ścianą, odgłos pusty, jakby toczono jakąś drewnianą rurę czy beczułkę po gołej podłodze. Były energiczne, choć miękkie wstrząsy podłogi, niczym bosc stapania, kiedy ktoś całym ciężarem ciała staje przy każdym kroku na piętach; było klaskanie, a raczej gęste, nieprzyjemne plaśnięcia, niby otwartą dłonią po jakiejś baloniastej, wilgotnej, być może powietrzem nadętej powierzchni; było przerywane syczenie, zdarzały się wreszcie dźwięki trudne do opisania. To uporczywe chroboty, przerywane blaszanymi puknięciami, to znów energiczne, płaskie trzaśnięcia, niby packi na muchy, albo coś jak pęknięcie nadmiernie naciągniętych strun muzycznego instrumentu. Odgłosy te następowały po sobie w niejednakowej kolejności, niektórych nie było czasem i przez kilka wieczorów, oprócz owych miękkich wstrząsów, określanych przez Gregory'ego jako stapania boso. Występowały one zawsze, a gdy stawały się spiesniejsze, można było oczekiwać koncertu o szczególnym bogactwie i natężeniu. Większość owych szmerów i dźwięków nie była specjalnie głośna, jednakże Gregory'emu, który leżał pod kołdrą w ciemnym pokoju, patrząc w niewidzialny wysoki sufit, wydawało się czasami, że wstrząsają jego mózgiem. Ponieważ nie prowadził żadnej samoobserwacji, nie potrafiłby określić, kiedy jego zainteresowanie tymi odgłosami z błahaego pobudzenia ciekawości przemieniło się w jakąś chorobliwą nieomal udrękę. Być może, wyculiło go na nocne misteria osobliwe zachowanie pani Fenshaw za dnia, był jednak w tym czasie zbyt zaabsorbowany pewnym śledztwem, które prowadził, aby się nad tym zastanawiać. Początkowo spał doskonale i właściwie mało co słyszał. Gdy jednak raz i drugi rozpoznał odgłosy wyróżniające się swoją tajemniczą oryginalnością, ciemny pokój stał się dlań rezonatorem aż nadto doskonałym. Kiedy sobie twardo powiedział, że nocne praktyki pana Fenshaw nic a nic go nie obchodzą, było już za późno.

Usiłował je sobie zatem wytłumaczyć i wyteźzał fantazję, aby pod owe nic nie mówiące, zagadkowe dźwięki podłożyć jakąś logiczną treść, lecz w niedługim czasie okazało się to niemożliwe.

Przedtem zasypiał natychmiast i spał do rana jak kamień, a ludzi skarżących się na bezsenność wysłuchiwał z uprzejmym zdziwieniem, graniczącym z niewiarą. W domu państwa Fenshaw nauczył się brać środki nasenne.

Raz na tydzień, w niedzielę, jadał obiad z gospodarzami. Prosili go nań zawsze w sobotę. Przy tej okazji udało mu się raz zajrzeć do sypialni pana Fenshaw. Pożałował tego, gdyż mozolnie zbudowana hipoteza, że gospodarz zajmuje się jakimiś pracami eksperymentatorskimi bądź mechanicznymi, runęła. W owym dużym, z lekka trójkątnym pokoju oprócz wielkiego łóżka, szafy, nocnego stolika, umywalni i dwu krzeseł nie było nic — żadnych narzędzi, desek, balonów, schowków czy beczulek. Nawet książek.

Przy niedzielnym stole panował nastrój nieciekawych. Państwo Fenshaw należeli do ludzi nie mających do powiedzenia nic własnego. Żywili przeświadczenia i sądy powie-

lane przez „Daily Chronicle”; byli grzeczni na sposób lakoniczny, mówili o remontach, jakich wymaga dom, i jak trudno zdobyć na to środki, albo opowiadali o dalekich powinowatych, stanowiących romantyczną, bo indyjską część rodziny. Pospolitość obiadowej rozmowy była taka, że wspomnieć o nocnych odgłosach czy procesjach na stołku nie dawało się; jakakolwiek uwaga czy pytanie nie przeszłyby wprost Gregory’emu przez gardło.

Gregory powiadał sobie, że goni w piętke i gdyby tylko się domyślił, a przynajmniej stworzył hipotezę na temat, co robi jego sąsiad za ścianą około północy, uwolniłby się od udręki leżenia z otwartymi oczami w ciemnym pokoju. Myśl jednak, próbująca podłożyć sens pod korowody dziwacznych dźwięków, poruszała się jak w próżni. Raz, trochę zamroczony proszkiem nasennym, który zamiast snu sprowadził bezmyślną ociężałość, zerwał się cicho i wyszedł na taras. Szklane drzwi pokoju pana Fenshaw były jednak zasłonięte od wewnątrz nieprzejrzystymi firankami. Wrócił do siebie drżąc z zimna i wśliznął się pod kołdrę z uczuciem zbitego psa. Mroczyło mu się, że popełnił coś, czego będzie się wstydził przez całe lata.

Praca tak go pochłaniała, że za dnia niemal nigdy nie myślał o wieczornych wydarzeniach. Najwyżej raz czy drugi wydało mu się, że spotkany przygodnie w gmachu komendy Kinsey patrzył na niego trochę wyczekująco, z ostrożną ciekawością, ale nie zdecydował się nawet napomknąć mu o czymkolwiek. Takie to było w końcu błahe. Po jakimś czasie nieznacznie, z wolna zmienił plan dnia — przynosił do domu protokoły i wysiadywał nad nimi do północy, a nieraz i dłużej, i w ten sposób wyłgał się przed samym sobą z ostatecznego pohańbienia, którego był już bliski. W godzinach bezsenności bowiem, jak to bywa, przychodziły mu cło głowy pomysły najniezwyklesze; parę razy gotów był po prostu uciec gdzieś — do jakiegoś hotelu czy pensjonatu.

Tego wieczoru, kiedy wrócił od Shepparda, zależało mu na spokoju bardziej niż kiedykolwiek. Alkohol wywietrzał mu na dobre z głowy, został tylko zły, cierpki smak na języku i oczy piekły go, jakby miał pod powiekami piasek. Schody, pogrążone w mroku, były puste. Przeszedł szybko przez salon, w którym lodowato lśniły w kątach ciemne lustra, i z ulgą zamknął za sobą drzwi. Z nawyku — był to już odruch — znieruchomiał, nasłuchując. W takich chwilach w ogóle już nie myślał, działając instynktownie. Dom był martwy. Zapalił lampę, zauważył, że powietrze jest duszne i ciężkie, otworzył więc na oścież drzwi wiodące na taras i zabrał się do parzenia kawy w małej elektrycznej maszynie. Głowa go bolała. Przedtem zajęty był czymś innym, teras ból wypływał jakby na powierzchnię. Usiadł na krześle przy posykującej maszynie. Uczucie doznanego w tym dniu nieszczęścia było nieodparte. Musiał wstać. A przecież nic się nie stało. Umknął mu człowiek podobny nieco do zmarłego z fotografii. Sheppard dał mu do prowadzenia sprawę, której sam pragnął. Inspektor nagadał trochę dziwnych rzeczy, ale w końcu były to tylko słowa, a Sheppard mógł odrobiną dziwaczyć. Może stawał się na

starość mistykiem? Co jeszcze? Przypomniał sobie scenę ze ślepego pasażu — spotkania z samym sobą — i uśmiechnął się mimo woli: to ci detektyw ze ranie... „Ostatecznie, jeśli nawet zawalę tę sprawę, nic się nie stanie” — pomyślał. Wyjął z szuflady gruby notes i począł wypisywać na czystej stronie: MOTYWY. Chęć zysku — namiętność (religijna?) — erotyczna — polityczna — obłąd.

Począł skreślać kolejno pozycje, aż została mu tylko „namiętność religijna”. Jakże to kretyńsko brzmiało. Odrzucił notes. Oparł głowę na rękach. Maszynka syczała coraz zjadliwiej. To naiwne wypisywanie motywów w notesie nie było takie głupie. Znów krążyła blisko myśl, której się lękał. Czekał biernie. Narastało w nim ponure przeświadczenie, że znów rozwiera się coś niepojętego, ciemność, w której będzie się ruszać bezradnie jak robak.

Wzdrygnął się. Wstał, podszedł do biurka i otworzył zwałisty tom „Medycyny sądowej” w miejscu, gdzie tkwiła między stronami zakładka. Rozdział nosił nazwę „O rozkładzie gnilnym zwłok”.

Zaczął czytać, ale po chwili już tylko oczy szły posłusznie za tekstem. Podczas kiedy wciąż niby to czytał, zobaczył wyraźnie pokój Shepparda, jego ściany z galerią skrępiłych twarzy. Wyobraził sobie, jak ten człowiek przechadza się tam, od okna ku drzwiom w pustym domu, jak przystaje przed tą ścianą i patrzy. Gregory wzdrygnął się, bo doszedł do kresu. Podejrzewał Shepparda. Maszynka gwizdała przeraźliwie od dłuższej chwili. Wrzątek perlił się pod szklanym kołpaczkiem, kawa była gotowa. Zamknął tom, wstał, nalał kawy do filiżanki i pil ją wielkimi haustami, stojąc w otwartych drzwiach. Nie zważał, że parzy mu gardło. Nad miastem wisiała mętna łuna. Samochody sunęły jezdnią, gasząc smugi leżących na asfalcie, jakby wtopionych w czarne szkło światła. Usłyszał dochodzący z głębi domu słaby chrobot, jakby się mysz dobierała do cienkiego drzewa, ale wiedział, że to nie mysz. Czuł, że przegrywa, nim jeszcze rozpoczęła się gra. Uciekł na taras. Z rękami na kamiennej balustradzie podniósł oczy do nieba. Było pełne gwiazd.

Rozdział III

Gregory zbudził się z przeświadczeniem, że we śnie objawiło mu się rozwiązanie całej sprawy, tylko nie mógł go sobie uzmysłowić. Przy goleniu nagle przypomniał sobie: śniło mu się, że był w Lunaparku i strzelał z dużego czerwonego pistoletu do niedźwiedzia, który po trafieniu wstawał z rykiem na tylne nogi, potem okazało się, że to nie był niedźwiedź, ale doktor Sciss, bardzo blady, okryty czarną peleryną. Gregory mierzył w niego z pistoletu, który stał się miękki jak guma i nie był do niczego podobny, ale on wciąż pociągał palcem w miejscu, gdzie powinien być cyngiel. Więcej nie pamiętał. Ogoliwszy się, postanowił zatelefonować do Scissa i umówić się z nim. Kiedy wychodził z domu, pani Fenshaw zwijała długi chodnik w hallu. Pod jej stołeczkiem siedział jeden z kotów. Gregory nigdy nie mógł ich odróżnić, chociaż gdy były razem, widział, że nie są do siebie podobne.

Śniadanie zjadł w barze po przeciwległej stronie placu, a potem zatelefonował do Scissa. Kobięcy głos odpowiedział, że doktora nie ma w Londynie. Zburzyło mu to plan. Wyszedł niezdecydowany na ulicę, powalał się przed wystawami, godzinę krążył po wszystkich piętrach Woolwortha, nie wiadomo po co, o dwunastej opuścił dom towarowy i pojechał do Scotland Yardu.

Był wtorek. Obliczył sobie, ile dni zostało jeszcze do terminu wskazanego przez Scissa. Przejrzał meldunki z prowincji, zbadał skrupulatnie komunikaty meteorologiczne i prognozę długodystansową dla południowej Anglii, porozmawiał z maszynistkami i na wieczór umówił się z Kinseyem do kina.

Po kinie znów nie wiedział, co robić. Diabelnie nie chciało mu się studiować „Medycyny sądowej”, nie z lenistwa, ale dlatego, że ilustracje zamieszczone w podręczniku wprawiały go w nieprzyjemny nastrój. Przed nikim by się oczywiście do tego nie przyznał. Wiedział, że musi czekać. Najlepiej byłoby wyszukać sobie jakieś możliwie ciekawe zajęcie, wtedy nie dłużyłby się tak czas. Nie było to takie łatwe. Wynotował książki i numery „Archiwum Kryminologicznego”, które chciał wypożyczyć, obejrzał w klubie nadawaną przez telewizję transmisję z meczu piłki nożnej, posłęczał w domu dwie godziny nad książkami i poszedł spać w przekonaniu, że zmarnował dzień.

Nazajutrz zbudził się z twardym postanowieniem studiowania statystyki. Kupił kilka podręczników, z księgarni pojechał do Yardu, gdzie zmitrężył czas do obiadu, po czym, znalazłszy się na stacji metra w Kensington Gardens, spróbował zabawić się tak, jak to czasem robił na studiach. Wsiadł do pierwszego pociągu, który nadjechał, wysiadł tak samo byle gdzie i dał się w ciągu całej godziny nosić po mieście najzupełniej przypadkowym impulsom. Kiedy miał lat dziewiętnaście, fascynowała go ta gra z samym sobą. Nie pojmował, jak to się dzieje, że stojąc w tłumie, do ostatniej chwili nie wie, czy pojedzie tym właśnie pociągiem, czy nie. Czekał jakiegoś wewnętrznego znaku, jakiegoś pchnięcia woli, czasem mówił sobie: „Teraz nie ruszysz się z miejsca” — i właśnie wsiadał, gdy drzwi już się zamykały. To znów surowo powiadał: „Wsiadę, do następnego pociągu” — a wsiadał właśnie do tego, który stał przed nim. Gregory pasjonował się podówczas tajemnicą tak zwanego „przypadku” i usiłował własną psychikę uczynić terenem studiów i samoobserwacji — co prawda, bez poważniejszych rezultatów. Widocznie jednak, kiedy ma się dziewiętnaście lat, nawet taki sposób odkrywania zagadek psychiki może być zabawny. Teraz przekonał się, że jest już jakimś zupełnie innym, pozbawionym fantazji Gregorym, bo po godzinie (pod koniec zmuszał się już do nowych przesiadek, wiedząc dobrze, jak mało ma poza tym do roboty) miał wszystkiego dość. Wstąpił do „Europy” koło szóstej, ale zobaczył przy barze Farquarta i natychmiast wyszedł, zanim go tamten zauważył. Wieczorem znowu poszedł do kina i wynudził się. Studiował w domu statystykę, aż nad sążnistymi wzorami zmorzył go sen.

Było jeszcze ciemno, kiedy wyrwał go z łóżka dzwonek telefonu.

Biegając boso po zimnej posadzce, uzmysłowił sobie, że przeciągły sygnał już od dłuższego czasu drażył jego sen. Rozespany, nie mógł odnaleźć kontaktu lampy. Telefon dzwonił i dzwonił. Chwytał słuchawkę po omacku.

— Gregory — powiedział.

— Nareszcie. Myślałem, żeś nie nocował w domu. No, masz sen! Daj Boże każdemu. Słuchaj, odebrałem meldunek z Pickering. Była tam próba kradzieży zwłok.

Od pierwszego słowa poznał głos — mówił dyżurny z Yardu, Allis.

— Pickering? Pickering? — usiłował sobie przypomnieć. Stał, chwiejąc się od senności, po ciemku, a dyżurny beczał w słuchawce:

— Posterunkowy, który pilnował kostnicy, dostał się pod samochód. Pogotowie już tam musi być. Jakaś pogmatwana historia, wiesz. Auto, które przejechało tego konstabla, zostało na drzewie. Zresztą zobaczysz wszystko sam.

— Kiedy to było? O której?

— No, może pół godziny temu. Meldunek odebrałem przed chwilą. Chcesz mieć kogoś specjalnie, to mów, bo zaraz wysyłam maszynę.

— Dudley jest?

— Nie. Miał służbę wczoraj. Wilsona weź. Nie gorszy. Złapiecie go po drodze, wyciągnę go zaraz z łóżka.

— Dobra, niech będzie Wilson. I daj mi technika z trójki, najlepiej Thomasa, słyszysz? Niech weźmie, cały kram. Aha, i doktor, co z doktorem?

— Mówiłem ci, że tam posłali pogotowie. Doktor musi być już na miejscu.

— Ale od nas, człowieku! Nie do leczenia doktor, wprost przeciwnie!

— Dobra, załatwię to. Spiesz się teraz, wysyłam wóz.

— Daj mi dziesięć minut.

Gregory zapalił lampę. Podniecenie, które ogarnęło go w ciemności, gdy tak długo dzwonił telefon, znikło bez śladu po pierwszych słowach dyżurnego. Podskoczył do okna. Było prawie zupełnie ciemno. Nocą śnieg pokrył ulicę. „To dobrze” — pomyślał. Pobiegł na palcach do łazienki. Obliczył sobie, że zdąży wziąć tusz, nim Thomas zapakuje wszystkie swoje graty. Nie omylił się. Chodził pod bramą w płaszczu z postawionym kołnierzem, a wozu nie było. Spojrzał na zegarek: dochodziła szósta. Usłyszał motor. Był to duży, czarny oldsmobile. Przy kierownicy siedział sierżant Calls, obok niego fotograf Wilson, z tyłu jeszcze dwu ludzi. Wóz nie zatrzymał się na dobre, gdy Gregory wsiadł, mocno zatrzaskując drzwi. Targnęło, ruszyli padem z zapalonymi światłami.

Z tyłu siedział Sörensen, obok niego Thomas. Gregory przycupnął przy nich. Było trochę ciasno.

— Macie coś do picia? — spytał Gregory.

— Jest kawa. Termos tam, z tyłu, za doktorem — powiedział Calls od kierownicy. Wy ciągał na pustych ulicach do siedemdziesięciu, pomagając sobie syreną. Gregory odnalazł termos, wychylił haustem pełny kubek i podał go dalej. Syrena wyła przeraźliwie. Gregory lubił taką jazdę. Reflektory zamiatały na wirażach, było szaro, tylko śnieg rozwidniał ulice.

— Co tam się stało? — spytał Gregory. Nikt nie odpowiedział.

— Meldunek jak z prowincji — zauważył wreszcie Calls. — Podobno chłopca, który miał służbę na cmentarzu, wyciągnął spod auta nasz patrol motocyklowy. Złamana głowa czy coś w tym rodzaju.

— No, a zwłoki?

— Zwłoki? — powtórzył z namysłem Calls. — Zwłoki bodaj że zostały.

— Jak to zostały? — spytał zaskoczony Gregory.

— Widać spłoszyli faceta i uciekł — wmieszał się siedzący w kącie obok Sörensena technik Thomas.

— No, zobaczymy — burknął Gregory. Oldsmobile ryczał, jakby nie miał tłumika. Zwarta zabudowa zostawała za nimi; zbliżali się do przedmieść. Przy jakimś wielkim parku wpadli w ławicę mgły. Calls zwolnił, potem, kiedy się przetarło, dodał gazu. Na przedmieściu ruch był większy, jechały wielkie ciężarówki załadowane bańkami i piętrowe, oświetlone autobusy, już pełne. Calls operował syreną, torując sobie drogę.

— Pan nie spał tej nocy? — spytał Gregory doktora.

Sörensen miał podkrążone oczy. Siedział krzywo, jakby cały połamany.

— Poszedłem spać po drugiej. Zawsze tak jest. I na pewno w ogóle nie będę potrzebny.

— Ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś — zauważył filozoficznie Gregory.

Przemknęli przez Fulham, zwolnili przed mostem i przejechali nad Tamizą w rzadkiej mgle. Rzeka płynęła w dole, ołowiana, przechodził jakiś stateczek, ludzie na pokładzie zwijali się jak w ukropie, kładąc komin. Gdzieś ryknęła syrena. Kępa drzew na przyczółku mostowym tylko mignęła. Calls prowadził bardzo pewnie. Gregory uważał go za najlepszego kierowcę Yardu.

— Szeff wie? — rzucił pytanie.

— Wie, Allis dał mu znać. Tak rozporządził — powiedział Thomas. Był tak samo mały i szybki jak sierżant, ale nosił wąsik, który upodabniał go do podmiejskiego fryzjera. Gregory pochylił się do przodu. Było mu tak wygodniej, a poza tym między ramionami siedzących przed nim mógł patrzeć na drogę. Mokry śnieg zbił się pod kołami licznych ciężarówek w gładką skorupę. Obserwował z przyjemnością, jak Calls wchodzi na wiraż, hamując samym motorem, który dławił się i strzelał, jak w połowie krzywizny łapał go gazem i pełnymi obrotami wychodził na prostą. Nie ścinał zakrętów, policji nie wypadało tak jeździć, chyba w nadzwyczajnych wypadkach, zresztą na tak ubitym śniegu każde szarpnięcie mogło się skończyć w rowie.

Byli już za Wimbledonem, strzałka oscylowała delikatnie, dochodziła do dziewięćdziesiątki, szła ku setce, wracała, drżąc, znów posuwała się małymi skokami w przedziałkach skali. Jakiś ciężki osobowy buick jechał przed nimi. Calls dał najpierw zwykajny sygnał, tamten jakby nie słyszał, widać było jego rosnący wiśniowy tył z tańczącym w tylnym oknie niedźwiadkiem-maskotką i Gregory przypomniał sobie nagle swój przedwczorajszy sen. Uśmiechnął się, był silny, czuł się dobrze i pewnie. Calls na jeźdźca na tamtego. Kiedy był o pięć metrów, włączył syrenę, która zawyła rozdzierająco, buick zwolnił, gwałtownie hamując, śnieg, wyrzucany tylnymi kołami, bryznął im w szybę. Mijany samochód zarzucił lekko, zjeżdżając w głębszy śnieg, jego tył na mgnienie wszedł przed maskę policyjnej maszyny, zderzenie zdawało się nieuniknione. Calls krótkim ostrym pchnięciem koła sterowego rzucił nimi wszystkimi w prawo, zobaczyli jeszcze zdziwioną twarz młodej kobiety Drży kierownicy, i już byli daleko. Kiedy Gregory popatrzał przez tylne okienko, buick wjeżdżał dopiero na środek szosy.

Mgły już nie było. Wokół rozpościerała się biała równina, z domostw płynęły stromo dymy, niebo leżało płaskie, o barwie tak nieokreślonej, że nie wiadomo było, czy jest pochmurne. Przelecieli przez rozjazd, opony zabębniły nerwowo, teraz byli na autostradzie. Calls rozparł się, zmałał trochę, wszedł nogami głębiej w pedały, czarne pudło rozbrzmiało wyciem motoru. Ciągnęli już sto dziesięć.

W oddali ukazała się niewielka osada. Calls zaczął hamować przy znaku drogowym. Od autostrady szło w lewo długie ramię asfaltu ze szpalerem starych drzew, dwieście metrów dalej autostrada wypuszczała serpentynę rozjazdu. Gregory, ledwo stanęli, wstał, o ile pozwolił na to dach, żeby zerknąć na mapę, którą sierżant rozłożył na kierownicy. Mieli jechać w lewo.

— To już Pickering? — spytał Gregory. Calls przerzucał biegi, jakby się bawił.

— Jeszcze pięć mil.

Zjechali na boczną drogę. Prowadziła łagodnie pod górę. Naraz z tyłu zaświeciło słońce. Rozmyte ostatkiem mgły, prawie nie rzucało cieni. Zrobiło się ciepło. Minęli stojące daleko od drogi dwa, trzy domy, długie zabudowanie: jakiś barak z desek; pochyłość skończyła się. Z jej wierzchu widać było pod słońce całe miasteczko, dymy różowiły się w blasku, krętym czarnym szlakiem strumień przecinał śnieg. Przejechali przez żelbetowy mostek. Z boku wyłoniła się sylwetka policjanta w motocyklowym hełmie. Płaszcz sięgał mu niemal do kostek. Zatrzymał ich czerwoną tarczką. Calls zahamował i spuścił szybę.

— Dalej trzeba iść — zwrócił się do siedzących, wymieniwszy kilka słów z posturkiem. Włączył bieg i zjechał na skraj drogi. Wszyscy wysiedli. Okolica wydała się od razu inna — biel, milczenie, spokój, pierwszy dotyk słońca na dalekich lasach pod horyzontem; powietrze było ostre, a jednocześnie wiosenne. Śnieg odkruszał się okiściami z gałęzi kasztanów i spadał na szosę.

— Tam — wskazał im ręka policjant z patrolu drogowego. Szosa łagodnym wirażem omijała następne, płaskie wzgórze, szły od niej nieprzejryste, ukryte w pobielonych krzakach alejki, z wystającym w dole ceglany dachem, na wprost zaś, jakieś trzysta kroków dalej, przesłonięty szpalerem przydrożnych drzew, widniał niewyraźnie kształt samochodu, mocno przechylonego. Opodał stał człowiek na skraju drogi. Poszli jej skrajem, gdyż tak polecił im posterunek. Mokry śnieg osiadał nieprzyjemnie pod butami i lepił się do nich. Gregory, który szedł pierwszy, zauważył, że na szosie, którą przegradzał rozpięty między drzewami sznur, widniały wyraźnie ślady opon samochodowych. Musieli przejść przez rów na pole i tamtędy, bokiem, dostali się na miejsce wypadku.

Stał tam, przednimi kołami już poza szosą, ze strzaskanym reflektorem, wbitym w pień drzewa, długi popielaty bentley. Przednią szybę rysowały promieniste pęknięcia. Drzwiczki były uchylone, wewnątrz wozu puste, o ile Gregory mógł je zobaczyć. Miejscowy policjant zbliżył się ku nim. Gregory patrzył przez chwilę na usytuowanie bentleya i nie odwracając głowy spytał:

— No i co się tu stało?

— Samochód pogotowia już odjechał, panie inspektorze. Zabrali Williamsa — powiedział policjant.

— Williams to był ten, który miał służbę przy kostnicy? — zwrócił się ku niemu Gregory.

- Tak, panie inspektorze.
- Jestem porucznikiem. Gdzie jest ta kostnica?
- Tam.

Gregory spojrzał we wskazanym kierunku i teraz dopiero zobaczył cmentarz, pozbawiony muru, z regularnymi prostokątami nagrobków, okrytych śniegiem. Nie widział go przedtem, bo trzeba było patrzeć prosto pod wschodzące, niskie jeszcze słońce. Kępy krzaków przesłaniały miejsce, w którym od szosy odchodziła krótka odnoga, kończąca się u otoczonego krzakami budynku.

- To jest kostnica, ta pod papą?

— Tak, panie poruczniku. Ja tam miałem służbę dziś do trzeciej i Williams mnie zmienił. Jak to się stało, komendant ściągnął nas wszystkich, dlatego...

— Pomału. Powiedźcie wszystko, co wiecie. Williams miał służbę po was, i co było dalej?

- Nie wiem, panie poruczniku.
- A kto wie?

Gregory niełatwo tracił cierpliwość. Był doświadczony w takich rozmowach.

Widząc, na co się zanosi, ludzie z Yardu urządzili się, jak kto mógł. Fotograf i technik postawili swoje rzeczy na śniegu, przy rowie, gdzie, oparty o słupek milowy, stał motocykl policjanta — ze służby drogowej. Sörensen zapalał papierosa. Wiatr gasił mu zapaliki. Policjant, blondyn o wyłupiastych, pocziwych oczach, odchrząknął:

— Nikt nie wie, panie poruczniku. To było tak: Williams miał służbę od trzeciej. O szóstej miał go zmienić Parrings. Tymczasem o wpół do szóstej jakiś szofer zatelefonował na posterunek, że uderzył autem policjanta, który leciał mu pod koła. Chciał go wyminąć i rozbił maszynę. To wtedy...

— Nie — powiedział Gregory — jeszcze nie tak. Powolutku. Na czym polegała służba przy kostnicy?

- No... mieliśmy chodzić dookoła i sprawdzać drzwi i okna.
- Dookoła budynku?

— Nie całkiem tak, panie poruczniku, bo tam są z tyłu krzaki do samej ściany, to się chodziło takim szerszym kołem, aż do grobów i z powrotem.

- Jak długo trwał jeden obchód?

— Zależy. Tej nocy to i dziesięć minut może, bo był duży śnieg i szło się ciężko, i mgła, za każdym razem trzeba było sprawdzić, czy drzwi...

- Dobrze. Więc na posterunek zatelefonował kierowca tego samochodu, tak?

- Tak, panie poruczniku.
- Gdzie on jest?

— Ten szofer? Na posterunku, panie poruczniku. Doktor Adams go opatrzył, bo miał głowę trochę rozkrajaną.

— Aha. Doktor Adams to miejscowy lekarz?

— Tak.

Gregory, który stał bez ruchu na skraju szosy, spytał z niespodzianą surowością:

— Kto tu łąził? Kto rozdeptał ten cały śnieg? Byli tu jacyś ludzie?

Policjant zamrugał. Był zdziwiony, ale spokojny.

— Nikt tu nie był, panie poruczniku. Komendant kazał odgrodzić sznurem, to nikt tam nie chodził.

— Jak to nikt? A pogotowie jak wzięło Williamsa?

— O, Williams leżał dalej. Myśmy go tam znaleźli, pod drzewem — wskazał ręką na zagłębienie w śniegu wypełniającym rów po przeciwległej stronie szosy, jakieś dziesięć do dwunastu kroków za autem.

Nic już nie mówiąc, Gregory zrobił duży krok i wszedł w obręb zamkniętej przestrzeni, trzymając się, jak się dało, samego jej brzegu. Bentley nadjechał z tej samej strony, z której oni przybyli, zapewne z Londynu. Stąpając cały czas jak najostrożniej, przeszedł kilkadziesiąt kroków tam i z powrotem szosą, wzdłuż śladów auta. Ich proste linie w pewnym miejscu zacierały się; śnieg był zdarty z nawierzchni do gołego asfaltu i porzrzucany małymi bryłkami na boki. Jasne było, że kierowca gwałtownie zahamował i zablokowane koła, sunąc nieruchomo, działały jak pług śnieżny. Dalej widniał wryty w śniegu długi łuk, kończący się u tylnych kół bentleya, który zarzucił widocznie bokiem i wjechał na drzewo. Plastyczny, mokry śnieg utrwalił ślady innych jeszcze samochodów, zwłaszcza na skraju szosy odcisnięte głęboko, podwójne koleiny znaczyły przejazd wielkiej jakiejś ciężarówki o charakterystycznych romboidalnych nacięciach opon. Gregory szedł jakiś czas z powrotem w stronę Londynu i bez trudu stwierdził, że ostatnim autem, jakie tędy przejeżdżało, był bentley, gdyż ślady jego w kilku miejscach zatarty koleiny innych samochodów. Teraz przeszedł do poszukiwania śladów człowieka; w tym celu poszedł dość daleko w stronę przeciwną, oddalając się od grupki ludzi i auta w rowie. Rowem tym przeszedł jakiś cały pochód, tak wiele było w nim śladów. Uprzytomnił sobie, że tędy musieli wynieść ofiarę wypadku sanitariusze pogotowia. W myśli pochwalił sumiennego komendanta z Pickering. Na szosie widniały tylko ślady ciężkich butów. Człowiek, który je zostawił, biegł, robiąc krótkie kroki jak ktoś niewprawny, usiłujący rozwinąć największą szybkość.

„Biegł od strony cmentarza” — zorientował się Gregory — „wypadł na szosę i gnał w stronę miasteczka, środkiem, jak lokomotywa. Policjant tak uciekał? Przed czym?”

Szukał śladów jakiegoś prześladowcy. Nie było żadnych; śnieg wokół był nietknięty. Poszedł jeszcze dalej, aż do miejsca, w którym od szosy odchodziła wycięta w gęstych krzakach alejka przy cmentarni. Jakies dwadzieścia kroków dalej natknął się, już za wylotem alejki, na ślady auta i ludzi. Śnieg utrwalił je dokładnie. Samochód przyjechał z przeciwnej strony, zawrócił i stanął (ślady opon były w tym miejscu głębsze, nie-

kowate), dwu ludzi wysiadło, trzeci podszedł do nich z boku i poprowadził ich w stronę bentleya. Szli ku niemu rowem. Potem wrócili tą samą drogą, mieli może jakiś kłopot z tym, którego przynieśli, bo widać było okrągłe, małe odciski — postawili na śniegu nosze, zanim wsunęli je do auta. Miejsce to leżało z dala od wylotu alejki, Gregory wszedł w nią, ale zaraz zawrócił, bo wszystko było jasne. Wypełnione błękitnawym cieniem ślady uciekającego prowadziły jak strzełił w stronę kostnicy, której niedawno pobielona ściana zamykała częściowo widok z odległości jakichś stu metrów.

Wrócił do bentleya, pilnie oglądając ślady biegnącego. Na osiem kroków od miejsca, w którym stał rozbity samochód, ślady jakby zatoczyły się — być może, człowiek ów chciał raptownie skręcić, jednakże dalej mało co było już widać, gdyż śnieg był zryty i stratowany. Stojąc, z rękami zaciśniętymi w kieszeniach, Gregory gryzł wargi.

„Przodem go wyminął!” — zdecydował — „ale wszedł w boczny poślizg, zarzucił i dosięgnął go... chyba samym końcem bagażnika”. Podniósł głowę.

— Co jest z tym, z Williamsem? Co mu jest?

— Nieprzytomny, panie poruczniku. Lekarz bardzo się dziwił, ten z pogotowia, jak on mógł przejść tam dalej, bo on tu upadł. O, tutaj.

— Skąd wiecie, że tutaj?

— Bo tu jest krew...

Gregory pochylił się nisko nad wskazanym miejscem. Trzy, nie — cztery zakrzepłe brunatne cętki weszły głęboko w śnieg, tak że trudno je było dostrzec.

— Byliście tu, jak go pogotowie zabierało? Był przytomny?

— O, nie, całkiem nie.

— Krwawił?

— Nie krwawił, to znaczy tylko trochę, z głowy, z uszu, zdaje się.

— Gregory, kiedy pan się zlituje nad nami? — spytał Sörensen, ziewając demonstracyjnie. Rzucił w śnieg palącego się papierosa.

— Regulamin nie przewiduje litości — rzucił Gregory. Rozejrzał się jeszcze raz. Wilson rozciągał już z trzaskiem swój statyw, a Thomas kłął cicho, bo mu się talk rozsywał w walizce i umoczył wszystkie narzędzia.

— No, to róbcie swoje, chłopcy — zakonkludował Gregory — ślady, pomiary i tak dalej, lepiej za dużo niż za mało, a potem przyjdźcie do kostnicy. Ten sznur będzie można potem zdjąć. Doktorze, może będzie coś dla pana... zaraz. Gdzie jest komendant? — zwrócił się do policjanta.

— W mieście, panie poruczniku.

— No, to idziemy.

Gregory rozpiął płaszcz, zrobiło mu się gorąco. Policjant, niezdecydowany, przestąpił z nogi na nogę.

— Mam iść też, panie poruczniku?

— Chodźcie.

Sörensen szedł za nimi, wachlując się kapeluszem. Słońce porządnie przypiekało, śnieg znikł już z gałęzi, stały czarne i mokre na głębokim błękitcie. Gregory liczy; kroki od krzaków, skąd od szosy odchodziła droga na cmentarz, było ich sto sześćdziesiąt. Droga i cmentarz za nią leżały w cieniu między dwoma łagodnymi wzgórzami. Miasteczka nie było stąd widać, tylko jego dymy. Śnieg leżał tu ciężki i mokry; ciągnęło chłodem. Kostnica, nieduży barak obrzucony byle jak wapnem, wchodziła tylną częścią w gęste poszycie krzaków. Miała dwa północne okienka i w węższej ścianie drzwi, sklecone z desek, wpółotwarte, bez zamka, ze skoblem. Było tu dużo śladów. Przed samym progiem leżał płaski kształt przykryty plandeką.

— To jest ciało?

— Tak, panie poruczniku.

— Nie ruszane? Tak leżało?

— Całkiem tak samo. Nikt nie ruszał, panie poruczniku. Komendant, jak tu przyjechał z doktorem, to oglądał, ale nikt nie ruszał.

— A ten brezent?

— Komendant kazał nakryć.

— A czy mógł tu przyjść ktoś, jakeście stali na szosie, co?

— Nie mógł, panie poruczniku, bo szosa zamknięta.

— Z tej strony, ale od Hackey?

— Tam też stoi posterunek, tylko go stąd nie widać, bo za górką.

— No, a polami?

— Chyba polami — zgodził się policjant — ale musiałyby przez wodę iść.

— Przez jaką wodę?

— No, przez ten strumień, co z tamtej strony.

Gregory nie zbliżył się jeszcze do brezentu. Idąc bokiem odszukał ślady nocnego strażnika. Wąskim, wydeptanym przejściem okrążały najbliższe nagrobki, łukiem obchodziły barak i wracały od tyłu, przez gąszcz krzaków. Gałązki były połamane i miejscami wdeptane w śnieg. Te same, co na szosie, ślady dużych butów odcisnięte były wyraźnie tam, gdzie policjant schodził ze swego szlaku, zatracając widać w ciemności właściwy kierunek.

Gregory zrobił pełny obchód tym szlakiem i skontrolował czas na zegarku: cztery minuty. „Na noc i zawieją można dorzucić drugie tyle” — pomyślał — „i jeszcze ze dwie na mgłę”. Zapuścił się dalej w krzaki, schodząc w dół stoku. Naraz śnieg obsunął się pod nim. Zdażył chwycić pęk leszczynowych witek i zatrzymał się nad samą wodą. Było to najniższe miejsce niecki, w której leżał cmentarz. Obwałowany zaspami i dlatego niewidoczny nawet z bliska, płynął tu strumień, powierzchnia wody marszczyła się u podmywanych korzeni krzaków. W ilastym dnie tkwiły okruchy kamieni, niektóre podobne do

brukowców. Gregory odwrócił się na miejscu. Widział nieco wyżej tylną ścianę kostnicy, tylko górną jej część, bezokienna, wynurzającą się z krzaków w odległości kilkudziesięciu metrów. Począł piąć się z powrotem, rozgarniając sprężyste witki.

— Gdzie tu jest kamieniarz? — spytał policjanta.

Ten połapał się od razu.

— Mieszka zaraz przy szosie, koło tamtego mostku. Pierwszy dom, taki żółty. Robotę kamieniarską bierze tylko w lecie, a tak, zimą, to stolarką dorabia.

— A kamienie jak tu przywozi? Szosą?

— Jak mała woda, to szosą, ale jak większa, to czasem bywa, że spławiał od stacji. Chciało mu się tak bawić.

— I tam, na tym brzegu, obrabiał te kamienie, co?

— Czasem i tam, ale nie zawsze. Rozmaicie.

— A ten strumień — jakby stąd iść brzegiem — płynie od stacji, prawda?

— Tak, ale brzegiem nie przejdzie, bo wszystko zarosło.

Gregory podszedł do bocznej ściany kostnicy. Jedno okno było otwarte, właściwie wyduszone, szyba rozbita, spiczasty kawał szkła wystawał w dole ze śniegu. Zajrzał do środka, ale nic nie zobaczył — było zbyt ciemno.

— Kto wchodził do środka?

— Tylko komendant, panie poruczniku.

— Doktor nie?

— Nie, doktor nie wchodził.

— Jak on się nazywa?

— Adams. Nie wiedzieliśmy, czy pogotowie londyńskie zdąży. Pierwsze przyjechało z Hackey, doktor Adams był tam w nocy, to przyjechał z nimi.

— Tak? — powiedział Gregory. Nie słyszał policjanta. Z framugi rozbitego okna zwisało jasne pasemko wiórek. Przy samej ścianie odcisnięty był głęboki, niewyraźny ślad bosej stopy. Schylił się. Śnieg był tu zryty, jakby przeciągnięto po nim spory ciężar. Miejscami rozróżniało się podłużne zakłębienia o gładkim dnie, jakby je zrobiono wciskając w śnieg duży, podługowaty bochenek chleba. W jednym lśniło coś złotawo. Nachylił się jeszcze bardziej i podniósł w palcach kilka skręconych wiórów. Przekrzywiwszy głowę patrzył chwilę w drugie, zamknięte okno. Było zachlapane wapnem. Zeszedł w głęboki śnieg, przykląkł na kolanie, odgiąwszy przedtem płaszcz, wstał i przyjrzał się swemu dziełu. Wciągnął głęboko powietrze. Na rozstawionych nogach, z rękami w kieszeniach, objął wzrokiem białą przestrzeń między krzakami, kostnicą i pierwszym nagrobkiem. Tor niekształtnych, głębokich śladów z gładkimi wklęsłościami zaczynał się pod rozbitym oknem, robił pętle, i wiódł łukiem ku drzwiom. Zbaczał po drodze raz w jedną, a raz w drugą stronę, zupełnie jakby jakiś pijak popychał przed sobą worek. Sörensen stał z boku, przypatrując się scenie z miernym zainteresowaniem.

— Dlaczego nie ma kłódki? — zwrócił się Gregory do policjanta. — Czy była?

— Była, panie poruczniku, ale popsowała się. Grabarz miał dać do kowala, ale zapomniał, potem była niedziela, i tak — rozłożył ręce policjant.

Gregory, milcząc, zbliżył się do niekształtnej kupy brezentu. Podniósł ostrożnie brzeg sztywnej płachty, potem odgarnął całą i odrzucił ją na bok.

U jego stóp leżał na boku nagi człowiek z podkurczonymi rękami i nogami, jakby klęczał na czymś niewidzialnym albo odpychał to od siebie łokciami i kolanami. Cały tkwił w owej szerokiej koleinie, wyoranej w śniegu, idącej od okna — zamykał ja swoim ciałem. Niespełna dwa kroki dzieliły jego głowę od progu. Tam śnieg był gładki.

— Może zechce go pan zbadać? — powiedział Gregory podnosząc się z klęczek. Krew nabiegła mu do twarzy. — Kto to jest? — spytał policjanta, który naciągnął czapkę na oczy, bo słońce zaczynało go razić.

— Hansel, panie poruczniku. John Hansel. On miał u nas farbiarnię.

Gregory nie spuszczał wzroku z Sörensena, który bardzo delikatnie, w gumowych rękawiczkach, wydobytych z płaskiej torebki, dotykał nóg i rąk trupa, odciągał powieki, potem zupełnie z bliska przyjrzał się jego wygiętemu grzbietowi.

— To był Niemiec?

— Nie wiem. Może z Niemców, ale nie słyszałem. Jego rodzice już tu mieszkali.

— Kiedy zmarł?

— Wczoraj rano, panie poruczniku. Doktor mówił, że na serce. On dawno już na serce chorował, doktor zakazywał mu pracować, ale on nie dbał. Całkiem o nic nie dbał od czasu, jak mu żona z jednym uciekła.

— Czy były tu jeszcze jakieś zwłoki?

Sörensen wstał, otrzepał kolana, chusteczką starł jakiś niewidzialny ślad z rękawa i wsunął uważnie gumowe rękawiczki do futerału.

— Były przedwczoraj, panie poruczniku, ale już po pochówku. Pogrzeb był wczoraj, w południe.

— To tylko te zwłoki były tu wczoraj od południa?

— Tylko te, panie poruczniku.

— No, doktorze?

Gregory podszedł do Sörensena. Stali pod smukłym krzakiem; na jego szczycie buszowało słońce, aż deszcz kropel dziurawił śnieg.

— Cóż mogę powiedzieć?

Sörensen zdawał się urażony, więcej — poirytowany.

— Śmierć nastąpiła z górą dwadzieścia cztery godziny temu. Płamy opadowe, jak się patrzy, w żwaczach pełne stężenie.

— A kończyny? Co? Czemu pan nie mówi?

Rozmawiali coraz ciszej i coraz zajadlej.

— Sam pan widział.
— Nie jestem lekarzem.
— Nie ma stężenia. No, nie ma, musiał ktoś przełamać. Ktoś przełamał — i kwita.
— Już nie wróci?
— Powinno wrócić częściowo, ale niekoniecznie. Czy to ważne?
— Ale na pewno było?
— Stężenie jest zawsze. Powinien pan to wiedzieć. I proszę mnie nie wypytywać, bo nic więcej nie wiem.

— Dziękuję — rzekł Gregory, nie skrywając rozdrażnienia, i podszedł do drzwi. Były uchylone, ale by wejść do środka, musiałby przekroczyć ciało, właściwie przeskoczyć przez nie, powiedział więc sobie, że lepiej nie zostawiać niepotrzebnych śladów, wszystko jest tu dostatecznie stratowane. Pociągnął z boku za skobel. Arii drgnęły, mocno wryte w śnieg. Targnął. Wrzasnęły przeraźliwie, uderzając z łoskotem w ścianę. W środku panował mrok. Przez szparę za progiem nawiało trochę śniegu, który tajał w płaską kałużę. Gregory stał z zamkniętymi oczami, czując nieprzyjemne zimno, ciągnące od ścian, i czekał cierpliwie, aż oczy przywykną do ciemności.

Północne okienko dawało trochę światła, zwłaszcza to rozbite, bo szyba drugiego, zamalowana wapnem, była prawie nieprzezroczysta. Pośrodku stała trumna, wymoszczona wiórami. O jej brzeg wspierał się wieniec z jedliny, owinięty czarną szarfą. Można było odczytać złoty napis „nieutule — żalu”. W kącie stało pionowo wieko trumny. Podłogę stanowiła mocno ubita ziemia, pod oknem leżało trochę rozwłóczonych strużyn. Pod drugą ścianą zobaczył kilof, łopaty i pęk zwiniętych, zabrudzonych gliną sznurów. Było tam jeszcze kilka desek.

Wyszedł na dwór i zmrużył oczy, boleśnie ugodzone blaskiem. Odszukał policjanta, który ostrożnie okrywał zwłoki brezentem, starając się ich przy tym nie dotknąć.

— Mielicie tej nocy służbę do trzeciej, tak? — spytał, podchodząc do niego.

— Tak, panie poruczniku — wyprostował się policjant.

— Gdzie było ciało?

— Jak miałem służbę? W trumnie.

— Sprawdzaliście?

— Tak.

— Otwieraliście drzwi?

— Nie. Świeciłem latarką przez okno.

— Szyba była rozbita?

— Nie.

— A trumna?

— Proszę?

— Czy trumna była otwarta?

— Tak.

— Jak leżały zwłoki?

— Zwyczajnie.

— Dlaczego są nie ubrane?

Policjant ożywił się.

— Pogrzeb miał być dzisiaj, panie poruczniku, a z tym ubraniem to cała historia. Odkąd jego żona uciekła — to było dwa lata temu — mieszkał z siostrą. Strasznie ciężka kobieta, nikt nie może dojść z nią do ładu. Tego ubrania, co je miał na sobie, jak umarł (bo to się stało przy śniadaniu) — nie chciała dać, niby że szkoda, bo za nowe. Miała dać stare, ale jak przedsiębiorca pogrzebowy przyjechał, to nie dała nic, powiedziała, że ufarbuje na czarno takie jedno gorsze, a on nie chciał jechać drugi raz i wziął go, jak był. Dziś miała to ubranie przynieść...

— Gregory, pojedę już, nic tu po mnie — powiedział nagle Sörensen, który zdawał się przysłuchiwać rozmowie. — Da mi pan wóz? Może pan wziąć auto z posterunku.

— Zaraz. Pomówimy o tym — rzucił Gregory. Sörensen drażnił go. — Postaram się o coś dla pana — dodał jednak. Patrzył na pomięty brezent. Pamiętał dobrze wygląd zmarłego, choć widział go tak krótko. Był to człowiek pod sześćdziesiątkę. Miał spracowane dłonie, dużo ciemniejsze od twarzy. Prawie łysą czaszkę pokrywała nad karkiem i skroniami siwa szczeć. Szczególnie wrył mu się w pamięć wyraz zdziwienia nie domkniętych, zmętniałych oczu. Miał ochotę zrzucić płaszcz — było coraz goręcej. Niecierpliwił się, obliczał, jak szybko promienie słońca dotrą w głąb tego ocienionego dotąd miejsca. Trzeba by koniecznie zdjąć przedtem wszystkie odciski.

Chciał już posłać policjanta na szosę, kiedy zobaczył swoich ludzi. Poszedł im naprzeciw.

— No, jesteście. Nie bawcie się tak, bo śnieg topnieje. Thomas, najwięcej zależy mi na tych śladach między oknem i drzwiami. Niech pan dobrze podsypie talkiem, Thomas, śnieg jest mokry. I leciusieńko, żeby się wszystko nie rozlało! Pojedę teraz do miasteczka. Zmierzcie, co się da, i odległość do wody, tam, za krzakami, jest strumień. Parę zdjęć ogólnych i przeszukajcie dobrze brzeg, może tam coś przegapiłem.

— Niech pan będzie spokojny, Gregory — powiedział Wilson. Niósł swoją płaską walizę na pasie przerzuconym przez ramię. Objęła mu się o biodro i wyglądała, jakby utykała. — Niech pan przyśle po nas maszynę, dobrze? — dodał w przejściu.

— Na pewno.

Gregory poszedł ku szosie, zapomniawszy o Sörensenie. Kiedy się obejrzał, doktor siedł za nim z miarkowanym pośpiechem. Sznury, odgradzające miejsce wypadku, były już zdjęte. Dwu ludzi wyciągało bentleya z rowu. Przed mostkiem stało ich auto, zwrócone w stronę Londynu. Nic nie mówiąc, Gregory siadł z przodu, obok Callsa. Doktor przyspieszył kroku, bo silnik już warczał. Minęli policjanta z patrolu drogowego i skręcili do Pickering.

Posterunek mieścił się w piętrowym domu, na rogu placu rynkowego. Policjant zaprowadził Gregory'ego na piętro. Był tam korytarz z drzwiami po obu stronach i z oknem na końcu, przez które widać było dachy parterowych domów po przeciwległej stronie placu.

Komendant wstał na widok wchodzącego. Był rudy, długogłowy, z czerwonym paskiem odcisniętym w połowie czoła; jego czapka leżała na stole.

Przy pierwszych słowach zatarł kilka razy ręce. Uśmiechał się nerwowo bez śladu wesołości.

— No, weźmy się do roboty — westchnął Gregory, siadając. — Jak tam z tym Williamsem, nie wie pan? Będzie można z nim mówić?

Komendant pokręcił głową.

— Wykluczone. Złamanie podstawy czaszki, poruczniku. Telefonowałem przed chwilą do Hackey. Jest w szpitalu, całkowicie nieprzytomny. Zrobili mu rentgena. Lekarze mówią, że to potrwa jakiś czas, jeśli, ma się rozumieć, w ogóle z tego wyjdzie.

— Tak? Proszę pana, pan zna przecież swoich ludzi. Niech mi pan powie, ile wart jest ten Williams? Dawno w policji? No, wszystko, co pan o nim wie.

Gregory mówił z roztargnieniem, myślami wciąż jeszcze był przy kostnicy i wciąż widział ślady na śniegu.

— Williams? No cóż, mam go tu od czterech lat. Przedtem był na północy. Służył w armii. Był ranny, ma odznaczenie. Ożenił się tu, ma dwoje dzieci. Niczym specjalnym się nie odznaczał. Lubi łowić ryby. Zrównoważony, niegłupi. Przez cały czas służby — żadnych poważniejszych wykroczeń.

— A niepoważne?

— No... może był zanadto... tolerancyjny. Z dobrego serca, jak to się mówi, wie pan. Samodzielnie interpretował przepisy. Przecież w takiej dziurze wszyscy wszystkich znają... Ale szło o drobnostki: za mało wypisywał mandatów... Człowiek spokojny, nawet był za spokojny, powiedziałbym, to znaczy... jest — poprawił się komendant i twarz mu drgnęła.

— W duchy wierzył? — całkiem serio spytał Gregory. Komendant popatrzył na niego swymi bezbarwnymi oczami.

— W duchy? — powtórzył odruchowo. Niespodzianie zmieszał się. — W duchy...? Nie — nie przypuszczam. Nie wiem. Panu chodzi o to, że on... — nie dokończył. Milczeli przez chwilę.

— Czy może pan sobie wyobrazić, przed czym on uciekał? — powiedział Gregory cicho, przechylając się przez stół. Patrzył komendantowi prosto w oczy. Ten nie odpowiedział. Powoli opuścił głowę i znów ją podniósł.

— Wyobrazić sobie nie mogę, ale...

— Ale?

Komendant badał twarz Gregory'ego. Wreszcie, jakby zniechęcony, wzruszył ramionami.

— No, dobrze. Przejdźmy wobec tego do faktów. Ma pan rewolwer Williamsa?

— Mam.

— I co?

— On go trzymał w ręku — niegłęboko rzekł komendant.

— Ach tak? Strzelał?

— Nie. Był zabezpieczony. Ale... z nabojem w lufie.

— Zarepetowany? A jak pańscy ludzie chodzą? Z pustą lufą?

— Tak. U nas jest spokojnie. Zarepetować zawsze się zdąży...

— Czy pan jest przekonany, że on sam przeszedł czy przeczołgał się tych kilka kroków z miejsca, gdzie uderzył go samochód, na miejsce, z którego zabrało go pogotowie?

Komendant spojrzał na Gregory'ego ze zdziwieniem.

— On wcale nie wstał, poruczniku. Smithers, to jest ten gość, który go potracił, zeznał, że sam przeniósł Williamsa — natychmiast po wypadku.

— Aha. No, to upraszcza sprawę. Powiedzmy, że... upraszcza — dodał Gregory. — Ma pan tu tego Smithersa?

— Tak.

— Chciałbym go przesłuchać. Można?

— Zaraz.

Komendant otworzył drzwi i powiedział do kogoś kilka słów. Wróciwszy, stanął pod oknem. Czekali może minutę. Wszedł szczupły, przystojny mężczyzna w obcisłych flanelowych spodniach i puszystym swetrze. Był gibki, o wąskich biodrach, z twarzą podrzędnego amanta filmowego; zatrzymał się u progu i z jawnym niepokojem spojrzał na Gregory'ego, który obrócił na jednej nodze krzesło i przyglądał mu się przez chwilę, z nim powiedział:

— Prowadzę tu śledztwo z ramienia Yardu. Może mi pan odpowiedzieć na kilka pytań?

Smithers skinął powoli głową.

— Ja... właściwie już wszystko powiedziałem... Jestem całkiem niewinny.

— Jeżeli jest pan niewinny, nic złego się panu nie stanie. Jest pan zatrzymany pod zarzutem wywołania wypadku i narażenia życia ludzkiego. Nie musi pan dawać odpowiedzi, które mogłyby zostać użyte przeciwko panu jako podstawa oskarżenia. Czy chce pan mówić?

— Ależ tak, tak... ja... nic nie mam do ukrywania — wyrzucił z siebie młody człowiek, najwyraźniej przestraszony oficjalną formułą, którą wypowiedział Gregory. — Nic nie mogłem zrobić, proszę pana. On po prostu pakował się pod koła. „To jest szosa, a nie

chodnik. Nie można lecieć nocą po omacku i jeszcze w takiej mgle. Jechałem całkiem pomału! Zrobiłem wszystko, co mogłem, i rozbiłem przez niego maszynę. To była jego wina. Pojęcia nie mam, jak się z tego wykaraskam, wóz nie jest wcale mój i...

— Proszę powiedzieć dokładnie, jak się to stało. Z jaką szybkością pan jechał?

— Najwyżej trzydzieści na godzinę, jak Boga kocham. Była mgła, śnieg padał, nie mogłem zapalać dużych świateł, bo wtedy jest jeszcze gorzej.

— Jechał pan po ciemku?

— Nie, nigdy w świetle! Miałem małe, miejskie. A widziałem ledwo na pięć, sześć kroków. Zobaczyłem go tuż przed maską, powiadam panu, pędził jak ślepy, jak wariat, po prostu pchał się pod koła!

— Miał coś w rękach?

— Proszę?

— Pytam, czy coś trzymał w ręku?

— Nie zauważyłem. To znaczy potem, jak go podniosłem, zobaczyłem, że trzyma rewolwer. Ale wtedy nie widziałem. Zahamowałem z całej siły i dostałem się w karuzelę, obróciło mnie tyłem do przodu. Wpadłem na drzewo i paskudnie się pokrajałem — podniósł rękę do głowy.

Skrzepla czerwona krecha biegła przez czoło, znikając między gęstymi włosami.

— Nawet nie poczułem. Byłem cholernie przestraszony, myślałem, że mi się udało go wyminąć, znaczy: ja go naprawdę wyminąłem, i nawet nie wiem, jak dostał samym tyłem — może zderzakiem — kiedy mnie wziął poślizg. Leżał i nie ruszał się. Zacząłem go nacierać śniegiem, w ogóle nie myślałem o sobie, chociaż krew mi się na oczy lała. Był całkiem nieprzytomny, więc pomyślałem najpierw, że go zawiozę do szpitala, ale nie mogłem w ogóle obrócić motoru starterem, coś nawaliło, nie wiem co. Więc pobiegłem szosą i z pierwszego domu zatelefonowałem...

— Pan przeniósł go do rowu? Dlaczego nie do auta?

— No... — zawahał się młody człowiek — bo... bo tego, bo podobno nieprzytomnego trzeba położyć równo, a w wozie nie ma miejsca. Pomyślałem sobie od razu, że jak leży na środku drogi, może go ktoś najechać...

— Dobrze. O której nastąpił wypadek?

— Trochę po piątej. Może dziesięć minut, może piętnaście po piątej.

— Czy widział pan kogoś na szosie, kiedy pan biegł do miasteczka?

— Nie, nikogo nie spotkałem.

— A przedtem, jadąc, spotkał pan kogoś? Pieszycy? Auta?

— Pieszycy nie. Auta? Aut też nie. To znaczy, minąłem dwie ciężarówki, ale to było jeszcze na autostradzie.

— Skąd pan jechał?

— Z Londynu.

Zapanowała cisza. Smithers zbliżył się do Gregory'ego.

— Panie inspektorze... czy będę mógł teraz odejść? I co będzie z autem?

— O auto niech się pan nie martwi — powiedział komendant spod okna. — Jeżeli pan chce, damy je do jakiegoś garażu. Przyciągniemy je sami. Tu niedaleko jest warsztat naprawczy, możemy dać tam wóz, to się nim zajmą.

— Dziękuję. To będzie dobrze. Tylko muszę telegrafować po pieniądze. Czy... czy mogę już iść?

Gregory porozumiał się spojrzeniem z komendantem i skinął nieznacznie: — Proszę zostawić dokładne personalia i adres — powiedział. — Adres, pod którym jest pan osiągalny.

Smithers odwrócił się na pięcie i znieruchomiał z ręką na klamce.

— A... a co jest... z nim? — spytał cicho.

— Może wyjdzie z tego. Na razie nie wiadomo — powiedział komendant. Smithers otworzył usta, ale nic nie powiedział i wyszedł.

Gregory odwrócił się do stołu. Oparł głowę na rękach. Opanowało go niepojęte zmęczenie. Chciało mu się tak siedzieć, nie mówić nic, nie myśleć.

— Przed czym on tak uciekał? — powiedział nagle głośno, nieoczekiwanie dla samego siebie. — Przed czym on, do wszystkich diabłów, uciekał?

— Może raczej: przed kim? — poddał komendant. Usiadł za stołem.

— Nie. Gdyby widział kogoś, to w tym stanie, w jakim się znajdował, strzelałby. Nie myśli pan? Bo ja tak myślę. Jak dwa a dwa cztery — strzelałby.

— Pan obejrzał sobie ślady?... — powiedział komendant. Pracowicie wciskał pasek swojej czapki w sprzączkę. Gregory przyjrzał mu się. Komendant posterunku w Pickering miał pionowe bruzdy na policzkach, oczy zaczerwienione, w zmarszczkach. W rudawej czuprynie błyszczały pojedyncze siwe włosy.

— Może mi pan powie, jak to było, kiedy pan się tam zjawił? I o której? — odpowiedział pytaniem Gregory. Komendant z wielką uwagą poprawiał ostrze sprzączki.

— Dyżurnym był Parrings. Ten młodzik telefonował o pół do szóstej. Parrings zbudził mnie, ja tu mieszkam obok. Kazałem dać wam znać od razu i pojechałem.

— Czy było jeszcze ciemno, jakeście się tam dostali?

— Trochę się przecierało, ale była gęsta mgła.

— Śnieg padał?

— Już nie.

Komendant odłożył czapkę, rozpięty rzemyk stuknął o stół.

— Doktor zajął się Williamsem, pomogłem wsadzić go do sanitarki, bo to wielki chłop, a był tylko jeden sanitariusz. Tymczasem przyjechali dwaj ludzie z drogowej. Rozstawiłem ich z obu stron szosy, a sam poszedłem na cmentarz.

— Miał pan latarkę?

— Nie, wziąłem od Hardleya. To sierżant z drogowej. Zwłoki leżały przed drzwiami, głowa do progu. Drzwi były uchylone.

— W jakiej pozycji leżały zwłoki?

— Ręce i nogi przykurczone. To się nazywa kolankowa, prawda?

— Skąd pan wziął brezent?

— Był w kostnicy.

— To pan wszedł do środka?

— Tak. Bokiem. Przeskoczyłem przez próg, wie pan. Było bądź co bądź ciemno, mogłem coś przeoczyć, a z drugiej strony widziałem, że są tam tylko ślady Williamsa. Myślałem, że może w środku... — Urwał.

— Myślał pan, że on tam jeszcze jest?

— Tak.

Zdecydowany ton odpowiedzi zaskoczył Gregory'ego.

— Na jakiej podstawie pan tak sądził?

— Bo tam się coś ruszało, w środku, kiedy poświeciłem...

Gregory, zgarbiony, siedząc bokiem na krześle, patrzył w twarz komendanta. Dzieliło ich może pół metra, może trochę mniej. Komendant nie spieszył się.

Podniósł oczy i na jego ustach ukazał się niepewny uśmiech, jakby wstydził się tego, co ma powiedzieć

— To był kot...

Dotknął palcem biurka i dodał:

— Tu go mam.

— Gdzie?

Gregory rozejrzał się szybko po pokoju, ale komendant zaprzeczył głową:

— Tutaj...

Wyciągnął szufladę. Leżał w niej nieduży pakunek, owinięty w gazetę. Komendant zawahał się, wreszcie położył go na stole. Gregory lekko rozchylił brzegi zmiętej gazety. Białe, wychudły kotek z czarną kitką na końcu ogona, o mokrej, skudłonej sierści, z nienaturalnie wyprostowanymi łapkami, patrzył na niego jedną, wąską jak wykrzyk-nik, zmętniała źrenicą.

— Nie żyje...? — Gregory popatrzał na komendanta oszołomiony.

— Kiedy tam wszedłem, jeszcze żył.

— A!

— Ten okrzyk wyrwał się Gregory'emu.

— I kiedy zdechł?

— Jak go wziąłem, już sztywniał. Okropnie miauczał.

— A gdzie go pan znalazł?

— Przy trumnie. Siedział... na wieńcu.

Gregory przymknął oczy. Otworzył je, popatrzał na kota, okrył go gazetą i położył na oknie.

— Trzeba go będzie wziąć, jakaś sekcja czy co — mruknął. Przetarł czoło.

— Dlaczego wziął pan tego kota?

— Ze względu na ślady. Nie zauważył ich pan, prawda?

— Nie.

— Bo ich nie było — wyjaśnił komendant. — Miałem tylko latarkę, ale obejrzałem to sobie dobrze. Ten kot nie zostawił na śniegu żadnych śladów.

— Więc skąd się tam wziął?

— Nie wiem. Musiał tam być, nim zaczął padać śnieg.

— A o której zaczął padać?

— Po jedenastej. Może trochę później, można się dowiedzieć dokładniej.

— Dobrze, ale jak dostał się do środka? Może siedział tam cały czas?

— Wieczorem nie było go. Sticks miał służbę do trzeciej. Od jedenastej do trzeciej. Myślę, że chyba wtedy.

— Ten Sticks... otwierał drzwi?

— Otworzył, kiedy przyszedł. Niesłychanie skrupulatny. Chciał sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, jak przyszedł na zmianę. Pytałem go.

— Aha. Pan myśli, że kot wtedy się wśliznął?

— Tak przypuszczam.

Weszli Thomas i Wilson.

— Już, panie poruczniku. Wszystko zrobione. Calls zawiózł doktora na stację, zaraz tu wróci. Jedziemy?

— Tak. Weźcie to do bagażnika. Sörensen będzie miał dodatkową robotę — nie bez złośliwości powiedział Gregory. Podał rękę komendantowi.

— Dziękuję panu. Jeżeli to będzie możliwe, chciałbym, aby Williamsa przewieziono do szpitala w Londynie. Proszę mnie zawiadomić, gdyby coś zaszło, dobrze?

Zeszli na dół. Gregory spojrzął na zegarek i zdziwił się, minęło południe. Był porządnie głodny.

— Zjemy coś? — zwrócił się do tamtych.

Opodal była mała restauracja, rodzaj baru z czterema stolikami. Kiedy siadali, nadjechał Calls. Wilson zawołał go. Sierżant zostawił wóz na ulicy i przyszedł. Jedli milcząco. Fotograf otarł swój czarny, zbyt elegancki wąsik i zamówił piwo.

— Napije się pan, poruczniku?

Gregory odmówił. Sierżant przyłączył się do niego.

— Prowadzę — wyjaśnił.

Kiedy wyszli, dochodziła druga. Rynsztokami płynęły czarne strumienie, cały śnieg zamienił się w błoto, ledwo trochę szarego lodu błyszczało na dachach. Gregory'emu

zachciało się raptem prowadzić. Calls usiadł obok niego, tamci — z tyłu. Ruszyli, wzbijając fontanny brudnej wody. Gregory zerknął spod oka na sierżanta, czy nie ma nic przeciw ostremu tempu, bądź co bądź to on miał doprowadzić samochód w porządku, ale Calls wyglądał przez boczną szybę z sennym wyrazem sytości. Dodał więc gazu. Prowadził dobrze, lecz we własnym mniemaniu nazbyt ostro. Bolał nad tym, bo chciał osiągnąć ową obojętną nonszalancję, ów zautomatyzowany spokój prawdziwego kierowcy. Udało mu się, — dopóki o tym myślał. Opony syczały przeraźliwie, w ciągu kilku minut szyby pokryły się tysiącami ciemnych wykrzykników. Za Wimbledonem zrobiło się tłoczno. Gregory miał wielką ochotę uruchomić syrenę; przyjemny był natychmiastowy efekt, otwierający wolną drogę. Miał jednak skrupuły, nigdzie się właściwie nie spieszyli. W niespełną godzinę dotarli do Londynu. Wilson i technik udali się do laboratorium. Gregory chciał wpaść do siebie. Sierżant podwiózł go. Byli już tylko we dwóch. Gdy auto zatrzymało się, Gregory, zamiast wysiąść, poczęstował Callsa papierosem, sam zapalił, a potem odezwał się:

— Widział pan to — tam — co?

Calls skinął powoli głową. Opuszczał korbką szybę.

— Sierżancie, znamy się nie od dziś. Niech mi pan powie, jak się panu zdaje, czy jest coś takiego, przed czym by pan uciekał... z rewolwerem w ręku?

Calls spojrział szybko na Gregory'ego, uniósł lekko brwi i z uwaga strząsnął popiół. Zdawało się, że już nic nie powie, gdy rzucił:

— Czołg.

— Nie, nie, pan wie, o co mi chodzi.

Sierżant zaciągnął się ze smakiem.

— Ja to sobie dobrze obejrzałem. On tam chodził w koło, wciąż w koło, i gdzieś o piątej albo zaraz po piątej zauważył coś, co mu się nie spodobało. Nie nawiał od razu. To jest ważne. Stanął... i wyjął rewolwer. Tylko odbezpieczyć już nie zdążył.

— A nie mógł go wyjąć biegnąc? — spytał Gregory. Oczy mu błyszczały. Patrzył bystro w twarz sierżanta. Ten uśmiechnął się niespodzianie.

— Pan sam wie, że nie. To nasze żelazo ciasno siedzi. Pan widział te ślady? Rwał jak zając! Kto tak leci, nie będzie się mocował z kaburą. Musiałby zwolnić. W największej mgle światła wozu zobaczy się na dziesięć kroków, jeżeli są w twarz, a on nie zobaczył. On już całkiem nic nie widział. Dobrze go tani wzięło.

— Przed czym może uciekać policjant z rewolwerem w ręku? — powtórzył Gregory, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami. Nie spodziewał się odpowiedzi i nie otrzymał jej.

Rozdział IV

— Słucham — powiedział Sheppard. Gregory położył przed nim zapisaną kartkę.

— Zrobiłem takie małe zestawienie, panie inspektorze...

„Godzina 9.40. J. Hansel umiera przy śniadaniu na atak serca. Dr Adams stwierdza zgon.

Godz. 14.00. Przyjeżdża przedsiębiorca pogrzebowy. Siostra Hansela nie chce dać ubrania, przedsiębiorca zabiera zwłoki nie ubrane i wiezie je do kostnicy w trumnie.

Godz. 17.00 Konstabl Atnis obejmuje służbę przy kostnicy. Zwłoki leżą w trumnie (otwartej). Drzwi są zamknięte na skobel, przetknięty kawałkiem szczapy.

Godz. 23.00. Konstabl Sticks obejmuje służbę. Zagląda do kostnicy, otwierając drzwi. Żadnych zmian. Zaczyna padać śnieg. Uwaga: możliwe, że w tym czasie wśliznął się, kiedy Sticks nie uważał, kot do wnętrza kostnicy.

Godz. 3.00. Sticksa zmienia Williams. Nie otwiera drzwi, świeci tylko latarką przez okno w obecności Sticksa, który potwierdza, że w środku nic się nie zmieniło, po czym odchodzi do miasteczka.

Godz. 5.25-5.35. Smithers telefonuje na posterunek w Pickering, że przejechał policjanta.

Godz. 5.50-6.00. Pogotowie z Hackey przywozi doktora Adamsa i komendanta posterunku policji. Zabierają Williamsa do szpitala. Na szosie w odległości stu siedemdziesięciu metrów od kostnicy stoi bentley, który wjechał na drzewo i uderzył Williamsa bagażnikiem lub tylnym zderzakiem. Williams ma złamaną podstawę czaszki i pęknięte trzy żebra. Jest nieprzytomny. Komendant udaje się do kostnicy, stwierdza, że drzwi są wpółotwarte, metr przed nimi leżą zwłoki, skurczone, na boku, jedno okno jest rozbite, szyba wyduszona na zewnątrz, odłamki tkwią w śniegu. W kostnicy znajduje kota, którego zabiera. Kot, zrazu niespokojny, zdycha mu po drodze do miasteczka.

Ślady stwierdzone wokół kostnicy:

1. Ślady konstabla Williamsa, odpowiadające odciskom jego butów, wydeptały dokoła kostnicy drogę okrężną; ślady te odchodzą od niej, zbliżają się do wyduszonego okna, potem kierują się na szosę i kończą w miejscu wypadku samochodowego.

2. Ślady stóp komendanta posterunku trudno zauważalne, gdyż stąpał przeważnie po śladach Williamsa, tak że tylko zatarł rysunek ich wnętrza.

3. Jeden dosyć wyraźny ślad bosej stopy, zidentyfikowanej z lewą stopą zmarłego, pod zgniecionym oknem baraku. Ślad jest zwrócony palcami ku ścianie, lekko do wewnątrz, głęboki, jakby odcisnięty znacznym ciężarem.

4. Od okna ku drzwiom wiodą, otaczając róg budynku, ślady jakby raczkowania lub czołgania się, z zaznaczonymi wklęsłościami, przypominającymi wklęsnięcia utworzone przez nacisk kolan. W dwu miejscach ślady dobrze zachowane w sprasowanym śniegu wykazują cechy odpowiadające negatywowi skóry (jakby kolano było obnażone).

5. W głębokim śniegu pomiędzy krzakami, w kierunku strumienia, odległego o dwadzieścia osiem metrów od skraju kostnicy, pojedyncze ślady kota, odpowiadające wielkości łapek padłego kota. Siady gubią się, jakby kot wlaźł na któryś z krzaków.

6. Na ilastym dnie strumienia (największa głębokość w pobliżu kostnicy — czterdzieści centymetrów) w odległości czterdziestu trzech, czterdziestu jeden i trzydziestu ośmiu metrów od kostnicy bardzo niewyraźne, rozmyte i nie dające podstaw do identyfikacji ślady stóp ludzkich, prawdopodobnie obutych. Niepodobna określić dokładnie czasu ich powstania; wg ekspertów — dwa do sześciu dni.

Uwaga a). W śladach wym. pod 4 i pod oknem znaleziono pojedyncze wiórki, takie same jak te, którymi wymoszczona była trumna.

Uwaga b). Ślady wymienione pod 4 kończą się w miejscu, gdzie znaleziono ciało, nie dochodząc do drzwi (na metr).

Uwaga c). Najmniejsza odległość między skrajem ścieżki wydeptanej przez konstabla Williamsa a brzegiem strumienia wynosi w prostej linii trzynaście metrów gęstych krzaków leszczynowych. W pionie jest różnica poziomów półtora metra (niezbyt stromy stok, zaczynający się za kostnicą, z małym, ok. półmetrowym obrywem nad samą wodą). Okruchy kamieni, pochodzących z robót kamieniarskich przy nagrobkach (z lata), rozmaitej wielkości, od ziemniaka do głowy ludzkiej i z rzadka jeszcze większe, można znaleźć zarówno rozsypane na dnie strumienia, jak i w krzakach. Pewna ich ilość tkwiła tuż nad śniegiem bądź na jego poziomie między witkami krzaków, tam gdzie poszycie jest najgęstsze.

Stan zwłok. Poza tym, co wykazuje protokół ich oględzin, opisujący je szczegółowo, zwraca uwagę fakt, że stężenie pośmiertne kończyn, którego istnienie stwierdził poprzedniego dnia przedsiębiorca pogrzebowy, nie było zachowane. Ponieważ w tak krótkim czasie nie mogło się cofnąć (zazwyczaj zachodzi to po pięćdziesięciu — siedemdziesięciu godzinach po zgonie), musiał je ktoś siłą przełamać”.

Sheppard podniósł oczy na Gregory'ego.

— Pan wie, poruczniku, jak to jest z tym stężeniem?

— Owszem. Specjalnie rozmawiałem o tym z fachowcami. Takie stężenie można przełamać siłą, po czym już może nie wrócić albo powraca dużo słabsze.

Sheppard odłożył kartkę.

— Jakie wnioski?

— Chodzi panu o rekonstrukcję wypadków?

— O to także.

— Sprawca musiał zakraść się do kostnicy przedtem, nim Atkins objął służbę. Ukrył się w niej, być może, w kącie, za wiekiem trumny, albo zamaskował się deskami i sznurami, które leżą w najciemniejszym miejscu pod ścianą. Około piątej wyjął ciało z trumny i zaczął wyciskać szybę, aż pękła, i okno się otwarło. Williams, słysząc hałas, zbliżył się, a widząc rozbite szkło i otwarte okno, wydobyl rewolwer. Wówczas sprawca wychnął zwłoki przez okno, w taki sposób, żeby to wyglądało, jakby się same poruszały. Williams stracił głowę i zaczął uciekać. Kiedy znikł, sprawca wylazł przez okno, przeciągnął zwłoki ku drzwiom i być może wtedy usłyszał albo zobaczył coś, co go spłoszyło, porzucił więc je i uciekł.

— Którędy?

— Było mniej więcej pół do szóstej, a zatem nadchodził już pierwszy brzask. Ścieżką, przetartą przez Williamsa, doszedł do skraju zarośli, a potem stąpając po gałęziach, częściowo po kamieniach, które tkwią w krzakach, czepiając się witek, opuścił się do strumienia i jego dnem, stąpając z kamienia na kamień, poszedł w stronę stacji kolejowej.

— To wszystko? — spytał Sheppard.

— Nie. Jest drugi wariant. Sprawca przyszedł około czwartej lub po czwartej ko-rytem strumienia. Stojąc w nim, wypatrywał chwilę, kiedy Williams właśnie przeszedł. Następnie wlaźł po stoku, stąpając po rozwidleniach gałęzi. Musiał zostawić ślady w śniegu też, ale przysypał je śnieg, który padał jeszcze półtorej godziny. Ścieżką, wydeptaną przez Williamsa, idąc w pewnej odległości za nim, podszedł do drzwi, ode- mknął skobel, wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą. Dalej postępował podobnie jak w wariancie pierwszym: wydobyl ciało z trumny, wycisnął szybę, zwrócił tym uwa- gę Williamsa, wysunął zwłoki przez okna, a kiedy Williams uciekł, przeciągnął zwłoki ku drzwiom, zamknął je na skobel i wrócił do strumienia. Poszedł nie ku stacji, ale do miejsca, w którym strumień krzyżuje się z autostradą. Tam czekało jego auto, którym odjechał.

— Czy były jakieś ślady na autostradzie?

— Było sporo śladów aut, ale nic konkretnego. To wszystko jest tylko domysłem. Ostatecznie zdecyduje to, co powie Williams. Jeżeli zauważył, że drzwi są tylko przy- mknęte, ale w skoblu nie ma zatyczki — musimy przyjąć drugi wariant.

— Jak on się ma?

— Jest jeszcze nieprzytomny. Dalej nic nie wiadomo. Lekarze mówią, że do dwu, trzech dni rzecz się rozstrzygnie.

— No tak... — powiedział Sheppard. — Musi pan dobrze opracować tę rekonstruk- cję, bo cóż nam zostaje jako alternatywa? „...A z bojaźni przed nim przerazili się stró- że...”

Wzrok Gregory'ego zeszedł z twarzy inspektora na jego ręce, spoczywające bez ruchu na biurku.

— Sądzi pan? — powiedział powoli.

— Wolałbym, żeby mnie pan nie uważał za przeciwnika, Gregory. Raczej niech pan sobie wyobrazi, że siedzi pan na moim miejscu. Czy to śmieszne? — spytał spokojnie, bo porucznik uśmiechał się.

— Nie. Coś mi się przypomniało. Ja także... zresztą; mniejsza z tym. Gdybym był panem, myślałbym tak samo, jak teraz myślę. Nie można przejść przez ścianę, jeżeli nie ma drzwi.

— Dobrze. Rozpatrzmy pierwszy wariant. Sprawca, powiada pan, zakradł się do kostnicy przed jedenastą, nim pierwszy policjant objął służbę. Tu mam plan. Gdzie można się ukryć?

— Tu, w kaciej za wiekiem trumny, albo w przeciwnym, za deskami.

— Robił pan jakieś próby?

— No, o tyle, o ile. Za tym wiekiem można stać, ale gdyby poświecić z boku, kryjówka straciłaby wartość. Dlatego myślę raczej o deskach. Żaden z konstablów nie przeszukiwał systematycznie kostnicy, zaglądali tylko przez drzwi.

— Dobrze. Aby wypchnąć zwłoki przez okno, sprawca musiał zmienić ich pozycję, bo były zeszywniałe, prawda?

— Tak. Musiał to zrobić po ciemku. Następnie wysadził okno i opuścił ciało na zewnątrz.

— W jaki sposób zostawił ślad bosej stopy trupa pod ścianą?

— No, to nie było chyba specjalnie trudne.

— Myli się pan, to było bardzo trudne. Musiał to zrobić nie zauważony przez Williamsa, który już obserwował tę scenę, zwabiony trzaskiem pękającego szkła. To jest bodajże najkrytyczniejszy moment. Williams nie uciekłby na pewno, gdyby zobaczył sprawcę. Nie uciekłby przed człowiekiem manipulującym przy zwłokach, ponieważ on przecież na takiego człowieka czekał. Strzeliłby albo nie, może usiłowałby go pochwycić bez użycia broni, ale nie uciekłby od razu. Zgadza się pan ze mną?

Gregory patrzył inspektorowi w oczy. W końcu krótkim gestem przytaknął.

Sheppard mówił dalej:

— Gdyby zwłoki wypadły w śnieg, a sprawca był przy tym niewidoczny, powiedzmy, gdyby przykucnął za oknem tak, aby go nie można było dostrzec z zewnątrz, to i wtedy Williams by nie uciekł. Czekaliby z bronią na to, co się stanie. Miałby zapewne na oku drzwi i okno, jeżeliby wolał nie wchodzić do środka, co ostatecznie jest do przyjęcia. Nie uciekłby jednak. Czy i z tym pan się zgadza?

Gregory znów skinął głową, wpatrzony w rysunek na biurku.

— Ta sama trudność występuje w drugim wariantcie. Uprawdopodobnione jest tylko dostanie się sprawcy do środka, bo nie musiał się ukrywać za tymi deskami. Śnieg mógł istotnie przysypać jego ślady. Idźmy dalej. Teraz chodzi już o przebieg wypadków taki sam w obu rekonstrukcjach. Po ucieczce Williamsa sprawca wyszedł z kostnicy, przeciągnął zwłoki ku drzwiom, a potem umknął przez krzaki i dalej korytem strumienia. Po co włókł ciało przez głęboki śnieg, a właściwie nie włókł go, jak dobrze obaj wiemy, ale czynił coś dziwnego, tak że w efekcie pozostały ślady, jakby ktoś nagi przeszedł na rękach i kolanach. Prawda?

— Tak.

— Po co to zrobił?

— Sytuacja jest dużo gorsza niż za naszej pierwszej rozmowy... — powiedział Gregory całkiem innym tonem niż dotąd, jakby czynił niespodziane zwierzenie. — Człowiek naprawdę mógłby się dostać do środka, jeśli tylko wszystko dobrze sobie obliczył. Mógł iść za policjantem — padał śnieg, było ciemno, wichura zagłuszała stąpanie — mógł wejść do kostnicy i czekać tam, powiedzmy, trzy kwadransy czy godzinę, aby śnieg na dobre pokrył jego ślady. Pozostaje jednak ta reszta... Myślałem, że on chciał wywołać efekt, o którym pan mówił. Myślałem, że sprawa doszła do kresu, kiedy dopuściłem istnienie człowieka działającego po to, aby policja uwierzyła w zmartwychwstanie. Otóż teraz nawet to odpada. On poruszał zwłokami i zostawił je tam. Mogło go coś spłoszyć. Ale po co poruszał zwłokami w śniegu? Ich stan świadczy o tym, że żadnego zmartwychwstania nie było, on musiał wiedzieć, że tak będzie, a jednak porzucił je. Tego nie rozumiem — ani w kategoriach przestępstwa kryminalnego, ani w kategoriach szaleństwa.

— Może został spłoszony, jak pan przed chwilą mówił. Może usłyszał nadjeżdżający samochód.

— Tak, mógł go nawet zobaczyć, ale...

— Zobaczyć? W jaki sposób?

— Kiedy zakręca się na autostradzie w stronę Pickering i ma się szosowe światła, można trafić nimi z góry — bo autostrada leży trochę wyżej — w cmentarz i w dach kostnicy. Stwierdziłem to wczoraj w nocy.

— Ależ, Gregory, to bardzo ważne! Jeżeli takie światła go spłoszyły i dlatego porzucił zwłoki, mielibyśmy wyjaśnienie! Byłby to właśnie pierwszy przypadek jego potknięcia, niedokończenia planowanej akcji. Zostawił zwłoki, bo stracił głowę, myśląc, powiedzmy, że nadjeżdża policja. To powinien być filar pańskiej rekonstrukcji... a przynajmniej deska ratunku!

— Tak, to jest deska ratunku — przyznał Gregory — ale... nie śmiem jej chwycić. Człowiek, który przed rozpoczęciem działania bada komunikaty meteorologiczne, który planuje swoje czyny tak, aby wypełniały skomplikowaną formułę matematyczną,

musiałby wiedzieć, że światła aut zamiatają z zakrętu autostrady całą okolicę i przelotem trafiają w cmentarz.

— Pan ma o nim nader pochlebne zdanie.

— To prawda. Ja po prostu, no, po prostu nie śmiem uwierzyć w to, że on się spłoszył. Nie bał się stojącego w odległości kilku kroków policjanta z rewolwerem, a zląkł się dalekiego światła?

— To się zdarza. Ostatnia kropla, która przepełnia czarę... Mógł być nie przygotowany. Może został osłepiony. Nie sądzi pan, że to możliwe. Pan się znowu uśmiecha? Gregory, ależ pan jest zafascynowany tym człowiekiem, niech pan uważa, jeszcze jeden krok, a stanie się pan... wyznawcą!

— To możliwe — sucho powiedział porucznik. Sięgnął po kartkę i stwierdził, że drżą mu palce. Schował rękę pod stół. — Pan może ma rację... — dodał po namyśle. — Sądziłem, że... wszystko, co tam zastałem, było właśnie takie, jakie miało być, ale może już gonie w piętke. Tylko... Williams przeląkł się nie zwłok, ale tego, co się z nimi działo. Działo się coś, co doprowadziło go do paniki. Może dowiemy się, co to było, ale dlaczego...?

— Zostaje jeszcze kot — mruknął Sheppard jakby do siebie. Gregory podniósł głowę.

— Tak. I muszę powiedzieć, że to moja szansa.

— Jak pan to rozumie?

— To jest znamię regularności, które występuje w całej sprawie — to są te wspólne rysy, niezrozumiałe, ale wspólne. To nie jest, mimo wszystko, chaos. Tam o coś chodzi, tylko cel pozostaje ciemny. Panie inspektorze... ja... chociaż, jak pan mówił, sam...

Denerwował się, bo nie umiał się wysłowić.

— Uważam, że nie możemy nic zrobić, poza zwiększeniem nadzoru. Teraz jeszcze nic. Doprowadzimy jednak do tego, że nie będzie już żadnej szczeliny — dla niego. On działa z bezwzględną regularnością i ta regularność obróci się przeciw niemu. Sciss pomoże nam, obliczając, gdzie trzeba się spodziewać następnego wypadku.

— Sciss? — powtórzył Sheppard. — Dostałem od niego list.

Wysunął szufladę.

— Pisze mi, że nie spodziewa się już dalszych wypadków.

— Że nie! — Gregory patrzył osłupiały w Shepparda, który skinął spokojnie głową.

— To znaczy, według niego, seria ta już się skończyła, zamknęła, albo na czas bardzo długi, albo... na zawsze.

— On tak twierdzi? Na jakiej podstawie?

— Pisze mi, że to wymaga szerszego udokumentowania, nad którym właśnie pracuje, i że do zakończenia tej pracy woli wstrzymać się od jakichkolwiek dalszych wyjaśnień. To wszystko.

— Ach, tak.

Gregory ochłonął. Odetchnął głęboko, wyprostował swój długi tors i z namysłem obejrzał własne ręce.

— Widocznie wie więcej od nas, skoro... Czy on zna wszystkie wyniki śledztwa?

— Tak. Przekazywałem mu je na jego prośbę. Uważam, że byliśmy do tego zobowiązani, gdyż to on umożliwił nam określenie miejsca...

— Tak. No tak. Naturalnie — powtórzył Gregory. — To... to zmienia postać rzeczy. Nie pozostaje więc nic innego, jak...

Wstał.

— Chce pan mówić ze Scissem? — spytał Sheppard.

Gregory zrobił niejasny gest — chciał przede wszystkim wyjść z Yardu, chciał zostać sam, jak najszybciej skończyć tę rozmowę. Sheppard podniósł się ze swego krzesła.

— Wolałbym, żeby pan nie był taki niecierpliwy — mruknął. Podniósł na niego oczy.

— W każdym razie niech się pan nie da... obrazić. Proszę pana o to...

Stropiony, Gregory cofnął się ku drzwiom. Widział oczekiwanie na twarzy Shepparda, przełknął, ślinę i powiedział z wysiłkiem:

— Postaram się, panie inspektorze. Ale nie wiem, czy będę z nim teraz mówił. Nie wiem. Muszę jeszcze...

Nie dokończył i wyszedł. W korytarzu płonęły lampy. Ten dzień był niewypowiedzianie długi.. Zdawało mu się, że od wczorajszego wypadku upłynęły tygodnie. Skręcił ku windzie i zjechał na dół. Nieoczekiwanie dla samego siebie zatrzymał windę na pierwszym, pięttrze. Były tu laboratoria. Miękki chodnik tłumił kroki. Blade refleksy świeciły w mosiężnych okuciach drzwi. Staroświeckie klamki lśniły, wypolerowane tysiącnymi dotknięciami rąk. Szedł powoli, nie zastanawiając się nad tym, co teraz zrobi. Głuche bulgotanie dobiegało z otwartego pomieszczenia, w głębi ciemniały okryte pokrowcami spektrografy na statywach. Jakiś człowiek w kitlu krzątał się przy palniku bunsenowskim. Drugie drzwi stały otworem; umączony jak piekarz, z pobielonymi rękami i twarzą, Thomas pochylał się nad deską, na której ustawiał pokracczne gipsowe odlewy. Wyglądało tu jak w pracowni rzeźbiarza abstrakcjonisty. Dziwacznie powężłone bryły zastygłego gipsu stały równym szeregiem, a mały technik wydobywał następne z form, delikatnie opukując je drewnianym młoteczkim. Misa z rozrobioną półpłynną masą stała na podłodze. Gregory oparł się o framugę i patrzył na krzątanicę Thomasa.

— A, to pan? Skończyłem już. Chce pan to wziąć? — Thomas zaczął przekładać odlewy, przyglądając im się nie bez zawodowej satysfakcji.

— Czysta robota — mruknął pod nosem. Gregory kiwnął głową, wziął do ręki stojącą z brzegu białą, nieoczekiwanie lekką bryłę i zdziwił się, ujrawszy u jej spodu odlew bosej stopy, dużej, chudej, z rozstawionymi palcami. Po wierzchu gips wezbrał grzybowatym wzniesieniem.

— Nie, dziękuję, teraz nie — Gregory urwał, odłożył odlew i wyszedł, odprowadzony zdziwionym trochę spojrzeniem Thomasa, który rozpinał pochlapany gumowy płaszcz. Porucznik, już na korytarzu, zatrzymał się i spytał przez ramię:

— Jest doktor?

— Był przed chwilą. Może już wyszedł, nie wiem.

Gregory poszedł do końca korytarza. Nie pukając otworzył jedne i drugie drzwi. Na stole, pod zasłoniętym oknem, płonęły małe lampy, dające światło mikroskopom. W probówkach i butlach na półce błyszczały kolorowe płyny. Sörensena nie było, tylko młody doktor King siedział przy biurku i pisał.

— Dobry wieczór. Nie ma Sörensena? — spytał Gregory i nie czekając na odpowiedź, zarzucił Kinga dalszymi pytaniami.

— Nie wie pan, co z tym kotem? Czy Sörensen zbadał...

— Kot? A, ten kot!

King wstał.

— Owszem, to ja zrobiłem. Sörensena nie ma. Wyszedł. Nie miał czasu — powiedział ze znaczącym naciskiem, który nie najlepiej świadczył o jego lojalności wobec zwierzchnika. — Tu go mam. Chce pan zobaczyć?

Otworzył już małe drzwi w kącie i zaświecił sufitową żarówkę. W wąskiej klitce stał tylko drewniany stół, pochlapany odczynnikami, ze śladami nie domytych, brudnych i rdzawych plam. Gregory przez drzwi spojrział na tę rozkrojoną, rozpiętą na stole czerwona rzecz i cofnął się.

— Cóż mam oglądać — powiedział — nie znam się na tym. Więc, co pan znalazł, doktorze?

— No, zasadniczo... nie jestem weterynarzem — zaczął King, prostując się lekko. Machinalnie dotknął szeregu piór i ołówków, wystających z górnej kieszeni surduta.

— Tak, tak, ja wiem, ale prosiłem specjalnie, bo byłaby niepotrzebna zwłoka. Więc, doktorze, co, dlaczego ten kot zdechł?

— Z głodu. Ot, taki szkielecik bidusi. Do tego dobrze pewno podmarzł.

— Jak to...?

Kinga, nie wiedzieć czemu, podrażniło zdumienie Gregory'ego.

— A czego się pan spodziewał? Trucizny? Nie, nie. Ręczę panu, że nie. Szkoda by fatygi. Próbę arsenikową też robiłem, tylko że on w ogóle nic w kischkach nie miał. Dlaczego pan jest taki rozczarowany?

— Nie, nie. Pan ma rację. Oczywiście. Nic innego — mówił Gregory, patrząc beznamiętnie na rozłożone pod kranem narzędzia. Leżał tam wśród pincetek skalpel z przyklepionym do ostrza strzępką sierści.

— Przepraszam. To znaczy, dziękuję. Dobranoc.

Wrócił z korytarza. Doktor King podniósł głowę już znad swoich papierów.

— Przepraszam, doktorze... to był młody kot?

— Ale skąd! Stary, tylko mały. Taka rasa.

Gregory czuł, że niczego się nie dowie, ale pytał dalej, z ręką na klamce:

— A... a czy może pan wykluczyć jakąś inną przyczynę śmierci — jakąś niezwykłą?

— Co to znaczy? Jakie są, według pana, „niezwykłe” przyczyny?

— No, może jakaś rzadka choroba... ach, nie, właściwie to pan mi powiedział już, gadam głupstwa. Przepraszam — rzucił szybko, bo w mrużących się oczach Kinga dostrzegł coraz jawniejszą ironię. Zamknął drzwi z prawdziwą ulgą. Postął przed nimi chwilę, aż posłyszał delikatne pogwizdywanie Kinga. „To ja wprawilem go w tak świetny humor” — pomyślał. — „Mam dość.”

Zbiegł na dół schodami.

W gmachu panowała już dzięki lampom noc, a na ulicy był wczesny wieczór. Mocny południowy wiatr suszył chodniki. Gregory szedł poświstując, aż połapał się, że powtórza melodię, którą gwizdał King. Zaciśnął wargi. Smukła kobieta szła o krok przed nim. Miała plamę na środku pleców. Nie, to był puch. Albo strzępek waty. Mijając ją, już niemal usta otwierał i podnosił rękę do kapelusza, żeby jej o tym powiedzieć. Zmilczał, wsadził rękę na powrót do kieszeni i przyspieszył kroku. Dopiero po chwili, kiedy się zastanowił, doszedł tego, czemu nic jej nie powiedział. Miała ostry, brzydki nos.

„Co za idiotyzmy zaprzatają mi głowę” — pomyślał ze złością.

Zszedł do metra i pojechał pierwszym pociągiem na północ. Stojąc przy ścianie, przeglądał gazetę i nad jej brzegiem machinalnie sprawdzał nazwy stacji, przelatujące za oknami. Wysiadł w Wooden Hills. Pociąg odjechał, wypełniając łoskotem tunel. Wszedł do nie domkniętej kabiny telefonicznej i otworzył książkę. Uważnie sunął palcem wzdłuż kolumny nazwisk, aż znalazł: Sciss Harvey. Ph.D., M.A., Bridgewater 876951. Podniósł słuchawkę i uważnie nakręcił numer. Przymknął drzwi w oczekiwaniu. Przez chwilę słychać było tylko miarowe buczenie wywołującego sygnału, potem krótkie szczęknięcie i kobiecy głos:

— Słucham?

— Czy jest doktor Sciss?

— Nie ma go. Kto mówi?

— Gregory ze Scotland Yardu.

Nastała krótka cisza, jakby wahania. Słyszał oddech kobiety.

— Doktor będzie za kwadrans — powiedział wreszcie głos z pewnym ociąganiem.

— Za kwadrans? — powtórzył żywo.

— Prawdopodobnie. Czy mam powiedzieć, że pan dzwonił?

— Nie, dziękuję. Ja, być może...

Nie kończąc, zawiesił słuchawkę i wpatrywał się we własną rękę, opartą o książkę telefoniczną. Przez szyby mignęły światła, na peron wjeżdżał pociąg. Bez namysłu

wyszedł, rzucił okiem na świecące pod betonowym stropem nazwy kierunku ruchu i wszedł do ostatniego wagonu.

Do Bridgewater jechało się koło dwudziestu minut. Przez cały czas zastanawiał się nad tym, do kogo należał głos w telefonie. Sciss nie miał żony. Matka? Głos był za młody. Gospodyni? Usiłował sobie przypomnieć jego brzmienie, matowe i zarazem dźwięczne, jakby Bóg wie co od tego zależało. Wszystko to, aby nie myśleć o samym przebiegu rozmowy ze Scissem. Nie chciał jej, po prostu bał się, że i ta, na pewno już ostatnia nic urwie mu się w rękach. Stacja metra znajdowała się na szerokiej ulicy, pełnej wielkich sklepów, górą biegł wiadukt kolejowy, rozłomotany elektrycznymi pociągami. Sciss mieszkał opodal, było tam prawie ciemno, a i ruchu żadnego; samotna reklama fotoplastykonu płonęła zielono nad sąsiednim domem. Ten, do którego wszedł Gregory, był w półmroku bezkształtną masą wystających nad chodnik gzymsów czy balkonów. Brudnoziemisty refleks reklamy, odbity w oknach naprzeciw, zalegał się; schody leżały w ciemności. Nacisnął guzik oświetleniowego automatu i ruszył w górę. Sciss niewątpliwie wydrwi go swymi oschłymi dedukcjami. Wyjdzie od niego nie tylko z uczuciem porażki, ale z przeświadczeniem o własnej głupocie. Uczony nigdy nie przepuszczał okazji udowodnienia tym, z którymi się stykał, jak bardzo nad nimi góruje. Chciał zadzwonić, gdy zauważył szparę w drzwiach, zresztą zupełnie ciemna. Były nie domknięte. „Powinienem zadzwonić” — pomyślał i pchnął je delikatnie. Poddały się bez głosu. Wszedł. Uderzyło go w nozdrza powietrze dobrze nagrzane, bardzo suche, o trudno uchwytną, nikłej woni, jak gdyby zakurzonej, gorącej skóry. W tym nieruchomym cieple wił się jakiś słodzik chłodnopiwnicznego, zbutwiałego zapachu, niczym powiew z jakichś katakumb. Woń ta była tak nie na miejscu, że, zdziwiony, oślepiiony ciemnością przedpokoju, przez dłuższą chwilę wciągał badawczo powietrze, aż dostrzegł poziomą kreskę światła i po omacku ruszył w jej kierunku.

Natknął się na uchylone trochę drzwi pokoju, w którym pod ścianą, zasłonięta skrzydłem szafy, płonęła stojąca na podłodze biurkowa lampa. Olbrzymi trójczłonowy cień leżał na suficie i poruszał się miarowo to w jedną, to w drugą stronę, jakby jakiś poczwarny ptak na przemian rozwierał raz lewe, raz prawe skrzydło.

Za plecami Gregory'ego, od strony przedpokoju, rozlegało się przenikliwe, choć ciche, przechodzące omal w świst, syczenie palnika gazowego, porozdzielane tykaniem bijących w blachę kropel. Poza tym panowała zupełna cisza, nie — usłyszał wysiłony ludzki oddech.

Był to duży czworokątny pokój, z jednym narożem ściętym; znajdowało się tam trójdzielne okno, opatrzone czarną, częściowo rozsuniętą zasłoną. Wszystkie ściany zastawione były książkami. Gregory postąpił naprzód i dostrzegł Scissa, który, siedząc na podłodze obok biurka, układał w blasku lampy pękate teczki z papierami. Było tu jeszcze cieplej niż w przedpokoju, powietrze miało charakterystyczną suchość, właściwą pomieszczeniom z centralnym ogrzewaniem, niemiałą piwniczną woń odczuwało się wyraźnie.

Gregory stał długą chwilę przy drzwiach, nie wiedząc, co robić. Osobliwa sytuacja przedłużała się nad miarę. Sciss siedział tyłem do niego i pracował miarowo, układając wciąż teczki, wyciągane z powysuwanych szuflad biurka. Jedne otrzepywał, z innych zdmuchiwał kurz, odganiając go ręką i parszając z niesmakiem. Za plecami Gregory'ego wciąż syczał gaz, pewno w kuchni. Pomyślał, że musi się tam krzątać kobieta, której głos słyszał w telefonie. Zrobił jeszcze jeden krok, podłoga trzasnęła, ale nie zwróciło to uwagi Scissa. Ulegając nagłemu impulsowi, bez sensu, ale za to energicznie zapukał... w otwarte drzwi szafy.

— Co tam? — powiedział Sciss i jego trójkątna głowa z rozczochranymi włosami zwróciła się w stronę detektywa.

— Dobry wieczór i... przepraszam — powiedział trochę za głośno Gregory. — Nie wiem, czy mnie pan pamięta, jestem Gregory ze Scotland Yardu. Widzieliśmy się w komendzie, u inspektora Shepparda... Wejściowe drzwi były otwarte, i...

— Tak. Pamiętam. Czego pan sobie życzy?

Sciss wstał z pewnym wysiłkiem, odtrącił nogą najbliższy stos teczek i usiadł na biurku, wycierając sobie palce chusteczką.

— Prowadzę śledztwo w sprawie tej... serii — z pewną trudnością mówił Gregory. — Inspektor Sheppard zapoznał mnie z pana ostatnim listem. Pan nie przewiduje w nim możliwości dalszych... dalszych wypadków. W związku z tym przyszedłem...

— No tak. Ale zaznaczyłem, że wyjaśnień będą mógł udzielić dopiero po pewnym czasie. Pracuję sam i nie wiem, czy...

Urwał. To nie było w jego zwyczaju. Wsadził ręce do kieszeni i sztywnym, długim krokiem przeszedł przed stojącym wciąż tak samo detektywem. Podszedł do okna, odwrócił się na pięcie, nieoczekiwanie usiadł na kaloryferze, objął rękami kolano i zapatrzył się w światło stojącej na podłodze lampy. Dłuższą chwilę trwało milczenie.

— Zresztą, może to i nieważne — powiedział nagle Sciss. — Nastąpiła zmiana w moich planach... dosyć istotna zmiana.

Gregory stał w płaszczu i słuchał, uświadamiając sobie jednocześnie, że Sciss nie zwraca się do niego, lecz mówi w przestrzeń.

— Byłem u lekarza. Od dłuższego czasu czułem się źle. Moja wydajność wyraźnie spadła. Na podstawie średniej, wyliczonej z wieku moich rodziców, przewidywałem, że mam przed sobą około trzydziestu pięciu lat. Nie uwzględniłem wpływu intensywnej pracy umysłowej na krążenie. Mam... dużo mniej. To zmienia postać rzeczy. Nie wiem jeszcze, czy...

Wstał tak szybko i z takim rozmachem, jakby zamierzał, urywając w pół słowa, wyjść i pozostawić Gregory'ego, który by się tym nawet nie zdziwił. Nie wiedział, z jaką miną ma słuchać tych wyznań, nie wątpił w ich prawdziwość. W spokoju, w martwym opamięnieniu, z jakim mówił Sciss, tak sprzecznym z jego gwałtownymi ruchami — zrywał

się, robił parę kroków i przysiadł byle gdzie, jak podrażniony, zmęczony owad — było coś przejmującego, podobnie jak w oschłości jego głosu, która graniczyła z rozpaczą.

Nie wyszedł z pokoju, usiadł na małej kanapce pod przeciwległą ścianą. Nad jego ptasią głową, z postrzępionymi na skroniach siwymi włosami, ciemniał duży obraz, przedstawiający „Wariatkę” Kleego.

— Miałem plany na dwa najbliższe dziesięciolecia. Trzecie miało być rezerwą. Muszę to teraz zmienić. Muszę przejrzeć plany — wyrzucić wszystko drugorzędne, kompilacyjne. Drugorzędne — wobec nitrogliceryny. Nie życzę sobie zostawić nic nie dokończonego.

Gregory wciąż milczał.

— Nie wiem, czy będę kontynuował tę sprawę. Jest to w dalszych konsekwencjach problem trywialny: dopasowywanie hipotez. Nie lubię tego. Nie interesuje mnie to. Szczegółowe opracowanie danych statystycznych wymagałoby tygodni. Może miesięcy, przy braku odpowiednich maszyn liczących.

— Nasi ludzie... — podjął Gregory, lecz nie mógł dokończyć.

— Wasi ludzie są bezużyteczni, bo to nie jest śledztwo, ale praca naukowa — przebrał mu Sciss i wstał. — Czego pan sobie życzy? Wyjaśnię? Otrzyma je pan.

Spojrzał na zegarek.

— I tak miałem wypocząć — powiedział. — Ta sprawa nie ma nic wspólnego z kryminologią. Nie zostało popełnione żadne przestępstwo, podobnie jak w wypadku, kiedy meteor zabije człowieka.

— Pan uważa, że przyczyną działającą są... siły natury? — spytał Gregory i zaraz tego pożałował, bo postanowił sobie milczeć i dać mówić tamtemu.

— Proszę mi nie przerywać. Na dyskusję nie mam czasu. Pan wie, co to są „siły natury”? Bo ja nie. Problem jest ściśle metodologiczny, a jego powierzchnia, z pozoru kryminalna, przestała mnie interesować. Zresztą nigdy mnie nie interesowała.

Podszedł, wciąż mówiąc, do ściany, zapalił duże światło i spojrzał na porucznika. Na jego drobnych wargach pojawił się uśmiech.

— Proszę tu popatrzeć — wskazał na otwartą szafę. Gregory zbliżył się i zobaczył wiszącą mapę Anglii, pokrytą jakby drobną czerwoną wysypką. Krwiste cętkowanie nie było jednostajne, lecz zagęszczało się w niektórych miejscach, obejmując miasta plamistymi obwałowaniami. Najbledsze były zacieki w dole, po prawej stronie, nad wybrzeżem Kanału, mniej więcej wielkości dwu dłoni.

— Nie jest to problem dla pana, zatem i wyjaśnienie okaże się zapewne bez wartości, ale innego nie ma — powiedział Sciss, wciąż z chłodnym, nikłym uśmieszkiem. — To miejsce najbledsze poznaje pan?

— Tak, to hrabstwo Norfolk, okolica, gdzie kradziono zwłoki.

— Nie. Ta mapa przedstawia rozkład zapadalności na raka w Anglii na przestrzeni ostatnich dziewiętnastu lat. Obszar o najniższej zapadalności, mniejszej o trzydzieści procent od przeciętnej z półwecza, pokrywa się z granicami obszaru, w którym znikaly zwłoki. Inaczej mówiąc, mamy tu odwrotną proporcjonalność, którą wyraża sformułowany przeze mnie wzór. W tej chwili pomnę go, gdyż niewiele panu powie.

Jego niedostrzegalny prawie uśmiech miał w sobie coś obelżywego.

— Pierwszym obowiązkiem jest szacunek wobec faktów — podjął Sciss. — Ja, proszę pana, wyszedłem od faktów. Zwłoki znikaly. W jaki sposób? Zapewne szły sobie gdzieś. Czy im ktoś w tym pomagał? Tak, jeżeli pan, jako policjant, życzy sobie takiego sformułowania. Pomagał im ten, kto sprawia, że muszle ślimaków są prawoskrętne, a raz na dziesięć milionów odnajdujemy skręt lewy. Czynniki prawidłowości statystycznej. Zadaniem moim było wykrycie związku zjawisk z innymi zjawiskami. Nauka nie robiła nigdy nic innego i nie będzie nic innego robiła — do końca. Zmartwychwstanie? Bynajmniej. To za wiele powiedziane. Nie twierdzą, że te zwłoki ożywały, że serca zaczynały bić, mózgi — myśleć, że skrzepła krew upłynniała się. Zmiany zachodzące w zwłokach nie są odwracalne w takim sensie. Co innego, gdyby pan spytał, czy te zwłoki poruszały się, zmieniały położenie w przestrzeni. Na to odpowiadam twierdząco. Ale to tylko fakty. A oto wyjaśnienia.

Podszedł bliżej do mapy, podniósł rękę. Już się nie uśmiechał. Mówił szybko, energicznie, swoim wysokim głosem, który nabierał chwilami triumfującego brzmienia.

— Badać można tylko to, co przejawia w strukturze zdarzeń prawidłowość. Taka prawidłowość zachodziła. Należało wykryć związek tego zjawiska z innymi zjawiskami, i to mi się udało. Jest to normalny tryb postępowania w nauce. Dlaczego kamienie spadają? Ponieważ działa grawitacja. Co to jest grawitacja? Tego nie wiemy, lecz potrafimy określić jej prawidłowości. Kamienie zawsze spadają, ludzie przyzwyczajają się do tego. Zjawisko, nie przestając być, w codziennym rozumieniu, niepojętym, staje się zwyczajne. Gdyby zwłoki ludzi czy zwierząt zwykle i często oddalały się z miejsca śmierci, gdyby tak było zawsze, policja nie interesowałaby się wypadkami w Norfolk. Moim zadaniem było określić miejsce tej serii zjawisk rzadkich, niezwykłych i przez to ściągających uwagę, w seriach zjawisk już zaobserwowanych, znanych i istniejących od dawna. Od tak dawna, że przestały wzbudzać zdziwienie przechodniów i ciekawość policji. Zjawiskiem tym jest zapadalność na raka. Miałem do dyspozycji księgi parafialne z całego obszaru, a także szpitalne książki zgonów z ostatniego półwecza. Napotkałem znaczne trudności, gdyż rak nie był przed pięćdziesięciu laty jednostką chorobową, którą lekarze potrafili wyróżnić tak jak dziś. W miarę możliwości uzyskałem dane o ilości zgonów na raka i nanosiłem je na tę mapę, a wynik ma pan przed sobą.

Zgasił światło i wrócił do biurka. Teraz dopiero Gregory zorientował się, skąd płynie owa niemiła woń: za skrzydłem szafy, w kącie, stały niskie, długie skrzynki, pełne olbrzymich foliałów ściemniających od starości, o zapleśniałych i spęczniałych okładkach.

— W największym skrócie rzecz ma się tak. Zapadalność na raka ma swoją własną cykliczną prawidłowość, która nią rządzi. Od końca dziewiętnastego wieku zachodzi jej wzrost, niezupełnie regularny. Coraz więcej ludzi choruje i umiera na raka. Obszar hrabstwa Norfolk z okolicą stanowi wyspę zapadalności względnie najniższej. To znaczy: utrzymywała się ona na takim samym mniej więcej poziomie w ciągu ostatnich trzech dziesięcioleci. Natomiast zapadalność ta nadal rosła na obszarach dookolnych. Kiedy różnica zapadalności między tą wyspą a terenami okolicznymi przekroczyła pewną wielkość, poczęły znikać zwłoki. Ósrodkiem, to jest miejscem pierwszego zniknięcia, nie jest geometryczny, przestrzenny środek wyspy, lecz to miejsce, w którym zapadalność na raka osiągnęła minimum. Stamtąd zjawisko rozprzestrzeniało się jak fala, w określony sposób, ze stałą prędkością, zależnie od temperatury i tak dalej. O tym już mówiłem i powinien pan to pamiętać. W ostatnim wypadku zjawisko dotarło do granic „wyspy”. Formuła, którą wywiodłem z danych liczbowych zapadalności na raka, wyklucza możliwość dalszych wypadków znikania zwłok poza obszarem „wyspy”. Na tej podstawie napisałem do Shepparda.

Sciss zamilkł, odwrócił się i powoli podniósł lampę z podłogi. Trzymał chwilę w ręku, jakby nie bardzo wiedząc, co ma z nią począć, wreszcie postawił ją na biurku.

— Tylko na tej podstawie oparł się pan...? — półgłosem, nakazując sobie najwyższą ostrożność, zapytał Gregory.

— Nie. Nie tylko na tej.

Sciss skrzyżował ręce na piersi.

— Podczas gdy w poprzednich wypadkach zwłoki znikwały, że tak powiem „na dobre”, to jest oddalały się na niewiadomą odległość i w nieznanym kierunku, to w ostatnim wypadku ich przemieszczenie było stosunkowo niewielkie. Dlaczego? Ponieważ zjawisko zaszło przy granicy obszaru „wyspy”. Pomogło mi to sprecyzować współczynnik mojej formuły, gdyż zapadalność na raka w obrębie „wyspy” przechodzi w zapadalność terenów otaczających nie skokowo, lecz w sposób stopniowy.

Zapanowało milczenie, do uszu Gregory’ego znów doszedł syk gazowego palnika.

— Tak — powiedział wreszcie. — A jaka jest, pana zdaniem, przyczyna tych „zniknięć”? Tych ruchów?

Sciss uśmiechnął się nieznacznie, patrząc na detektywa z rodzajem dobrodusznego rozbawienia.

— Proszę pana, jedno i drugie już przedstawiłem, niechże się pan nie zachowuje jak dziecko, któremu pokazano schemat radioodbiornika i równania Maxwella, a ono pyta: „Tak, ale dlaczego ta skrzynka gada?” Przecież ani panu, ani pana przełożonym nie przychodzi do głowy wszczęcie śledztwa przeciwko temu, kto powoduje, że ludzie chorują na raka? Nieprawdaż? Podobnie też nie poszukiwaliście, o ile wiem, sprawcy grypy azjatyckiej?

Gregory zacisnął szczęki i nakazał sobie nade wszystko spokój.

— Dobrze — powiedział — pan ma, w swoim rozumieniu, słuszość. Czy jednak samo zjawisko zmartwychwstania, nie, przepraszam, poruszania się, wstawania, chodzenia zwłok po śmierci uważa pan już, mocą swych wyjaśnień, za w pełni zrozumiałe, oczywiste i niewarte dalszych badań?

— Czy pan mnie ma za idiotę? — dziwnie łagodnym tonem powiedział Sciss, siadając na kaloryferze. — Oczywiście, że tu jest jeszcze masa rzeczy do badania dla biochemików, fizjologów, biologów, ale nie dla policji. Inna rzecz, że te badania mogą trwać i nie dać nawet przez pięćdziesiąt lat definitywnego rezultatu — tak jak badania raka. Pewne rezultaty dać może od razu tylko moja domena — statystyka. Tak samo jak przy badaniu raka. Co do tej sprawy powstanie pewno wiele konkurujących z sobą hipotez. Pojawią się i takie, które przemówią najlepiej do tłumu, które zapewnia nakłady bulwarowym gazetom. Połączą się zjawisko z latającymi talerzami, z gwiazdami, bo ja wiem z czym. Ale cóż to może obchodzić mnie?

— A jakie miejsce w pana statystycznym wytłumaczeniu znajdują owe... padliny znajduwane w pobliżu miejsca zniknięcia? — spytał Gregory, jakby nie słyszał nut gniewu narastającego w głosie Scissa.

— To pana interesuje...? Ach, tak... — powiedział z nagłym spokojem Sciss. Ujął kolano chudymi splecionymi dłońmi.

— Nie badałem tego matematycznie. Wytłumaczeniem najprostszym, ale i najprymitywniejszym, byłoby uznanie owych zwierząt za „vehiculum”, za przenośnik czynnika uruchamiającego zwłoki. Można by, powiedzmy, uznać ów „czynnik” za specyficzny „agens” o naturze biologicznej — w takim sensie, w jakim za podobny czynnik uważamy to, co powoduje powstanie raka. Powiedzmy, że to „coś”, co wywołuje rakowacenie, może się w pewnych okolicznościach przekształcić w nasz czynnik. Że posługuje się małymi zwierzętami domowymi dla przenoszenia się z miejsca na miejsce. Taką rolę spełniają na przykład szczury w epidemii dżumy.

— Rodzaj bakterii? — poddał powoli Gregory. Oparł się ręką o skrzydło szafy i wpatrzony nie w Scissa, lecz w jego wielki cień, leżący na podłodze, słuchał ze ściągniętymi brwiami.

— Tego nie powiedziałem. Nie wiem. Nic nie wiem. To hipoteza na glinianych nogach. Hypotheses non fingo. Nie znoszę, nie stawiam hipotez. Być może, zająłbym się tym zagadnieniem, gdybym miał czas.

— Może nie bakterie, ale w każdym razie, jak pan powiada, czynnik biologiczny. Drobnoustroje, co? I to obdarzone inteligencją. Sporą inteligencją. O przezorności działania mocno przypominającej ludzką.

— Zdaje się, że pan pierwszy chce zarobić na tej historii, kleci się już niezły artykułik do prasy o tych rozumnych mikrobach, co? — W głosie Scissa drżała nie drwina, lecz

złość. Gregory, jakby nie słysząc, szedł ku niemu powoli, bardzo powoli, mówiąc coraz dobitniej i coraz szybciej, jakby ogarnięty płomieniem nieoczekiwanej wiary:

— W głębi obszaru niskiej zapadalności czynnik począł działać z pełnym rozeznanem, niczym istota świadoma, lecz nie posiadał jeszcze doświadczenia. Nie wiedział, na przykład, że nagim zwłokom jest — jak by to powiedzieć — niezręcznie pojawiać się wśród ludzi, że z tego mogą być kłopoty i trudności. Uruchamiając następnego nieboszczyka z serii, zatroszczył się o odpowiedni przydzwiek. Jego martwymi zębami odparł zasłonę, która osłoniła nieprzystojną nawet po śmierci nagość. Później nauczył się czytać, inaczej jak by zdołał studiować komunikaty meteorologiczne? Ale to światło rozumu zmacone zostało za sprawą zbytniego przybliżenia się do granicy obszaru niskiej zapadalności na raka. Tam mógł już tylko wprawić zeszywniałe członki w ruchy kieszko skoordynowane, w pewien rodzaj makabrycznej gimnastyki, wstawanie i filuterne wyglądanie przez okno kostnicy cmentarnej...

— Jak pan to dobrze wie. Czy pan to widział? — spytał Sciss, nie ukazując twarzy.

— Nie, nie widziałem, ale wiem, co może przerazić angielskiego konstabla. Taniec trupów. Słabnącą świadomością wspomniął widać Holbeina i średniowieczne harce szkieletów.

— Kto?

Gregory ledwo poznał głos uczonego.

— Jak to — zdziwił się — jak to „kto”? „Czynnik biologiczny”, udokumentowany statystycznie. Powtarzam za panem.

Sciss wstał, gdy Gregory już niemal dotykał jego kolan. Detektyw miał przed sobą jego twarz tak blisko, że widział tylko oczy o zwężonych źrenicach, blade i nieruchome. Tak stali jakąś chwilę, potem Gregory cofnął się i roześmiał. Ten śmiech udał mu się bardzo dobrze, był prawie swobodny i ludzi mógł naturalnością. Sciss patrzył na niego, patrzył, aż nagle twarz zadrgała mu kurczowo i także zaczął się śmiać. Natychmiast zapadła cisza. Potem Sciss podszedł do biurka, usiadł za nim w fotelu i, odchyliwszy korpus do tyłu, bębnił przez chwilę palcami w płytę.

— Pan jest przekonany, że to ja — powiedział. — Prawda? — Gregory nie spodziewał się takiej otwartości. Nie znalazł odpowiedzi. Stał, milcząc, wysoki, niezgrabny, usiłując z rozpaczą odnaleźć kierunkowskaz na tym nowym piętrze spotkania.

— A zatem ma mnie pan nie za idiotę, jak byłem przed chwilą skłonny przypuszczać, ale za wariata. A więc grozi mi albo aresztowanie, albo obserwacja psychiatryczna. Obie ewentualności nie są mi na rękę, zwłaszcza teraz, ze względu na mój stan zdrowia. Zresztą zawsze było mi szkoda zmarnowanego czasu. Popełniłem błąd, dając się namówić Sheppardowi do współpracy. Stało się. Co mam zrobić, aby przekonać pana o błędności tej hipotezy?

— Pan był u lekarza, dziś? — spytał Gregory cicho, zbliżając się do biurka.

— Tak. U profesora Vaughama. Przyjmuje od czwartej do szóstej. Zamówiłem wizytę telefonicznie przed tygodniem.

— Co się tyczy wyników badania, istnieje tajemnica lekarska...

— Zatelefonuję do profesora i poproszę go, aby powiedział panu to wszystko, co powiedział mnie. A dalej?

— Czy to pana samochód stoi na podwórzu przed garażem?

— Nie wiem. Mam szarego chryslera. Na podwórzu stoi często kilka wozów, w kamienicy jest wspólny garaż.

— Chciałbym... — zaczął Gregory, gdy zadzwonił telefon. Sciss podniósł słuchawkę i pochylił się nad aparatem.

— Sciss — powiedział. W słuchawce brzęczał podniecony głos.

— Co? — powiedział Sciss. I głośniej: — Gdzie? Gdzie?

Potem już tylko słuchał, nie odzywając się. Gregory podszedł powoli do biurka i jakby od niechcienia popatrzył na zegarek. Dochodziła dziewiąta.

— Dobrze. Tak — powiedział wreszcie Sciss, zrobił taki ruch, jakby zamierzał położyć słuchawkę, ale natychmiast znów przyłożył ją do ucha i dodał:

— Tak, tak, jest u mnie pan Gregory, powiem mu to. — Rzucił słuchawkę na widełki, wstał i podszedł do mapy wiszącej w otwartej szafie. Gregory ruszył za nim.

— Znalezione ciało, jak się zdaje, jedno z tych, które znikły — powiedział Sciss tak cicho, jakby myślał o czymś innym. Zbliżył oczy do mapy i wydobyłym z kieszeni piórem zrobił mały znak przy granicy „wyspy”.

— W Beverley Court, na dnie zbiornika, po spuszczeniu wody. Ciało mężczyzny.

— Kto dzwonił? — spytał Gregory.

— Co? A, nie wiem. Nie pytałem. Powiedział nazwisko, ale nie zwróciłem uwagi. Na pewno ktoś od was, ze Scotland Yardu. Jakiś sierżant czy coś takiego. No, to by się zgadzało. Powinny odnaleźć się — po kolei, jak pociski wystrzelone z armaty, chociaż...

Umilkł. Gregory stał nad nim, trochę z boku, patrząc mu w twarz zmrużonymi oczami. Wsłuchiwał się niemal w rytm oddechu Scissa.

— Pan sądzi, że wróca... wszystkie? — powiedział w końcu. Sciss podniósł na niego oczy i szybko się wyprostował. Oddychał głośniej, na policzkach miał wypieki.

— Nie wiem. To możliwe, to nawet prawdopodobne. Jeżeli tak się stanie, cała ta seria zamknie się... i skończy, a wraz z nią — wszystko. Być może, zorientowałem się za późno. Odpowiednie aparaty fotograficzne, pracujące na podczerwieni, mogłyby dać zdjęcia o tyle jednoznaczne, że ominęłaby mnie ta... ta śmieszność.

— Czy Beverley Court wypływa z pańskiego wzoru? To znaczy — czy ta lokalizacja jest do wydedukowania z niego? — spytał Gregory od niechcienia.

— Pytanie źle postawione — odparł Sciss. — Miejsca, w którym odnajdą się ciała, to znaczy, w którym ustanie ich ruch, ich przemieszczanie się — nie mogę określić. To je-

dynie czas, trwający od momentu zniknięcia do chwili ustania zjawiska, daje się z pewnym przybliżeniem wyliczyć. Tylko szacunkowo. Najpóźniej powinny odnaleźć się ciała, które znikły najwcześniej. Może pan to sobie wyjaśnić na przykład tym, że „czynnik” udzielił im niejako największej ilości energii ruchowej, natomiast jej ładunek na granicy obszaru był już znikomym, wystarczający jedynie do wywołania szeregu nie skoordynowanych ruchów. Ale prawda, pan uważa, że bredzę. Albo że kłamię, co ostatecznie na jedno wychodzi. Czy może mnie pan zostawić teraz samego? Mam jeszcze dziś sporo do zrobienia — Sciss wskazał na skrzynkę z zapleśniałymi księgami. Gregory skinął głową.

— Zaraz odejdę. Jeszcze jedno pytanie: pan był u lekarza autem?

— Nie. Pojechałem koleją podziemną i tak samo wróciłem. Ja też mam jedno pytanie: jakie są pana zamiary wobec mnie? Chodzi mi tylko o to, żebym mógł jak najdłużej pracować bez przeszkód. To zrozumiałe, prawda? — prosił.

Gregory, zapinając płaszcz, który ciążył mu, jakby zmieniony w ołowianą blachę, zaczerpnął powietrza i raz jeszcze poczuł trudno uchwytną woń piwnic.

— Moje zamiary? Nie mam na razie żadnych. Chciałbym zwrócić panu uwagę na to, że nie formułowałem żadnych podejrzeń czy oskarżeń — ani jednym słowem.

Skinąwszy głową, wyszedł do ciemnego przedpokoju. W półmroku dostrzegł bladą plamę kobiecej twarzy, która znikła natychmiast; dał się słyszeć trzask zamykanych drzwi. Odnalazł wyjście i schodząc na dół, raz jeszcze sprawdził godzinę na świecącej tarczy zegarka. Z sieni, zamiast ku ulicy, skierował się w stronę przeciwną, na podwórze, gdzie stał długi, szary samochód. Obszedł go powoli, niewiele mogąc wypatrzyć w słabym świetle, padającym z okien oficyny. Wóz był ciemny, zamknięty, tylko zwierciadlane odbicia okien kamienicy poruszały się korowodem pomniejszych światełek na niklowym zderzaku w miarę kroków Gregory'ego. Dotknął maski, była chłodna. To jednak o niczym nie świadczyło; do chłodnicy zaś trudno się było dostać. Musiał się dobrze pochylić, aby wprowadzić dłoń w głąb szerokiej szczeliny, otoczonej chromowanymi okuciami na kształt grubych warg jakiegoś podmorskiego olbrzyma. Drgnął i wyprostował się słysząc lekki trzask. W oknie pierwszego piętra zobaczył Scissę. Pomyślał, że nie musi już badać dalej auta, gdyż Sciss swym zachowaniem potwierdził podejrzenia. Zarazem odczuł nieprzyjemne zmieszanie, jakby został przyłapany na czymś niegodziwym, a uczucie to nasiliło się, gdy, obserwując pilnie Scissę, dostrzegł, że ten wcale nie patrzy na podwórze. Stał w otwartym oknie, potem wolno, niezgrabnie usiadł na nim, wciągając kolana na parapet i ręką podparł skroń gestem znużenia. Poza to do tego stopnia nie licowała z wyobrażeniem Gregory'ego o Scissie, że cofnął się na palcach w głębszy cień i potrafił jakiś kawał blachy, który rozgiął mu się pod stopami z przeraźliwym łomotem. Sciss spojrział w dół. Gregory stał nieruchomo, oblany waniem, wściekły, nie wiedząc, co począć. Nie był pewien, czy widać go z okna, lecz Sciss wciąż pa-

trzał w dół, a choć nie widział jego oczu ani twarzy, coraz wyraźniej czuł na sobie jego wzgardliwy wzrok.

Nie śmiejąc nawet pomyśleć o dalszym obmacywaniu samochodu, spuścił głowę, zgarbił się i odszedł jak zmyty.

Nim jeszcze zeszedł do metra, ochłonął tak dalece, że poczuł się zdolny do oceny niedorzecznego wydarzenia na podwórzu — niedorzecznego o tyle, że dał się wyprowadzić z równowagi. Był bowiem prawie pewny, że widział samochód Scissa późnym popołudniem w mieście. Prowadzącego nie dojrzał, lecz zdążył poznać charakterystyczne wgięcie tylnego błotnika, spowodowane jakimś starym karambolem. Na spotkanie to nie zwrócił wówczas uwagi, zajęty własnymi myślami, nabrało ono znaczenia, gdy Sciss oświadczył, że był u lekarza metrem, a samochodu nie używał. Otóż stwierdzenie, że Sciss kłamał, samo w sobie niezbyt znaczące, pozwoliłoby mu — czuł to wyraźnie — przełamać skrupuły i opory, jakich doznawał wobec naukowca. Więcej, zniósłoby aurę współczucia, która opanowała go podczas niefortunnej wizyty. Teraz jednak znowu nie wiedział nic; pewność popołudniowej obserwacji zaopatrzona była nadal nie-szczęsnym „prawie”, odbierającym jej wszelką wagę. Mógł się tylko tym pocieszyć, że odkrył niezgodność między zapewnieniami Scissa, który chciał się go pozbyć, mówiąc, że tyle ma jeszcze roboty, a jego wysiadaniem na oknie. Zbyt dobrze jednak pamiętał pozę Scissa, bezwładność jego sylwetki, przechylenie głowy, opierającej się w ostatecznym znużeniu o ramę okienną. Ale jeśli to znużenie wywołał tylko ich słowny pojedynek, a nie zostało wykorzystane do końca przez głupią rycerskość detektywa, który zamiast wyzyskać chwilową słabość przeciwnika, odszedł, być może, minutę przedtem, zanim padły decydujące słowa?

Wprowadziwszy się takimi myślami w labirynt wszelkich możliwości, Gregory, bezsilnie zły, chciał już tylko wrócić do domu i przystąpić do podsumowania „danych” w swoim grubym notesie.

Gdy wysiadał z metra, dochodziła jedenasta. Tuż przed zakrętem, za którym, stał dom państwa Fenshaw, mieściła się we wnęce muru stała placówka niewidomego żebraka, który z, wyłysiałym, okropnym kundlem u nóg czekał zawsze na przechodniów. Miał on organki, w które dmuchał tylko, kiedy się ktoś zbliżał, nawet nie próbując udawać; że uprawia muzykę, służyły mu po prostu jako sygnał. Starość tego człowieka odczytywało się raczej z jego odzienia niż z fizjonomii, okrytej zarostem nieokreślonej barwy. Wracając do domu późną nocą czy wychodząc przed pierwszym świtem, Gregory spotykał go zawsze na tym samym miejscu, jak wieczny wyrzut sumienia. Żebrak należał do pejzażu uliczki w sposób równie solenny, co wykusze starego muru, między którymi siedział, i Gregory'emu nie przyszłoby nawet do głowy, że godząc się milcząco na jego obecność, współuczestniczy w występku. Był policjantem, a przepisy policyjne zakazywały żebraniny.

Choć nigdy nie myślał o tym człowieku, którego ciała można się było jedynie z obrzydzeniem domyślać pod plugawym przydzwiewkiem, to jednak stary, musiał mieć Jakies miejsce w jego pamięci, a nawet wzbudzał określone uczucia przejawiające się tym, że Gregory nieznacznie przyspieszał kroku. Odmawiał datków żebrakom, choć nie miało to uzasadnienia ani w jego charakterze, ani w zawodzie. Mimo to z nie znanych także i sobie powodów nic żebrakom nie dawał; zdaje się, że wchodził tu w grę jakiś nieokreślony rodzaj wstydu. Tego wszakże wieczora, minawszy już posterunek starego (dostrzegł zresztą jedynie oświetlonego blaskiem dalekiej lampy warującego psa, temu psu czasem współczuł), zupełnie niespodziewanie dla samego siebie zawrócił i zbliżył się do ciemnego kąta, trzymając w palcach wyłowioną z kieszeni monetę. Zdarzyła się wówczas jedna z tych tak drobnych okoliczności, o których nie opowiada się nikomu, a najwyżej wspomina z poczuciem nieopisanej przykrości. Oto Gregory, przekonany, iż żebrak wyciągnie rękę, tknął kilka razy trzymaną, w ręku monetą w niewyraźną ciemność zakamarka między murami, lecz za każdym — razem napotykał tylko przykre w dotyku łachmany; tamten nie kwapił się wcale z odebraniem datku, lecz jakoś pokracznie, z trudem podniósłszy do ust organki, dmuchał w nie bez ładu i składu. Pełen już tylko obrzydzenia, nie mogąc wymacać kieszeni w potarganym materiale, który okrywał skulone ciało, Gregory na oślep położył monetę i ruszył z miejsca, gdy coś cicho zadźwięczało u jego nogi, w słabym świetle latarni błysnął toczący się za nim jego własny miedzian. Gregory odruchowo podniósł go i cisnął w ciemniejszy załom murów. Odpowiedziało mu chrypliwe, zduszone stęknienie, Gregory, bliski rozpacz, puścił się przed siebie największymi krokami, jakby uciekał. Gała ta bzdura, trwająca chyba minutę, przyprawiła go o idiotyczne podniecenie, z którego otrząsnął się dopiero tuż przed domem, ujrawszy światło w oknie swego pokoju. Nie zachowując zwykłych, zawiłych ostrożności, wbiegł na piętro, dopadł drzwi z nieznacznym brakiem tchu. Stał chwilę przed progiem, wsłuchując się uważnie w ciszę; była zupełna. Rzucił raz jeszcze okiem na zegarek — wskazywał kwadrans po jedenastej — po czym otworzył drzwi. Pod oszklonym wyjściem na taras siedział za jego biurkiem Sheppard. Na widok Gregory'ego podniósł głowę znad; książki, którą, czytał.

— Dobry wieczór, poruczniku — powiedział Główny Inspektor — dobrze, że pan już przyszedł.

Rozdział V

Gregory był tak zaskoczony, że nie odpowiedział ani nie zdjął kapelusza, lecz stał w drzwiach, z niezbyt mądrym widać wyrazem twarzy, bo Sheppard uśmiechnął się nieznacznie.

— Może pan zamknie drzwi? — powiedział w końcu, gdy ta niema scena przedłużała się nad miarę. Gregory opamiętał się, powiesił płaszcz, uścisnął rękę Inspektora i spojrzał na niego oczekująco.

— Przyszedłem, żeby się dowiedzieć, czego dokonał pan u Scissa — powiedział Sheppard, siadając na poprzednim miejscu i opierając się łokciem o książkę, nad którą zastał go Gregory. Mówił zupełnie spokojnie, jak zawsze, ale w słowie „dokonał” Gregory zwiertzył ironię, odparł więc, starając się wpaść w ton naiwnej szczerości:

— Ależ, panie inspektorze, starczyło mi powiedzieć, tobym do pana zadzwonił, to nie znaczy, rozumie się, że nie jestem panu rad, ale po co pan specjalnie... — trzepał szybko. Sheppard jednak nawet nie próbował podjąć tak łatwej do przejrzania gry, lecz drobnym gestem uciął potok wymowy.

— Nie będziemy się bawili w ciuciubabkę, poruczniku — powiedział. — Pan się słusznie domyśla; przyszedłem nie tylko po to, żeby pana wysłuchać. Uważam, że popełnił pan błąd, dosyć istotny błąd, aranżując tę historię z telefonem. Tak, z telefonem do Scissa, w czasie kiedy pan był u niego. Poleciał pan zadzwonić Gregsonowi o tym rzekomo odnalezionym ciele, aby sprawdzić reakcję Scissa. Otóż, uprzedzając pana opowiadanie, odważę się zawyrokować, że się pan z tego nie dowiedział nic, że ten bluff nie dał rezultatu. I nie mylę się. Prawda?

Ostatnie słowa powiedział ostrzej. Gregory, sposepniały, utracił od razu impet. Zacierając zziębłe ręce, usiadł okrakiem na krześle i mruknął:

— Tak.

Cała jego wymowność znikła. Sheppard tymczasem, podsuwając mu pudełko playersów i sam biorąc papierosa, ciągnął:

— Jest to przereklamowany chwyt, par excellence książkowy, o diabło krótkich nogach. Pan nie dowiedział się nic albo prawie nic, Sciss natomiast wie albo będzie wie-

dział jutro, co na jedno wychodzi, że pan go podejrzewa, mało tego, że przygotował mu pan nie całkiem lojalnie pułapkę. Tym samym, jeżeli przyjąć pański punkt widzenia, że to on jest tak czy inaczej sprawcą bądź współsprawcą, wyrządził mu pan przysługę w postaci ostrzeżenia. Bo o tym, że człowiek tak przezorny jak sprawca po otrzymaniu równie dobitnego ostrzeżenia przezorność swoją udziesięciokrotni — o tym pan chyba nie wątpi?

Gregory milczał, pocierając zaciekle palce. Sheppard zaś kończył, wciąż z jednakim spokojem, któremu przeczyło tylko głębokie wcięcie między zsuniętymi brwiami:

— To, że mi pan nie powiedział nic o swoim planie, jest pańską sprawą, bo usiłuję zawsze w miarę możliwości traktować serio tę autonomię postępowania, którą musi mieć oficer prowadzący u mnie śledztwo. Ale to, że pan nie pomówił ze mną o swoich podejrzaniach w stosunku, do Scissa, było po prostu głupotą, ponieważ mogłem panu powiedzieć o Scissie niejedno — nie jako przełożony, ale jako człowiek, który go zna od dość dawna. Bo podejrzania wobec mojej osoby pozbył się pan chyba w międzyczasie, prawda?

Policzki Gregory'ego pokryły się momentalnie rumieńcem.

— Nie myli się pan — powiedział, podnosząc oczy na Inspektora. — Zachowałem się jak idiota. I jedynym moim usprawiedliwieniem może być to, że nigdy, nigdy nie uwierzę w cuda, choćby to miało mnie kosztować rozum.

— W tej sprawie wszyscy musimy być niewiernymi Tomaszami, to już jest żaloszny przywilej naszego zawodu — powiedział Sheppard, który wypogodził się, jak gdyby rumieniec młodego człowieka stanowił dlań jakąś szacowną satysfakcję. — W każdym razie przyszedłem nie po to, aby palić panu reprimendę, lecz aby w miarę środków pomóc. Do rzeczy zatem. Jak poszło u Scissa?

Gregory z uczuciem niespodziewanie odzyskanej lekkości ducha wziął się do szczegółowego przedstawienia całej wizyty, nie oszczędzając żadnego momentu, który uważał za swoją klęskę. Mniej więcej w połowie opowieści, gdy doszedł do osobliwej sceny napiętego milczenia, po którym obaj z doktorem nieoczekiwanie się roześmieli, usłyszał dobiegający zza ściany stłumiony, daleki odgłos, i cały nastroszył się wewnątrz.

To pan Fenshaw rozpoczynał swoje nocne misterium akustyczne.

Mówił dalej, szybko, ze swada, jednocześnie zaś robiło mu się coraz goręcej, nie ulegało przecież wątpliwości, że Inspektor prędzej czy później zwróci uwagę na te, niesamowite w swej zagadkowości i bezsensie, odgłosy, a wtedy i on sam zostanie mimo woli wciągnięty w orbitę niewytłumaczalnej bredni. Nie myślał zresztą konkretnie, nie wyobrażał sobie, co się stanie, tylko wsłuchiwał się w coraz donośniej poczynającego sobie za ścianą pana Fenshaw z taką uporczywością, z jaką pobudza się do bólu narywający ząb. Przyszła seria kłapiących odgłosów, potem miękkie i mokre plaśnięcia. Gregory, podnosząc głos, opowiadał coraz energiczniej, z wysiloną werwą, byleby Inspektor nie

zwrócił uwagi na te odgłosy. Dlatego zapewne, kończąc opowiadanie, nie zamilkł, lecz w nieprzemyślanej chęci dalszego zagłuszania pana Fenshaw podjął się tego, czego by sobie w innych okolicznościach na pewno oszczędził — mianowicie gruntownej analizy samej „statystycznej hipotezy”, której autorem był Sciss.

— Nie wiem, jak on wpadł na tę historię z rakiem — mówił — ale istnienie owej „wyspy” niskiej zachorowalności musi być faktem. Naturalnie można by przeprowadzić badania porównawcze na większą skalę, powiedzmy, całej Europy, żeby stwierdzić, czy i gdzie indziej nie ma takich wysp, jak w hrabstwie Norfolk. To by podważyło samą podstawę jego hipotezy. Nie mówiłem z nim o tym, zresztą on ma rację o tyle, że to naprawdę nie byłoby zajęcie dla nas. Policja sprawdzająca naukową hipotezę staje się do prawdy nazbyt śmieszna. Ale co się tyczy dalszych konsekwencji, Sciss był naturalnie zbyt mądry, aby oszołamiać mnie fantastycznymi możliwościami, przeciwnie, sam je właściwie wyszydzał. Cóż innego jednak pozostaje? Rozmyślałem o tym, i oto do czego doszedłem: pierwszy wariant jest ostrożniejszy, wychodzi tylko z tego założenia, że mamy przed sobą jakąś osobliwą przemianę przyczyny wywołującej raka; powiedzmy, że to jest jakiś nie znany bliżej wirus. Wówczas rozumowanie może iść tak: rak przejawia się w organizmie jako chaos, organizm zaś to przeciwieństwo chaosu, to uporządkowanie, ład procesów życiowych w żywym ciele. Otóż ten „czynnik chaosu”, jakim jest rak, wirus rakowy, przekształca się w pewnych okolicznościach, nie przestając dalej istnieć, i choć nadal wegetuje w danym środowisku, ludzie przestają chorować na raka, ale on dalej przebywa w ich ciałach. W końcu zmienia się do tego stopnia, że nabiera całkiem nowych możliwości, z czynnika chaosu staje się czynnikiem jakiegoś nowego ładu — pośmiertnego — to znaczy, zwalczając niejako przez pewien czas ten rodzaj chaosu, rozpadu, jaki przynosi śmierć, usiłuje kontynuować życiowe procesy w organizmie już na dobre martwym. Przejawem tego działania jest więc poruszanie się nieżywych ciał, ruchy zwłok, będące wynikiem niezwyklej symbiozy żywego, to znaczy tego przemienionego wirusa, z martwym, z trupem. Oczywiście nie chodzi już tylko o to, że rozsądek powstaje przeciw takiemu „wytłumaczeniu”, ale ono samo jest nadzwyczaj niezupełne, bo ten „czynnik ładu” nie powoduje przecież ruchów byle jakich, ale nader zborne, skoordynowane. Cóż to za „wirus”, który sprawia, że trup wstaje, poszukuje jakiegoś odzienia i oddala się w tak przemyślny sposób, że nikt nie może go dostrzec!

Gregory przerwał, jakby oczekując reakcji Shepparda, lecz w tej chwili ściana, przykuwająca jego uwagę, rozebrzmiała gęstym, leciutkim werblem, jakby padał na nią w pokoju pana Fenshaw jakiś niezwykle, poziomy deszcz grubych, elastycznych kropli — począł więc mówić jeszcze szybciej i głośniejsz:

— Wirus raka to coś wcale prawdopodobnego, jednakże nie można w zasadzie tłumaczyć nieprawdopodobnego — prawdopodobnym, tu już raczej potrzebne jest nieprawdopodobne, i dlatego naturalnie Sciss zwrócił, niby to mimochodem, moją uwagę

na „latające talerze”, to znaczy na możliwość wytłumaczenia „pozaziemskiego”. W tym drugim ujęciu sprawa nabiera kosmicznego rozmachu; mamy przed sobą coś w rodzaju „pierwszego zetknięcia” Ziemi i ludzi ze zjawiskami rodem z gwiazd. A więc na przykład: jakieś twory rozumne, lecz funkcjonujące w sposób bardzo odległy naszemu pojmowaniu, pragną poznać bliżej ludzi, obierają przy tym taką metodę, że zsyłają, w sposób dla nas na razie niedostrzegalny, coś w rodzaju swych „narzędzi badawczych” na Ziemię. Te „narzędzia” — to właśnie mikroskopijny czynnik, który opada, powiedzmy, zrzucony z „talerzy”, na podobieństwo niewidzialnej zawiesiny, nie atakuje wszakże organizmów żywych, ale „skierowany” jest, „zaadresowany” tylko do martwych, dlaczego? Powiedzmy, dlatego, aby żywych ciał nie uszkodzić (to by świadczyło o „humanitaryzmie” przybyszów z gwiazd). W jaki sposób może mechanik najlepiej poznać budowę i działanie maszyny? Uruchamiając ją i badając jej działanie, nieprawdaż? Otóż „czynnik” czy też „narzędzie” tak właśnie działa: „uruchamia” na pewien czas zwłoki ludzkie, zyskując podczas tego procesu niezbędną „przybyszom” wiedzę. Zjawisko to nie daje się nawet w takim ujęciu zrozumieć, i to dla wielu przyczyn. Po pierwsze, „czynnik” zdaje się zachowywać sensownie, celowo, a więc nie jest to narzędzie w naszym rozumieniu jak młotek, ale już raczej coś w rodzaju „wytresowanych bakterii” — wytresowanych tak jak nasze, ludzkie psy do polowania; po wtóre, zachodzi niezrozumiały związek „czynnika” z chorobą rakową. Gdybym miał za wszelką cenę wyjaśnić hipotetycznie i to zjawisko, wykoncypowałbym, powiedzmy, coś takiego: W obszarze niskiej zapadalności na raka ludzie nie chorują nie dlatego, że tam nie ma wirusów raka, ale ponieważ ludzie są tam na niego odporni; otóż możemy sobie powiedzieć, że odporność ludzka na raka jest odwrotnie proporcjonalna do odporności na „zesłany z gwiazd” czynnik — tym samym i statystyka jest uratowana, i nasze wytłumaczenie całe...

Gregory zatrzymał się. W pokoju, jak i w przylegającej doń sypialni pana Fenshaw zapanowała cisza. Sheppard, który słuchał w milczeniu, chwilami tylko podnosząc oczy na detektywa, jak gdyby dziwił się nie tyle temu, co on mówił, ile jego zapalczywości, zauważył od niechcienia:

— W to wszystko pan, oczywiście, nie wierzy...

— Ani przez chwilę — odparł Gregory, dziwnie jakoś osłabły. Zrobiło mu się naraz wszystko jedno, czy za ścianą panuje spokój, czy nie; zapragnął znów, jak po wyjściu od Scissa, znaleźć się sam. Milczał więc, Inspektor zaś rzekł:

— Musiał pan sporo czytać i studiować, pański sposób wysławiania się jest bardzo „niepolicyjny”. No tak, trzeba dokładnie poznać język wroga... Sciss mógłby być z pana zadowolony w każdym razie. Pan podejrzewa go nadal, prawda? Jaką motywację przypisuje pan jego postępowaniu?

— To nie jest tak, że ja go podejrzewam. Znaczyłoby to, że atakuję, tymczasem jestem dalej w defensywie, i to rozpaczliwej. Jestem jak szczur zapędzony w kąt bez wyjścia. Ja

się tylko bronię przed „cudownością” tej sprawy. Przecież, panie inspektorze... Jeżeli rozwijać tego rodzaju hipotezy dalej, to można się dogadać w końcu do wszystkiego — że, powiedzmy, takie ingerencje „czynnika X” powtarzają się periodycznie, w sporych odstępach czasu, że ostatni spadek rakowej zapadalności nastąpił mniej więcej dwa tysiące lat temu, nie w Anglii, lecz w Azji Mniejszej, a w związku z tym i wówczas zaszedł szereg „zmartwychwstań”: Łazarz, wie pan, no i jeszcze ktoś... Jeżeli raz na mgnienie potraktujemy takie historie poważnie, to ziemia otwiera się nam pod nogami, grunt staje się galareta, ludzie mogą pojawiać się i zniknąć, wszystko jest możliwe, a policja winna jak najszybciej zrzucić mundury, rozejść się, zniknąć... nie tylko zresztą policja. My musimy mieć winowajcę, a jeżeli rzeczywiście ta seria się zamknęła, to cały jej przebieg będzie odsuwał się w coraz dalszą przeszłość, zostanie nam parę gipsowych odcisków, kilka nie całkiem ze sobą zgodnych relacji niezbyt inteligentnych pracowników kostnicy i grabarzy — i cóż będziemy mogli z tym począć? Ostatnie, co pozostaje, to skoncentrowanie się na powrocie ciał. Jestem teraz najzupełniej przekonany, że pan ma rację: mój bluff nie dał istotnie żadnego rezultatu, Sciss wcale nie był zaskoczony tym telefonem, a jednak, zaraz... pozwól pan!

Zerwał się z krzesła, oczy mu płonęły.

— Sciss w związku z tym telefonem powiedział mi coś wcale konkretnego. Mianowicie, że nie tylko spodziewa się odnalezienia zwłok, ale może nawet obliczyć ze swojej formuły, kiedy one się zjawią, to znaczy: kiedy wyczerpie się ich „energia ruchów”, tak to nazwał... A więc trzeba zrobić wszystko, aby to pojawienie się nastąpiło, choć jeden raz, przy świadkach!

— Jedno słowo — wtrącił Sheppard, który już od dłuższej chwili usiłował coś powiedzieć, lecz Gregory zdawał się tego nie dostrzegać; jakby w ogóle zapomniał o obecności Inspektora. Krążył, a właściwie błagał po pokoju.

— Pan zakłada alternatywę: Sciss — albo „czynnik”. I utracą pan od razu jej drugi człon: „czynnik”, tak że pozostaje jedynie wulgarne oszustwo, makabryczna zabawa w trupiarniach. A jeżeli żaden z tych członów nie jest prawdziwy? Jeżeli to ani Sciss, ani „czynnik”? Albo jeżeli to zrobił ktoś, kto tylko wynalazł, zsyntetyzował, stworzył „czynnik”, po czym pozaszczepiał go zwłokom dla eksperymentu?

— Pan w to wierzy!?! — zawołał Gregory, podbiegając do biurka. Stał i pospiesznie oddychając patrzył na spokojnego, prawie zadowolonego Inspektora. — Jeżeli pan w to wierzy, to... to... Nonsens! Nikt niczego nie wynalazł! Boby to było odkrycie godne Nobla, bo ja wiem! Cały świat by o tym wiedział. To raz. A po wtóre, Sciss...

Gregory urwał. Nastąpiła zupełna, doskonała cisza, w której przeraźliwie wyraźnie dały się słyszeć powolne, następujące po sobie, miarowe skrzypnięcia, dochodzące nie zza ściany, lecz z wnętrza pokoju, w którym obaj przebywali. Zjawisko to słyszał Gregory już parokrotnie, w sporych, wielotygodniowych odstępach czasu, jednak-

że dotąd zdarzało się tylko, gdy leżał po ciemku w łóżku. Za pierwszym razem ta seria skrzypnięć, zbliżających się do jego legowiska, wyrwała go nawet z drzemki; ocknął się z zupełną pewnością, że ktoś jest w pokoju i idzie ku niemu boso. Zapalił natychmiast światło, ale nikogo nie było. Drugi raz zdarzyło się to bardzo późno, prawie nad ranem, kiedy, wymęczony bezsennością, w jaką wprawiły go harce pana Fenshaw, leżał w odrętwieniu, które nie było ani snem, ani jawą. I wówczas zapalił światło, bez rezultatu, jak za pierwszym razem. Za trzecim nie zwrócił już na skrzypienie większej uwagi, bo powiedział sobie, że w starym domu posadzki rozsychają się nierównomiernie, a słychać to tylko wtedy, gdy panuje zupełna cisza, w nocy. Teraz jednak pokój był dobrze oświetlony stojącą na biurku lampą; meble, niechybnie tak „samo stare jak posadzka, milczały. Za to parkiet trzasnął lekko a wyraźnie w pobliżu pieca. Potem znowu, ale bliżej, gdzieś na środku pokoju — nastąpiły dwa skrzypnięcia nieco szybsze, jedno przed Gregorym, a drugie za nim. I znów zapanował zupełny spokój. Po chwili, w czasie której Gregory trwał nieruchomy z uniesionymi ramionami, z pokoju pana Fenshaw, ale tak słabo, jakby z odległości znacznie większej, dobiegł chichot... czy płacz? — słabutki, starczy, przytłumiony, może kołdrą, który zakończył się bezsilnym pokaszliwaniem. I znów było cicho.

— Po wtóre, Sciss częściowo sobie przeczył...

Gregory daremnie usiłował podjąć przerwany wątek, przerwa była zbyt wielka, nie mógł już udać, że nic się nie stało. Poruszył parę razy bezradnie głową, jakby wytrząsał wodę z ucha, i usiadł na krześle.

— Rozumiem — powiedział Sheppard, przechylając się na krześle i spoglądając na niego uważnie. — Pan podejrzewa Scissa, bo uważa, że jest zmuszony do tego. Zapewne próbował pan ustalić, gdzie Sciss przebywał podczas wszystkich krytycznych nocy? Gdyby choć podczas jednej miał zupełnie pewne alibi, podejrzenie upadłoby — albo należałoby przyjąć hipotezę współnictwa, cudotwórstwa per procuram. A więc?

„Nic nie zauważył? Czy to możliwe?” — błyskawicznie pomyślał Gregory. — „To niemożliwe, chyba... chyba że nie dosłyszy! No pewnie, wiek”. — Za wszelką cenę usiłował skupić się, wywołując w sobie przypomnienia ostatnich słów Shepparda, które brzmiały mu jeszcze w uszach, lecz których znaczenia dotąd sobie nie uświadomił.

— No tak... oczywiście... — bąkał. I przytomniejąc: — Sciss jest takim samotnikiem, że o pewnym alibi trudno mówić. Należało go przesłuchać, a tego nie zrobiłem... Tak, zawałem śledztwo. Zawałem... Nawet tej kobiety, która prowadzi mu gospodarstwo, nie przesłuchałem...

— Kobiety?... — z wyraźnym zdziwieniem powiedział Sheppard. Patrzył na Gregory'ego z takim wyrazem twarzy, jakby powściągał śmiech. — Ależ to jest jego siostra! Nie, doprawdy, Gregory, nie można powiedzieć, że pan zbyt wiele zdziałał! Jeżeli nie chciał pan jej przesłuchać, to trzeba było przesłuchać przynajmniej mnie! Tego dnia, kiedy znikło ciało w Lewes — pamięta pan, między trzecią a piątą w nocy — Sciss był u mnie.

— U pana? — spytał szeptem Gregory.

— Tak. Już wtedy wciągnąłem go do współpracy, zrazu „prywatnie”, to znaczy, przedłożyłem mu zebrane materiały u siebie w domu. Wyszedł tuż po północy; nie potrafię powiedzieć dokładnie, czy było pięć po dwunastej, czy zbliżało się pół do pierwszej, ale nawet zakładając, że północ dopiero co minęła, musiałyby, siadłszy do auta, pojechać z najwyższą szybkością do Lewes, a i tak wątpię, czy przyjechałby na miejsce przed trzecią nad ranem. Raczej gdzieś koło czwartej. Ale nie to jest najważniejsze. Wie pan, poruczniku, istnieją rozmaite rodzaje nieprawdopodobieństwa materialnego, w rodzaju na przykład wyrzucenia w serii stu rzutów monetą dziewięćdziesięciu dziewięciu orłów, istnieją wszakże rodzaje nieprawdopodobieństwa psychologicznego, które zdają się graniczyć z bezwzględną niemożliwością. Znam Scissa od lat, jest to człowiek nieznośny, egocentryk z żyletek i ze szkła, przy całej świetności umysłu arogancki, pozbawiony absolutnie taktu czy może wprost nie biorący pod uwagę tego, że pewnych obyczajów przestrzega się między ludźmi nie tyle nawet z grzeczności, co dla prostej wygody współżycia. Nie mam, co się tyczy jego osoby, żadnych złudzeń, ale to, żeby on mógł chować się na czworakach pod jakimiś starymi trumnami w kostnicach, żeby plastrami podklejał rozwierające się szczęki trupów, żeby wytłaczał w śniegu ślady, żeby się mozolił nad przełamaniem pośmiertnego stężenia w tym calu, by potrząsać martwym ciałem jak kukłą i przez to przestraszyć policjanta — otóż to wszystko jest absolutnie nie do pogodzenia ze Scissem, jakiego znam. Proszę zważyć, ja nie twierdzę, że on nie mógłby popełnić przestępstwa, a nawet zbrodni, sądzę jedynie, że nie potrafiłby ich popełnić w okolicznościach tak makabryczno-trywialnych. Jeden z dwu Scissów nie może istnieć; albo ten, który przeprowadził całą ową cmentarną tragifarsę, albo ten, którego ja znam. Czyli, aby móc ją wyreżyserować, musiałyby w życiu codziennym bezustannie grać całkiem innego człowieka niż ten, którym jest istotnie, albo, mówiąc ostrożnie, którym się okazał, czyniąc to wszystko, o co pan go posądza. Czy podobnie konsekwentna gra wydaje się panu możliwa?

— Już powiedziałem panu, że wydaje mi się możliwe wszystko, co uwalnia mnie od konieczności uwierzenia w cuda — głucho powiedział Gregory, który znów tarł gwałtownie dłonie, jakby nagle począł ziębnać. — Ja nie mogę sobie pozwolić na luksus takiego psychologizowania. Muszę mieć sprawcę, muszę mieć go za wszelką cenę. Może Sciss jest szalony — w pewnym sensie tego słowa — może to monomaniak, może cierpi na rozszczepienie osobowości, rozdwojenie jaźni, może ma współnika albo teorię swoją osłania tylko rzeczywistego sprawcę — wariantów jest wiele, niechby się tym zajęli rzeczoznawcy.

— Czy może mi pan odpowiedzieć na jedno pytanie? — powiedział bardzo łagodnie Sheppard — przy czym chciałbym wyraźnie zaznaczyć, że ja nie chcę bynajmniej niczego panu sugerować, niczego nie zakładam z góry i przyznaję się wyraźnie do tego, że w tej sprawie nic, ale to nic nie wiem.

— Jak brzmi to pytanie? — ostro, prawie brutalnie rzucił Gregory, czując, że blednie.

— Dlaczego nie dopuszcza pan w ogóle możliwości wytłumaczenia innego jak tylko kryminalne?

— Ależ mówiłem już, mówiłem wiele razy! Bo alternatywą jest cud!

— Tak pan sądzi? — powiedział Sheppard, nagle jakby zatroskany. Wstawał, wygładzając poły surduta. — Niech i tak będzie. Alibi Scissa, o którym mówiłam, trzeba dopiero zbadać, poruczniku, nieprawdaż? Myślę o przypadku Lewes, bo ja widziałem go tylko do północy. Mój płaszcz jest, zdaje się, tu? Dziękuję panu, chyba nadchodzi zmiana, mój reumatyzm się odzywa i ciężko mi podnieść ramię. Dziękują panu. Już jest po północy. Zasiedziałem się. Do widzenia! Aha, jeszcze jedno, tak w wolnej chwili, niejako dla ćwiczenia może by pan zechciał wyśledzić i zakomunikować mi, kto to tak skrzyphiał tu, w gabinecie, kiedyśmy rozmawiali? No, bo to nie był przecież cud, prawda? O, proszę, proszę się tak nie dziwić, pan to przecież dobrze zauważył! Może aż za dobrze? Wychodzi się schodami prosto w dół i przez tą bawialnię z lustrami, nie myłę się? Nie, proszę mnie nie odprowadzać. Drzwi domu są zamknięte, ale zauważyłem klucz w zamku. Może pan je później zamknąć, złodzieje nie grasują w tej okolicy. Dobrej nocy, a nade wszystko spokoju i rozwagi, panie poruczniku.

Wyszedł, a Gregory postępował za nim, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi. Inspektor bez wahania przemierzył amfiladę otwartych pokoi i zbiegł po schodach ku bramie. Detektyw schodził za nim wolno, trzymając się poręczy, jak pijany. Brama zamknęła się cicho. Gregory dotarł do niej, zamknął ją, machinalnie przekręcając dwa razy klucz, potem wrócił na górę z szumiącą głową, z piekącymi jak ogień oczami. Jak stał, rzucił się w poprzek na łóżko. Dom był pełen głębokiego spokoju, w oknach mżyły dalekie światła, zegarek tykał cicho i leżał tak nie wiadomo jak długo.

Po pewnym czasie wydało mu się, że lampa na biurku świeci słabiej niż przedtem. „Muszę być bardzo zmęczony — pomyślał — trzeba się położyć i zasnąć, bo będę jutro do niczego”. Ale nie poruszył się nawet. Coś, jakby obłoczek czy smużka dymu, przesunęło się nad pustym fotelem, w którym poprzednio siedział Sheppard, lecz było mu to obojętne; leżał bezwładnie, wsłuchując się we własny oddech. Nagle rozległo się pukanie.

Trzy wyraźne, oddzielne stuknięcia sprawiły, że zwrócił głowę ku drzwiom. Dalej jednak nie wstawał. Pukanie powtórzyło się. Chciał powiedzieć „proszę”, ale nie mógł; zaschło mu w gardle jak po pijatyce. Wstał i ruszył do drzwi. Kładąc rękę na klamce zniechęcił się, bo nagle oślepiło go, jak gwałtowny błysk światła, przecucie, kto stoi z tamtej strony. Szarpnął klamkę i z zamierającym sercem wychylił się w ciemność. Nie było nikogo. Wybiegł w długi pas światła, idący od rozwartych drzwi, z wyciągniętymi rękami, aby nie wpaść na tego, który musiał być gdzieś blisko — nie napotkał jednak nic.

Szedł dalej i dalej w rosnącym echu. „Jaki ten dom wielki” — pomyślał; równocześnie dostrzegł wysoką sylwetkę, cofającą się w boczny korytarz. Pobiegł tam, odzewem był lekki, pospieszny tupot nóg, tamten uciekał przed nim. Nagle ujrzał tuż przed sobą zatraskujące się drzwi, wpadł do środka i zatrzymał się z trudem przed nogami łóżka zasłanego niebieską pościelą. Chciał się cofnąć, zmieszany, bo poznał pokój pana Fenshaw. Lampa o alabastrowej żyłkowanej czaszy wisiała nad stołem tak nisko, że niedługo go dotykała; stół przysunięty był do łóżka, w głębi stała pod ścianą szafa o wypukłych drzwiach, a przy ścianie, graniczącej z jego pokojem, stały dwa manekiny, jakich używa się w salonach mody. Były nagie i światło lampy lśniło w ich długich, kremowych członkach. Oba miały piękne, prawdziwe włosy — były to manekiny kobiece — a jeden, zwrócony do Gregory’ego, z uprzejmym, martwym uśmiechem na twarzy, miarowo pukał palcem w mur. Gregory osłupiał.

W tej samej chwili zobaczył siedzącego na podłodze za manekinem starego pana Fenshaw, który chichotał cichutko, jakby bez przerwy pokasływał, trzymając w obu rękach nitki, biegnące do rąk i tułowi manekinów, i poruszał nimi wprawnie za pomocą małych dźwigienek, jakie można zobaczyć za kulisami teatru marionetek.

— Nie, nie — powiedział — nie trzeba się lękać, pan nie wie? Zapewne te odgłosy nie dawały panu spać? Bardzo mi przykro, ale mogę to robić tylko w nocy. Ja wywołuję duchy, wie pan.

— Ależ do tego potrzebny jest stolik — powiedział głupio Gregory, rozglądając się po pokoju nie wiadomo za czym.

— Stoliki to już przestarzałe, teraz robi się to tak — powiedział pan Fenshaw, wciąż pociągając za nitki.

Gregory nic nie odpowiedział. Za plecami pana Fenshaw wisiała sięgająca ziemi okienna portiera z żółtymi frędzlami; z jednej strony uwypuklała się nieznacznie, jakby była delikatnie naciągnięta na jakiś pionowy, duży przedmiot.

Gregory zwrócił się natychmiast do pana Fenshaw z jakimś nieprawdopodobnie idiotycznym pytaniem, bodaj o wytwórcę manekinów, chwalił jego zręczność w poruszaniu nimi, a jednocześnie przesuwał się trochę tyłem, trochę bokiem w stronę portiery, aż dotknął jej ramieniem. Obszerny fałd poddał się pod naciskiem — do oporu. Gregory wiedział już, że stoi tam człowiek. Odetchnął głęboko i przez sekundę stał z napiętymi mięśniami, potem zaczął chodzić po pokoju, perorując z przejęciem. Spowiadał się panu Fenshaw z jakąś niesmaczną szczerością ze swoich nocnych strachów, a niepewny, czy uspi to dostatecznie podejrzliwość tamtego, zaczął bez wahania mówić o śledztwie. Przystawał raz przed manekinami, a raz przed zasłoną, mówiąc to do nich, to wprost do niej, jakby już nie zauważał pana Fenshaw. Ta gra dawała mu poczucie rosnącej przewagi; świadomie napinał ryzyko sytuacji, zaprawiając swoje słowa dwuznacznościami, kiedy je ciskał w nieruchomo uwypuklony, żółty materiał drape-

rii, z triumfującym i ściśniętym zarazem sercem. Śmiejąc się w głos, omiatał pokój błyskawicznymi spojrzeniami, jakby po kabotyńsku grał detektywa, a nie był nim naprawdę. W głowie tłukł mu się wciąż krzyk: „Wyjdź! Widzę cię!” Mówił coraz szybciej i bezładniej, wyrzucając w pośpiechu nie uformowane zdania. Kiedy stanął tyłem do ukrytego, tak że wyczuł ciepło jego nieruchomego ciała, w oczach zrywającego się z podłogi starego pana Fenshaw dostrzegł pełne litości przerażenie. Coś chwyciło go, nie mógł się wyrwać, zatrzepotał rękami, tracąc dech, mrozące, zimne ostrze wchodziło w jego pierś, a wszystko dokoła zastygało w znieruchomiałą fotografię. Padał łagodnie, myśląc z nadzwyczajną zachłannością: „Ach, więc to polega na tym, że wszystko staje, ale gdzie jest ból?” — i ostatekiem przytomności czekał na mający nadejść wysiłek agonii, starając się jak najszerzej otworzyć oczy. W rozwartej szeroko żółtej zasłonie, którą widział z dołu, stał siwy człowiek. Pochylał się nad Gregorym z nadzwyczajną uwagą. „Nie widzę już” — pomyślał porucznik z rozpaczą, chociaż jeszcze widział — „nie dowiem się, który z nich dwóch”. Otoczenie przybrało kształt olbrzymiego huczącego dzwonu, wtedy zrozumiał bez słów, że zabił go człowiek, którego chciał pokonać, że to tamten został zwycięzcą. I to był koniec snu — w ciemnym pokoju, z wystygłym, gorzkawym zapachem dymu tytoniowego w powietrzu, dzwonił telefon, cichł i znowu dzwonił. W miarę budzenia się, ciężkiego jak sam koszmar, Gregory zdawał sobie coraz wyraźniej sprawę z tego, że już od dawna powtarza się monotonny sygnał.

— Gregory — wykrztusił do słuchawki, opierając się z całej siły na wyprostowanej racie; pokój chodził wokół niego.

— Tu Gregson. Dzwonię od pół godziny. Słuchaj, stary, przyszedł meldunek z Beavers Home, znaleźli tam zwłoki tego gościa, który znikł przed trzema tygodniami.

— Co? — powiedział Gregory ze strachem. — Gdzie? Jakie zwłoki?

— Człowieku, ależ ty śpisz jeszcze! Chodzi o ciało tego marynarza — nazywał się Aloney — które znikło z prosektorium. Znaleźli je w składnicy starego żelaza, w okropnym stanie, musiało tam już dawno leżeć.

— W Beverley...? — cicho powiedział Gregory; szumiało mu w głowie jak po wódce.

— Nie, w Beavers Home, oprzytomnij nareszcie! To, jest dziesięć kilometrów dalej na północ. Tam gdzie te wielkie stadniny lorda Altringhama, wiesz?

— Kto znalazł?

— Robotnicy, wczoraj wieczorem, ale dopiero teraz posterunek dał nam znać. W jakichś rupieciach, na otwartym polu, przed barakiem. Pełno rdzy, blachy, tam są całe stosy tego. Pojedziesz?

— Nie. Nie mogę — gwałtownie wyrzucił Gregory i dodał zaraz spokojniej:

— Źle się czuję, możliwe, że mam gripę. Niech jedzie Calls, wywołaj go, dobrze? I lekarz. Sörensen nie będzie pewno mógł, to znaczy nie zechce. Niech może jedzie

King. Załatw to, Gregson, proszę cię, słyszysz?! No, Calls da sobie doskonale radę. Aha, i fotografa niech wezmą. No, przecież sam wiesz. Ja naprawdę, nie mogę.

Urwał, czując, że za wiele mówi. Chwilę trwało w słuchawce milczenie.

— Jak chcesz — oświadczył w końcu Gregson. — Jeżeli jesteś chory, to jasne, że nie możesz. Myślałem, że będzie ci na tym zależało.

— Ależ oczywiście! Chciałbym wiedzieć, co tam znaleźli. Zaraz wezmę się do leczenia, aspiryna i tak dalej, myślę, że się postawię na nogi. Do Yardu postaram się przyjść koło... koło pierwszej. Powiedz Callsowi, że będę na niego czekał.

Odłożywszy słuchawkę, Gregory podszedł do okna. Świtało; wiedział, że już nie zasnie. Otworzył szeroko drzwi na taras i stojąc w przenikliwym, wilgotnym powietrzu, które poruszało firanką, zapatrzył się w bezbarwne niebo nowego dnia.

Rozdział VI

Brakowało kilku minut do czwartej, kiedy Gregory znalazł się przed „Ritzem”. Rzucił okiem na zegar, umieszczony na kolumnie przystanku tramwajowego, i stanął przed oszklonym kioskiem, w którym powoli przesuwały się oświetlone od wewnątrz fotosy nowego filmu. Oglądał nieuważnie długonogie kobiety w poszarpanej bieliźnie, zamaskowanych gangsterów i rozbijające się w kłębach kurzu samochody. Przed restauracją zajeżdżały długie amerykańskie auta. Z czarnego packarda wysiadła para turystów zza oceanu — ona stara, obrzydliwie umalowana, w sobolowej pelerynie, spiętej brylantami, on wysmukły, młody, ubrany dyskretnie na szaro. Trzymając torebkę kobiety, czekał cierpliwie, aż wysiądzie z auta. Za falą bezustannego ruchu, po przeciwległej stronie ulicy, rozpalił się nad kinem reklamowy neon, budząc sinawe blaski w okolicznych szklach i szybach. Wskazówki na zegarze nakrywały się; Gregory ruszył do wejścia. Przedpołudnie upłynęło tak, jak przewidywał. Długo oczekiwany Calls przywiózł protokół oględzin ciała i relację o okolicznościach jego znalezienia, jedno i drugie właściwie bezwartościowe. „Zastawianie pułapki” na ciała było oczywistą fikcją. Nie mógł rozstawić policjantów na przestrzeni dwustu kilometrów kwadratowych.

Wygallowany portier pchnął przed nim drzwi. Miał rękawiczki dużo porządniejsze od rękawiczek Gregory’ego. Porucznik czuł się nieswojo, trudno mu było sobie wyobrazić, jak przebiegnie to spotkanie. Sciss zadzwonił do niego koło dwunastej, proponując wspólny obiad. Był apodyktycznie uprzejmy i zdawał się w ogóle nie pamiętać o poprzednim wieczorze. Nie wspomniał też ani słowem o nieszczęsnym bluffie z telefonem. „Drugi akt” — pomyślał Gregory, rozglądając się po wielkiej sali. Dojrzał Scissa, umknął więc zbliżającym się wyfraczonym kelnerom i podszedł do stolika między palmami. Zdziwił się na widok dwu nieznanym mężczyznom, między którymi siedział Sciss. Przywitani się, Gregory usiadł trochę sztywno, mając za plecami szkarłatne obicie, a po bokach majolikowe kubły palm. Stolik znajdował się na podwyższeniu, z którego widziało się całe wnętrze „Ritza”, wytworne kobiety, kolorowe podświetlone fontanny i kolumny w pseudomauretańskim stylu. Sciss podał mu kartę; Gregory udawał, że ją czyta, marszcząc czoło. Czuł się wystrychnięty na dudka.

Przypuszczenie, że Sciss pragnie szczerzej rozmowy, upadło. „Osioł, chce mi zaimponować swoimi znajomościami” — myślał, patrząc z podkreśloną obojętnością na współbiesiadników. Byli to Armour Black i doktor McCatt. Blacka znał z jego książek i zdjęć w gazetach. Pisarz, znajdujący się u szczytu popularności, liczył koło pięćdziesiątki. Długi szereg wydanych nowel po latach przemilczania przyniósł mu wreszcie rozgłos. Trzymał się świetnie i widać było, że fotografie w gazetach, przedstawiające go na korycie czy z wędką, nie pochodzą z przeszłości. Miał wielkie, wypielęgowane ręce, dużą głowę o ciemnej czuprynie, mięsisty nos i grube powieki ciemniejsze od twarzy, która zdawała się starsza, gdy zamykał oczy. Czynił to nieraz długą chwilę, jakby pozostawiając rozmówcę samego. Drugi mężczyzna był dużo młodszy, ale tylko z pozoru: bardzo szczupły, chłopięcy, o wydatnym jabłku Adama, które jakby przełamywało mu szyję, w zbyt luźnym kołnierzyku, z blisko osadzonymi niebieskimi oczami. Zachowywał się dość ekscentrycznie, to wlepiął zaszklone oczy w stojący przed nim kieliszek, to garbił się, to znów, jakby się opamiętując, prostował się i siedział przez minutę nadmierne sztywno. Rozglądał się po sali z nie domkniętymi ustami, przerzucał naraz wzrok na Gregory’ego i świdrował go uporczywym spojrzeniem, po czym uśmiechał się znienacka jak psotny chłopiec. W typie podobny był do Scissa, może dlatego Gregory pomyślał, że to naukowiec. Gdy jednak Sciss przypominał długonogiego ptaka, McCatt miał w sobie raczej coś z gryzonia.

Tok tych zoologicznych skojarzeń przerwała Gregory’ernu drobna scysja, jaka wynikła między Blackiem a Scissem.

— Nie, tylko nie „Chateau Margot” — oświadczył kategorycznie pisarz, potrząsając kartą win. — To antidotum na wszelki apetyt. Zabija smak i depcze soki żołądkowe. A w ogóle — z najwyższą niechęcią spojrzął na kartę — tu nic nie ma. Nic! Ostatecznie to nie moja sprawa. Przywykłem do poświęceń.

— Ależ pozwól — Sciss był serio zaaferowany. Pojawił się najstarszy kelner, przypominający Gregory’emu pewnego słynnego dyrygenta. Black mruczał i burczał jeszcze, kiedy podawano przystawki. Sciss zrobił uwagę o jakiejś nowej powieści, lecz słowa jego utonęły w milczeniu. Black nie silił się nawet na odpowiedź, z pełnymi ustami spojrzął tylko na Scissa, a jego błyszczące oczy miały wyraz zgorzenia, jakby doktor popełnił Bóg wie jaki nietakt. „Krótco go trzyma ten znakomity przyjaciel” — z satysfakcją pomyślał Gregory. Jedli więc w ciszy, której tło stanowił rosnący gwar sali. McCatt między zupą a mięsem zapalił papierosa, niechcący wrzucił wypaloną zapałkę do wina i łowił ją z trudem, Gregory, w braku lepszego zajęcia, przypatrywał się jego wysiłkom. Obiad dobiegł szczęśliwie końca, gdy Black odezwał się:

— Złagodniałem. Ale, Harvey, gdybym był na twoim miejscu, odczuwałbym wyrzuty sumienia. Ta kaczka — co się z nią działo w ostatnim okresie jej życia! Pogrzeby zamęczonych mają w sobie zawsze coś odbierającego apetyt.

— Ależ, Armour... — bąkał Sciss, nie wiedząc, co mówić. Spróbował się roześmiać, ale mu to nie wyszło. Black kiwał powoli głową.

— Przecież ja nic nie mówię. To nasze spotkanie — sępy, nadciągające z czterech stron świata. No i te jabłka, co za perfidia, kamienować bezbronne stworzenie jabłkami! Prawda? A propos, ty, zdaje się, układasz statystykę nadprzyrodzonych zdarzeń cmentarnych?

— Mogę ci ją dać. Nie ma w niej nic nadprzyrodzonego, zapewniam cię. Sam zobaczysz.

— Nic nadprzyrodzonego? Ależ to fatalne! Mój drogi, wobec tego nie chcę tej statystyki. Za nic!

Gregory bawił się nieźle, widząc, jakie udręki cierpi Sciss, który okazał się całkiem bezbronny wobec tonu pisarza.

— Kiedy to ciekawe — zauważył dobrodusznie McCatt. — Jako problem naprawdę ciekawe.

— Jako problem? Słyszałem. Plagiat z Ewangelii, nic więcej. Co jeszcze?

— Czy możesz być choć przez chwilę poważny? — spytał z nie ukrywanym zniecierpliwieniem Sciss.

— Ależ ja nigdy nie jestem poważniejszy niż wtedy, kiedy żartuję!

— Wiesz co, przypomniała mi się ta historia — powiedział McCatt do Scissa. — Rzecz o komach z Eberfeldu. Wiesz, te konie, które czytały i rachowały. Tam też wyglądało wtedy na alternatywę: cud albo oszustwo.

— A przecież to nie było oszustwo, prawda? Tak się w końcu okazało — rzucił Black.

— Oczywiście że nie było. Ten gość, który tresował konie — nie pamiętam nazwiska — wcale nie oszukiwał. On też wierzył, że konie naprawdę rozmawiają i rachują. Wystukiwały kopytami cyfry albo litery alfabetu, a trafiały na dobre rozwiązania dzięki temu, że obserwowały swego pana! Jednym słowem, czytały nie z jego ust, lecz z całego zachowania, ze zmian mimiki, nieświadomych gestów, odprężenia postawy, z poruszeń tak drobnych, że niezauważalnych dla ludzkiego obserwatora. No, bo te seanse odbywały się pod bardzo surową kontrolą naukowców!

— I to im wystarczało?

— Nie do wiary, ale tak. A zatem tradycyjne stanowisko, przyjmujące jedną z dwu możliwości — cud bądź bluff — okazało się fałszywe. Było trzecie wyjście.

— Znalazłem daleko lepszą analogię — powiedział Sciss. Oparł się łokciami o stół. — Stoliki wirujące. Wiadomo, że taki stolik zaczyna stukać i tańczyć nawet pod rękami ludzi zupełnie nie wierzących w spirytyzm. Z tradycyjnego punktu widzenia macie znowu albo oszustwo, albo manifestację „ducha”. Tymczasem nie ma ani ducha, ani oszustwa, a stolik stuka! Jego ruchy są wynikiem sumowania się poszczególnych, mi-

kroskopijnych drgnień mięśniowych ludzi, trzymających ręce na blacie. Każdy z nich jest podobnym organizmem, o analogicznej strukturze nerwowo-mięśniowej. Mamy specyficzny proces zbiorowy, określone wahania tonusu, napięcie mięśni i rytmu nerwowych impulsów. Zjawisko przebiega poza świadomością tych ludzi, a w efekcie powstają spore siły, naciskające okresowo na blat stolika.

— Ależ pozwól — znacznie ciszej, z rzeczywistym zainteresowaniem odezwał się pisarz — i cóż ty chcesz powiedzieć? Że te trupy były podporządkowane ogólnym fluktuacjom świata cmentarnego? Że zmarli wstają od czasu do czasu, bo to wynika ze statystyki procesów rozkładowych? Mój drogi, wolę już cuda bez statystycznej oprawy!

— Armour, ty musisz wszystko ośmieszać! — zaperzył się Sciss. Czoło mu poczerwieniało. — Dałem tylko elementarną, niepełną analogię. Seria tak zwanych „zmarłychwstań” (bo to wcale nie były zmartwychwstania) przedstawia specyficzną krzywą. To wcale nie tak było, że zwłoki zaczęły pewnego dnia znikać, lecz najpierw zdarzały się wypadki ruchów raczej drobnych, potem zjawisko narastało, osiągnęło maksimum i zaczęło opadać. Co się tyczy współczynnika korelacji z rakiem, to jest on wyższy od współczynnika korelacji nagłych zgonów i ilości plam na słońcu. Mówiłem ci już, że...

— Wiem! wiem! pamiętam. Jest to po prostu „rak à rebours”, który nie tylko nie zabija, ale przeciwnie — wskrzesza! To bardzo ładne, to symetryczne, to heglowskie! — powiedział Black. Jego lewa powieka trzepotała niecierpliwie, niczym siedzący pod brwią ciemny motyl. Wrażenie powiększył ruch, jakim pisarz niecierpliwie przytrzymał ją palcem. Musiał go ten tik gniewać.

— Racjonalizm dnia dzisiejszego jest modą, a nie metodą, i cechuje go cała powierzchowność mody — oświadczył oschle Sciss. Puścił mimo uszu ironiczną uwagę pisarza. — Pod koniec dziewiętnastego wieku zapanowało powszechne przekonanie, że właściwie wszystko zostało już w gmachu rzeczywistości odkryte i trzeba teraz, pozamykawszy okiennice, sporządzić tylko spis rzeczy. Gwiazdy poruszają się według tegoż rachunku co części maszyny parowej, nie inaczej jest z atomami i tak dalej, aż do doskonałego społeczeństwa, zbudowanego jak pałac z klocków. W naukach ścisłych dawno pogrzebano te optymistyczne naiwne hipotezy, ale w racjonalizmie dnia codziennego wegetują nadal. Tak zwany zdrowy rozsądek polega na programowym niedostrzeganiu, przemilczaniu bądź wyszydzeniu wszystkiego, co nie pasuje do dziewiętnastowiecznych konwencji „świata do końca wytłumaczonego”. Tymczasem na każdym kroku możesz spotkać zjawiska, których struktury nie pojmujesz i nie pojmiesz bez użycia statystyki. A więc sławetna „duplicitas casuura” lekarzy, a więc zachowanie się tłumy albo cykliczne fluktuacje treści snów lub takie zdarzenia jak te ze stolikami wirującymi.

— No dobrze. Masz słuszność, jak zwykle. Ale jakże ty tłumaczysz te zdarzenia na cmentarzach? — spytał łagodnie Black. — Po wysłuchaniu cię sprawa „stolików” przestaje stanowić dla mnie problem. Nie powiem tego, niestety, o twoich „zmarłychwstańcach”.

Gregory poruszył się na krześle, takie zadowolenie sprawiły mu słowa pisarza. Spoglądał oczekująco na Scissa, który ochłonął z podniecenia i patrzył na nich teraz z drobnym, jakby przylepionym do warg uśmiechem; kąty jego małych ust ściągały się przy tym w dół, jak zawsze, kiedy gotował się powiedzieć coś doniosłego, był zarazem naiwnie bezbronny i triumfujący.

— McCatt pokazał mi niedawno mózg elektronowy, z którym można porozumiewać się słowami. Kiedy go włączył, w miarę rozgrzewania się lamp głośnik zaczął charczeć, mruczeć, bełkotać, a potem wyrzucać wyrazy bez związku. Było to podobne do tego, co się dzieje, gdy puszczasz gramofon powoli i słyszeć rżenie, z których powstaje mowa lub śpiew, ale wrażenie było silniejsze, bo maszyna po prostu bredziła. Na to nie byłem przygotowany i pamiętam to do dziś. Takie postronne „niesamowitości” zaciemniają często obraz — w tym wypadku kostnica, cmentarz, trupy stanowią szokujące akcesoria, które...

— A więc twierdzisz, że za sprawą twojej formuły rzecz jest już rozstrzygnięta? — spytał powoli Black, patrząc czarnymi ciężkimi oczami w Scissa, który zaprzeczył energicznie głową.

— Nie skończyłem jeszcze. Zbadałem statystyczno-masowy szkielet zjawiska. Analiza poszczególnych przypadków, odkrycie procesów, powodujących ruchy martwych ciał, wymaga dalszych badań. Ale takie pojedyncze, singularne traktowanie problemu leży poza moją kompetencją.

— Nareszcie zrozumiałem. Według ciebie zatem to, że mnóstwo nieboszczyków wstaje, jest już wytłumaczone; zagadkę stanowi jeszcze tylko to, dlaczego wstaje każdy z osobna wzięty, pojedynczy nieboszczyk?

Sciss zesnurował usta, potem kąty ich raz jeszcze opuściły się w dół. Odezwał się spokojnie, lecz drobny ów grymas świadczył o lekceważeniu, z jakim mówił:

— Istnienie dwu poziomów zdarzeń jest faktem, którego kpiny nie odmienia. W dużym mieście pada, powiedzmy, co pięć dni strzał z broni palnej. Tyle mówi statystyka. Ale kiedy siedzisz przy oknie i kula roztrzaska ci szybę nad głową, nie możesz rozumować w ten sposób: „Strzał już padł, następny padnie nie prędzej niż za pięć dni, więc mogę się czuć bezpieczny” — ale zrozumiesz, że naprzeciw jest ktoś uzbrojony, może jakiś wariat, i lepiej będzie dać nurka pod stół. Masz tu unaocznienie różnicy między prognozą statystyczno-masową a jednostkowym wypadkiem, tylko względnie jej podporządkowanym.

— No i cóż pan pocnie wobec takiego dictum? — spytał Black, przenosząc spojrzenie na Gregory'ego.

— Szukam sprawcy — odparł spokojnie porucznik.

— Ach, tak? Oczywiście... oczywiście, jako specjalista od „singularyzmów”. Pan nie wierzy zatem w wirusa?

— Ależ wierzę. To wirus szczególny. Na szczęście ma wiele znaków rozpoznawczych. Lubi na przykład ciemność i pustkowia, dlatego operuje tylko po nocy, w zapadłych dziurach. Policjantów unika jak ognia, widocznie są specjalnie odporni. Lubi za to padlinę, najbardziej zdechłe koty. Ma też zainteresowania literackie, ale ogranicza się do lektury przepowiedni meteorologicznych.

Warto było widzieć, jak z rosnącym rozbawieniem pisarz przysłuchiwał się Gregory'emu. Twarz jego przeobraziła się, nabrała lekkości, gdy zaczął szybko mówić:

— To znaki tak ogólnikowe, że do pańskiego listu gończego mógłby pasować niejeden, inspektorze. Na przykład ten, kto obrzuca ziemię kamieniami. Meteory też spadają najczęściej w pustkowiach, z dala od oczu ludzkich i policyjnych, do tego nocą, a raczej przed świtem, w czym przejawia się szczególna perfidia, gdyż strażnicy, zmęczeni całonocnym czuwaniem, śpią wtedy mocno. Sciss, jeśli pan go o to spyta, powie, że ta część Ziemi, która najczęściej jest bombardowana meteorami, leży w strefie cofającej się nocy, stanowi zatem czoło naszej kosmicznej podróży, a wiadomo, że zawsze więcej liści trafia przednią szybę jadącego samochodu aniżeli tylną. Jednakże skoro pan koniecznie musi mieć sprawcę...

— Nie o to chodzi, że spadają meteory i działają wirusy, ale o to, że takie zjawiska może imitować ktoś bardzo żywy i konkretny. Tylko takiego sprawcy szukam, po swoim i przyziemnie, wcale nie troszcząc się o sprawcę meteorów i gwiazd... — odpowiedział Gregory o ton ostrzej, niż zamierzał. Pisarz patrzył na niego nieruchomo.

— Och, będzie go pan miał. Za to panu ręczę. To pewne. Zresztą... zresztą pan go już ma.

— Tak? — Porucznik podniósł brwi.

— No, może pan go nie schwyta, to znaczy: nie zbierze dostatecznej ilości poszlak i dowodów, aby położyć na nim rękę, ale nie w tym sęk. Sprawca nie schwytyany — to byłaby pańska przegrana, jeszcze jedna teczka odłożona do akt bez zamykającej konkluzji. Sprawca jednak, którego nie ma, którego w ogóle nigdy nie było — to coś całkiem innego, to pożar archiwum, pomieszanie języka w cennej zawartości teczek, to koniec świata! Istnienie sprawcy, schwytanego czy nie, to dla pana nie kwestia sukcesu bądź porażki, lecz sensu czy bezsensu pańskiego działania. A ponieważ ten człowiek jest pana spokojem, ocaleniem, ratunkiem — będzie go pan miał tak czy inaczej, nakryje pan tego występnego łajdaka, nawet gdyby nie istniał!

— Jednym słowem, jestem ofiarą manii prześladowczej, obsesjonatem, postępującym na przekór faktom? — spytał Gregory, mrużąc oczy. Miał dość tej rozmowy i gotów był ją skończyć, choćby i arogancko.

— Prasa oczekuje teraz z podnieceniem rewelacji tego konstabla, który uciekł spod kostnicy — powiedział Black. — Czy pan też? Czy wiele się pan po nich spodziewa?

— Nie.

— Wiedziałem — zakomunikował mu oschle pisarz. — Jeżeli ocknąwszy się powie, że widział na własne oczy zmartwychwstanie, pomyśli pan, że mu się przywidziało, że nie można dawać wiary zeznaniom człowieka, który przeszedł ciężki wstrząs mózgu, co zresztą potwierdzi panu każdy lekarz. Albo powie pan, że sprawca działał jeszcze zręcznie, niż pan założył, że użył jakichś niedostrzegalnych nici nylonowych albo pokryty był substancją absolutnie czarną i dlatego nie można go było dostrzec. Dla pana, inspektorze, istnieją sami tylko Barabasze i dlatego, choćby pan sam zobaczył taką scenę i słyszał głos mówiący: „Łazarzu, wstań!” — pozostanie pan sobą. Sobą, to znaczy: ofiarą halucynacji albo złudzenia, albo zręcznego oszustwa. Powiadam panu: nigdy, nigdy nie zrezygnuje pan ze sprawcy, bo jego istnienie implikuje pańskie!

Gregory, który powiedział sobie, że będzie obojętnie słucał wszystkiego, co zostanie powiedziane, próbował uśmiechnąć się, ale nie mógł. Czuł, że blednie..

— Jestem więc jednym, z policjantów, którzy strzegli świętego grobu? — powiedział. — A może jednak Pawłem — przed nawróceniem? Nie zostawia mi pan tej szansy?

— Nie — odparł pisarz. — To nie ja, to pan jej sobie nie daje. Nie jest to sprawa metodologii ani statystyki, ani systematyki śledztwa, lecz wiary. Pan wierzy w sprawcę, i tak musi być. Muszą być policjanci i muszą być takie groby.

— Jeszcze lepiej — powiedział Gregory i zaśmiał się nienaturalnie. — Nie robię nawet tego, co chce, ale wypełniam tylko schemat tragedii? Może tragifarsy? Cóż, jeśli pan taki uprzejmy, że gotów grać w niej rolę chóru...

— Ależ oczywiście. To mój zawód — wypalił pisarz.

Sciss, który z rosnącym zniecierpliwieniem przysłuchiwał się rozmowie, nie wytrzymał.

— Armour, mój drogi — powiedział tonem perswazji — nie sprowadzaj rzeczy do absurdu. Ja wiem, że ty to lubisz, paradoksy są dla ciebie tym, czym woda dla ryby.

— Ryba nie stwarza wody — wtrącił Black, ale doktor nie słucał go.

— Chodzi nie o lirykę, o dramatyzowanie, ale o fakty. Entia non sunt multiplicanda — przecież wiesz. Ustalenie struktury zdarzeń nie ma nic wspólnego z wiarą. Najwyżej robocza hipoteza, z którą zaczyna się badanie, może być fałszywa. Taką fałszywą hipotezą jest właśnie twierdzenie, że istnieje jakiś „ludzki” sprawca...

— Fakty istnieją tylko tam, gdzie nie ma ludzi — odparł pisarz. — Kiedy oni się pojawiają, są już tylko interpretacje. Fakty? Ależ tysiąc lat temu takie samo zdarzenie dałoby początek nowej religii. I, zapewne, jakiejś antyreligii, powstałyby rzesze wiernych i kapłanów, masowe widzenia, puste trumny rozdrapano by na relikwie, ślepi przejrzeliby, a głusi zaczęliby słyszeć... Obecnie, przyznaję, akcja jest uboższa, mniej mitologizowania, i kat nie grozi ci torturami za twoje statystyczne herezje — zarabia na nich za to prasa brukowa. Fakty? Mój drogi, to twoja sprawa i zarazem inspektora. Obaj jesteście wyznawcami takimi, na jakich stać nasze czasy. Panie inspektorze, pan nie ma mi za złe,

mam nadzieję, tej drobnej kontrowersji? Nie znam pana, więc nie mogę twierdzić stanowczo, że nie zostanie pan Pawłem. Ale gdyby to się nawet stało — Scotland Yard zostanie. Policja bowiem nigdy się nie nawraca. Nie wiem, czyście to zauważyli?

— Obracasz wszystko w żart — burknął niechętnie Sciss. McCatt rozmawiał z nim chwilę cicho, potem zaczęli wstawać. Przed szatnią Gregory znalazł się obok Scissa, który zwrócił się doń nagle, mówiąc zniżonym głosem:

— Czy ma mi pan coś do powiedzenia?

Gregory wahał się, wreszcie podając mu impulsywnie rękę, odparł:

— Niech pan o mnie nie myśli i spokojnie pracuje.

— Dziękuję — powiedział Sciss. Głos mu drgnął, aż się Gregory zdziwił i zmieszał. Armour Black miał swój wóz przed „Ritzem”; Sciss wsiadł z nim, Gregory zaś został z McCattem i chciał się już pożegnać, gdy naukowiec zaproponował, że będzie mu towarzyszył.

Obaj byli tego samego wzrostu, idąc, parę razy chwycili się na tym, że, niby od niechcienia, przypatrują się sobie kątem oka. Należało się uśmiechnąć, ale żaden z nich tego nie zrobił. McCatt przystanął przy straganie z owocami i kupił banana. Obierając go, spojrział na Gregory'ego.

— Lubi pan banany?

— Nie bardzo.

— A spieszy się panu?

— Nie.

— Może więc zagramy? — spytał McCatt, wskazując na wejście do pasażu, oświetlone reklamą sali automatów.

Gregory'ego rozbawił ten pomysł, skinął głową i wszedł za uczonym do środka. Kilku wyrostków o połyskujących czuprynach obserwowało ponuro jednego, który strzelał błękitnymi iskrami do małego samolotu, krążącego w okienku za szybką. McCatt poszedł prosto w głąb sali, mijając rzędy kół szczęścia i mechanicznych ruletek. Automat, przy którym stanął, był oszkloną od góry metalową skrzynią, pod szkłem leżał miniaturowy, zielony krajobraz, pełen krzaków i drzew. Uczony wprawnie wrzucił monetę, pociągnął rączkę i powiedział:

— Zna pan to?

— Nie.

— Hotentoci łapią kangura. W Australii nie ma Hotentotów, ale cóż to szkodzi? Ja będę kangurem. Uwaga!

Nacisnął gałkę. Malutki kangur wyskoczył z czarnego otworu i zapadł w kępy krzaków, Gregory pociągnął za dźwignię — trzy pokraccze czarne figurki wysunęły się z boku. Manipulował rękojeścią, przybliżając je do podejrzanego miejsca. W ostatniej chwili kangur wyskoczył, przerwał linię obławy i znów zapadł w gąszcz. Kilka razy

przemierzyli tak całą plastyczną mapę, a kangur zawsze wymykał się w ostatnim momencie. Gregory chwycił wreszcie, na czym polega podstęp; jednego Hotentota przybliżył do miejsca, w którym znikł kangur, a dwu trzymał w odwodzie. Rozstawił ich tak, że McCatt nie miał dokąd uciec. Następnym ruchem schwytał kangura.

— Jak na pierwszy raz, jest pan bardzo zręczny — pochwalił McCatt. Oczy mu błyszczały, uśmiechał się jak chłopiec. Gregory wzruszył ramionami; było mu trochę głupio.

— Może to zawodowe, jestem „łapaczem”.

— Nie, to nie to: trzeba pracować głową. Nie mógłby pan już w to grać, złapał pan zasadę. To poddaje się analizie matematycznej, wie pan? Sciss nie znosi takiej zabawy, to mankament, istotny mankament...

Mówiąc tak, przechodził powoli wzdłuż szpaleru automatów, do grającego melodie wrzucił pensa, puścił w ruch tęcze tarcze loteryjki, targnął rękojeść i raptem cały rulon miedzianego bilonu wysypał mu się na podstawioną rękę. Chłopcy przy samolotowej strzelnicy zwrócili na to uwagę i ściągali z wolna ku nim, śledząc, jak McCatt nie dbale wrzucił wygrane monety do kieszeni. Ale McCatt nie próbował drugi raz szczęścia. Wyszli, mijając tego, który z zaciętym i tępy jednocześnie wyrazem twarzy pakował coraz to nowe pensy do aparatu i raz za razem strzelał.

O kilkanaście kroków dalej otwierał się drugi pasaż, pełen sklepów. Gregory poznał go — to tam zabłądził niedawno; w głębi widział wielkie lustro, zamykające drogę.

— Tam nie ma przejścia — zauważył przystając.

— Wiem. Pan podejrzewa Scissa, co?

Gregory nie odpowiedział od razu.

— To pana przyjaciel?

— Można tak powiedzieć. Chociaż... on nie ma przyjaciół.

— Aha, nie daje się lubić — z nieoczekiwanym naciskiem powiedział Gregory. — Tylko... pan nie powinien stawiać mi takich pytań.

— Nawet retorycznych? Przecież to jasne, że pan go podejrzewa. To znaczy, niekoniecznie o autorstwo tych zniknięć, ale, powiedzmy, o... współpracę. Jednakże i to jest niepoważne, przekona się pan sam po jakimś czasie. Tyle tylko: czy zaniecha pan prowadzenia śledztwa, jeżeli sam, na własne oczy, zobaczy pan coś w rodzaju zmartwychwstania? Więc zmarły, który siada, rusza się...

— Czy Sciss prosił pana, aby mnie pan o to spytał? — sucho powiedział Gregory. Stali w połowie pasażu, nie wiadomo, jak tam doszli. Zatrzymali się przed wystawą, w której dekorator bez butów, w samych skarpetkach, zdejmował suknię ze smukłej, złotowłosej lalki. Gregory'emu przypomniał się zniecka sen. Patrzył uważnie, jak spod złocistej lamy ukazuje się nadmiernie różowe i cienkie ciało manekina.

— Szkoda, że pan to tak zrozumiał — powoli odpowiedział McCatt. Nieznacznie skłaniając głowę, zawrócił na pięcie i odszedł, pozostawiając Gregory'ego przed wystawą.

Porucznik poszedł kilka kroków w głąb pasażu, ale ujrzawszy swe odbicie, zawrócił. Na ulicy płonęło coraz więcej wystaw, ruch wzrastał się, jak zwykle ku wieczorowi, szedł nieuważnie i potrącano go, w końcu skręcił w boczną ulicę. Może po minucie złapał się na tym, że stoi przed bramą, z obu stron zawieszoną gablotami fotografa. Ogarnął spojrzeniem wszystkie ślubne fotografie przytulonych par, ujednoliconych oleodrukowym retuszem, bezradne uśmiechy spod welonów i wytrzeszczoną krzepkość panów w smokingach. Z podwórza dobiegał łoskot motoru samochodowego. Wszedł do środka. Przy starym aucie z podniesioną maską klęczał człowiek w rozchełstanej skórzanej kurtce i z zamkniętymi oczami wsłuchiwał się w rosnące wycie silnika. Otwarte drzwi garażu ukazywały maski innych samochodów. Pod ścianą walały się puste kanistry i felgi. Mężczyzna w kurtce otworzył oczy, jakby poczuł obecność Gregory'ego, i zerwał się z ziemi. Twarz jego utraciła wyraz nieziemskiego zasłuchania.

— Czym można służyć? Pan życzy sobie wypożyczyć wóz?

— Co? A... można wynająć samochód? — odruchowo niemal odpowiedział Gregory.

— Rozumie się. Bardzo proszę. Pan życzy sobie coś nowego? Mam tegorocznego buicka na automatach, dotarty, chodzi jak lalka. Na godziny?

— Nie... to znaczy tak. Na jeden wieczór. Dobrze, wezmę buicka — zdecydował się Gregory. — Pan bierze kaucję?

— To zależy...

Gregory pokazał legitymację. Tamten uśmiechnął się i uklonił.

— Dla pana inspektora bez kaucji, samo się rozumie. Piętnaście szylingów zapłaci pan później. A więc buick, dobrze? Mam dać benzynę?

— Niech pan da. Długo to potrwa?

— Skąd, jeden moment.

Mężczyzna w kurtce zniknął w mrocznym garażu. Jeden z ciemnych wozów drgnął i cicho wyjechał na betonowy podjazd. Gregory zapłacił, kładąc monety na zgrubiałej, lśniącej od oleju dłoni właściciela. Zatrzasnął drzwiczki, poprawił się w siedzeniu, spróbował stopą, jak oddają pedały, włączył bieg i wyjechał ostrożnie na ulicę. Było jeszcze dość jasno.

Wóz był rzeczywiście nowy i lekki w prowadzeniu. Pod czerwonym światłem skrzyżowania odwrócił się, aby przez panoramiczne tylne okno sprawdzić długość, do której nie był przyzwyczajony. Jakiś czas jechał w tłoku, potem zrobiło się luźniej. Zwiększył szybkość. Przyjemnie było czuć mocny zryw maszyny. Miał teraz wokół siebie mniej wozów osobowych, za to więcej trójkołowych motocykli, rozwożących towary starych furgonów i malowanych w jaskrawe barwy półciężarówek z firmowymi napisami. Był już w obrębie East End, gdy spostrzegł się, że nie ma papierosów.

Minął kilka wąskich uliczek z zakazami parkowania, aż znalazł mały placzyk z kępą suchych drzew i starą żelazną studnią, przypominającą wielką klatkę dla ptaków. Cofnął buicką, aż poczuł delikatne uderzenie opon o krawężnik, i wysiadł. Trafiki, którą widział przedtem z auta, nie mógł odnaleźć. Nie znał tej okolicy, nigdy tu nie był. Zagłębił się w następną uliczkę. Zaczynało zmierzchać. Pod jaskrawymi żarówkami małego kina kręcili się, po dwu, po trzech, smukli chłopcy z tłustymi fryzurami. Ręce trzymali w kieszeniach zmiętych, wąskich spodni, stawali przed gablotą z fotkami i cierpliwie czekali, aż rozwijający je pionowy bęben ukaże następną. Gregory dostał się za kinem w gorącą strugę powietrza. Był tam otwarty na oścież bar, w środku na brytfannach skwierczały kiełbaski, w dymie poruszyło się kilka takich samych postaci, jak pod kinem. Nareszcie znalazł trafikę. Niski jak garbus właściciel, z płaską twarzą, bez szyi, podał mu paczkę amerykańskich papierosów. Wychodząc, Gregory natknął się na drugiego karła, ten był jakby skurczony w sobie, ręce i nogi miał niezmiernie grube i krótkie, głowę za to małą; zsiadał właśnie z trójkołowca, wyładowanego tacami osypanych cukrem ciastek. Gregory rozerwał celofanową tasiemkę, zapalił papierosa i zaciągnął się mocno. Chciał wrócić do auta inną drogą, przeszedł na drugą stronę i ruszył przed siebie, szukając przecznicy, która pozwoliłaby mu pójść w prawo. Minął jeszcze jeden bar, także szeroko otwarty, z czerwono-zielono-białą chorągiewką, zwisającą jak szmata nad wejściem, wąską jak kiszka, pełną ludzi salę automatów, sklep spożywczy i drugi, z naczyniami kuchennymi. Blaszane wanny i wiadra zastawiały połowę chodnika. Na żółtym drewnianym krzeselku siedział pod drzwiami właściciel w czarnym swetrze i, paląc fajkę, patrzył spokojnie na dziecinny wózek, stojący po przeciwległej stronie ulicy. Dobiegała stamtąd skoczna melodia. Gregory przystanął. W wózku, wynurzony z niego do połowy piersi, tkwił człowiek, a raczej bezręki korpus z głową, która, skacząc szybkimi półobrotami w prawo i w lewo, wydmuchiwała z przymocowanej do drucianego statywu harmonijki dziarskiego marsza. Palce Gregory'ego bawiły się nerwowo garstką monet w kieszeni. Nareszcie, siłą wprost, zmusił się do odejścia. Wysokie tony organków towarzyszyły mu jeszcze długo. Wzdrygnął się na myśl, która przez mgnienie zbliżyła doń wewnętrzny obraz grajka. Dopiero wtórnie uświadomił sobie, że i on był jak gdyby karłem; uczeplił się tego spostrzeżenia. „Uliczka karłów?” — pomyślał. Jak nieraz w takich sytuacjach, wydało mu się nagle, że ta seria posiada jakieś wyraźne, choć ukryte znaczenie. Ostatecznie trudna zwalać wszystko na przypadek. Było coraz ciemniej, żadnych świateł ulicznych, tylko jaśniejsze smugi padały od sklepowych okien. Czerniała w nich przerwa — była to uliczka, której szukał.

Przecznica była prawie pusta. Jedna gazowa latarnia świeciła mniej więcej pośrodku, przytwierdzona do muru krętym żelaznym ramieniem, odbijając się w czarnych oknach naprzeciw jak w brudnej wodzie. Szedł nie spiesząc się, mocno pociągał papierosa, aż mokry tytoń raz i drugi zaskwierczał przy wargach. Na rogu był sklep ze sta-

rożytnościami — tak głośił szyld — ale w zakurzonej witrynie leżały tylko stosy zakurzonych tekturowych pudełek i fotografie gwiazd filmowych, rozsypane jak talia kart. Znalazł uliczkę, u której wylotu leżał placyk.

Przy żelaznej studni biegały dzieci, kryjąc się za jej klatkową obudową o kształcie biskupiego kołpaka, i rzucały kawałkami gałęzi w jego buicka.

— No, dość tej zabawy, słyszycie!?! — podniósł głos, wychodząc z cienia. Dzieci pierchły z krzykiem, w którym więcej było radości niż strachu. Wsiadł i zapalił motor. Z chwilą gdy oddzielił się od otoczenia szybami, naszło go takie uczucie, jakby zrywał więzy z czymś, czego mu przyjdzie żałować, ale nie teraz, nie zaraz. Jakby miał porzucić jakąś rzecz nie dokończoną, dopiero zaczęta. Tylko przez sekundę wahał się z wrzuceniem biegu, ale palce same nacisnęły lewarek i wóz miękko spłynął po pochyłości. Przyhamował uważnie i skręcił w najszerszą ulicę. Mignęła mu jej nazwa, której nie zdążył odczytać.

Zegary pod kierownicą różowiały od skrytych żaróweczek, zielone wskazówki stały na siódmej. Czas szybko mu dziś mijał. Przyszło wspomnienie sprawy, zaraz je odrzucił. Chciał ją odsunąć, nie próbował jej nawet tknąć myślą, jak gdyby liczył na to, że zostawiona w spokoju sama uładzi się, oczyści, i kiedy do niej wróci, będzie już dobrze, a przynajmniej lepiej.

Wyjechał z East End, kiedy pośrodku szerokiej arterii dostrzegł skręcający w prawo rytmiczny wyblysk kierunkowskazu, który rozlewał się odbiciem w ciemnej karoserii wgniecionej na błotniku. Poznał to wgniecenie i automatycznie zwolnił, aby pozostać w tyle za tamtym. Nie było to trudne.

Ciemnoszary sedan skręcił jeszcze raz, w pustą ulicę wysadzaną drzewami. Gregory pozwolił oddalić mu się o kilkadziesiąt metrów, aby nie zwrócić na siebie uwagi, i zgasił wszystkie światła. Ta jazda trwała dość długo. Parą razy przed skrzyżowaniami zaniepokoił się, że mu tamten ucieknie, dodawał wtedy gazu, ale wołał się nie zbliżać. Zresztą wciąż było mało aut, a pomarańczowe wyblyski świateł hamulcowych, dosyć częste, bo Sciss prowadził ostrożnie, stanowiły dobry cel. Gniewało trochę Gregory'ego, że wciąż nie może się zorientować, którędy jadą. Naraz dojrzał wysoko silne litery reklamowego napisu i od razu wszystko poustawiało mu się na właściwych miejscach. Była to filia Banku City, opodal znajdowała się kawiarenka, którą znał z dawnych czasów. Ciemny sedan zjechał do chodnika. Gregory powziął szybką decyzję; ryzykując, że zgubi Scissa, który już wysiadał, przejechał do następnego bloku domów, zatrzymał się pod wielkim kasztanem, osłaniającym buicka od łukowych lamp, zatrzasnął drzwiczki i nieznacznie tylko przyspieszonym krokiem wrócił, wypatrując Scissa. Nie było go. Przed kawiarnią zawahał się, próbował zajrzeć do środka przez szybę, lecz nic nie zobaczył, szkło zalepiały jakieś afisze. Postawił kołnierz i wszedł do środka z nieprzyjemnym uczuciem, że popełnia głupstwo.

Kawiarnia składała się z kilku sal, trzech czy czterech, nie wiedział nigdy, ile ich właściwie jest. Były to obszerne pokoje, zastawione marmurowymi stolikami. Oddziaływały od siebie przepierzenia, obite wytartym czerwonym aksamitem, takim samym, jaki pokrywał wysiedziane kanapki.

W wąskim lustrze na przejściu z pierwszej salki do drugiej dojrzał Scissa, który od stolika mówił coś do kelnera. Gregory cofnął się natychmiast. Szukał jak najdalszego kąta, z którego miałby jeszcze Scissa na oku. Nie bardzo to było możliwe. Gdy usiadł na wybranym miejscu, przepierzenia, przypominające trochę otwarte z jednej strony pokoje dla lalek, zasłoniły mu stolik uczonego. Nadchodził już kelner, nie mógł się więc przenieść. Zamówił grog i rozłożył przed sobą niedzielny dodatek „Timesa”. To, że nie widzi Scissa i siedzi jak pies przed lisią norą, drażniło go. Zabrał się do rozwiązywania krzyżówki, zerkając w pustą przestrzeń między przepierzeniami a przeciwległą ścianą. Po jakichś dziesięciu minutach, kiedy popijał mdły, przesłodzony grog, Sciss wstał nagle od swego stolika i przeszedł szybko przez wszystkie sale, rozglądając się, jakby kogoś wypatrywał. Gregory ledwo zdążył się przed nim zasłonić rozpostartym na ramce „Timesem”. Sciss nie zauważył porucznika i wrócił do swego „boksu”, ale teraz siadł tak, że Gregory widział jego długie nogi w jaskrawożółtych trzewikach. Minęło dalszych dziesięć minut, w głębi, przy bilardzie, hałasowało kilku studentów, kłócąc się ospale. Drzwi szczękały i za każdym razem Sciss wychylał się ze swego ukrycia, aż wstał z odświętnym uśmiechem. Dziewczyna, która stanęła w drzwiach, zawahała się i poszła ku niemu; płaska torebka na rzemyku, przewieszona przez ramię, objęła jej się o biodro. Miała liliowy płaszcz z kapturem, spod którego wyglądały bardzo jasne włosy. Twarzy nie zdążył Gregory dostrzec. Stała teraz przed Scissem, który mówił do niej dużo i szybko. Dotknął ręką jej płaszcza, potrząsnęła przecząco głową, prześliznęła się między ścianką a stolikiem, i oboje znikli. Korzystając z chwilowego zamieszania, które wszczęła grupa studentów w tylnym pokoju, Gregory od niechcienia okrążył całą kawiarnię i wrócił drugim przejściem, manewrując tak, aby wiszące tu lustro pozwoliło mu zajrzeć do sanktuarium Scissa i dziewczyny. Udawał przy tym, że szuka jakiegoś numeru gazety, chodząc od stolika do stolika, aż znalazł dobry punkt obserwacyjny. Zapadł w głąb czerwonej kanapy, wydętej szkieletowatymi sprężynami. W lustrze źle było widać, lecz słabe oświetlenie i kiepskie odbicie stanowiły pewne zabezpieczenie przed Scissem. Gregory widział go trochę z góry, patrząc w lustro jak w obraz. Sciss przysunął swoje krzesło do kanapki i mówił z ożywieniem, z tak bliska, że nie patrzył na dziewczynę, ale na stolik, jakby do niego się zwracał; wrażenie powiększał perspektywiczny skrót, w jakim Gregory widział tę scenę. Dziewczyna miała twarz dziecinną, z pełnymi ustami, liczyła może siedemnaście lat, nie więcej. Rozpięła płaszcz, ale nie zdjęła go, zsunęła tylko kaptur z włosów, które rozsypały się jej na ramionach. Siedziała prosto, plecami wparta w czerwone obicie, patrzyła przed siebie, nie na Scissa, ale jakby tuż obok

niego, była nienaturalnie nieruchoma i sztywna, robiła wrażenie, że jest jej niewygodnie, że się trochę nawet meczy. Sciss mówił bez przerwy. Pochylał się ku niej, potem niechętnie, jakby odepchnięty, oddalał i znów zbliżał swoje ruchliwe, małe usta ku jej twarzy, nie patrząc na nią. Jednocześnie jego koścista ręka, leżąca na stoliku, poruszała się w takt tego, co mówił, podnosiła się lekko i opadała, palce to kurczyły się, to rozkładały uległe, płasko. Raz i drugi pogłaskał stolik, niby w skrytej pieśczoce, było to głupie, żalotne i Gregory'emu chciało się wtedy odwrócić wzrok, ale patrzył dalej. Dziewczyna uśmiechnęła się raz, samymi wargami, oczy jej pozostały nieruchome, potem siedziała już bez drgnienia, z pochyloną głową, i tylko słuchała. Gregory patrzył w lustro z dołu, a widział ją z góry, cienie na policzkach od włosów i krótki, zadarty nosek. Przez mgnienie dostrzegł błysk jej oczu, ale tylko raz. Sciss zamilkł. Siedział obok niej, jakby został naraz sam, przygarbiony, z tym wytężonym wyrazem twarzy, który przybrał, kiedy mówił, a który teraz rozwiewał się, znikał jak tający ślad. Patrząc w płytę stolika, sięgnął po bibułkową serwetkę, nakreślił na niej szybko kilka słów, złożył paperek we czworo i podsunął go jej. Nie chciała go wziąć. Wyraźnie prosił, molestował. Wreszcie wzięła bibułkę i znów położyła, nie rozwiniętą, trącąc końcami palców ku niemu. Sciss ujął ją za rękę. Zachnęła się, spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Gregory'emu zdawało się, że jej twarz pociemniała. Sciss wysłuchał jej, kiwnął głową, potem pochylił się ku niej i zaczął mówić powoli, z naciskiem, podkreślając słowa gestami ręki, silnie, natarczywie, jakby coś wtlaczał dłonią w płytę marmurową. Gdy skończył, trzymał jej brzeg oburącz, jakby go chciał odepchnąć od siebie. Usta dziewczyny poruszyły się, Gregory odczytał: „Nie”. Sciss odchylił się w krzesło, odwrócił twarz ku sali. Gregory usiłował zobaczyć, co się stało z serwetką. Nie widział jej, naraz dojrzał coś białego pod stolikiem, tuż u stóp dziewczyny. Sciss wstał. Nie czekał na kelnera, położył na stoliku kilka monet i pomału ruszył ku drzwiom. Tam stanął. Szła za nim, naciągając kaptur na głowę, nie próbowała nawet okiełzać coraz bardziej rozsypujących się włosów. Była po dziecinnemu szczupła, z długimi nogami podlotka. Drzwi jeszcze nie zamknęły się za nimi, gdy Gregory podszedł do stolika, przy którym siedzieli, pochylił się po serwetkę, wetknął ją do kieszeni i wyszedł na ulicę. Sedan właśnie ruszał. Dziewczyna siedziała obok Scissa. Nie próbując się skryć, Gregory pognął do swego buicka. Mocując się z klamką od drzwiczek, chwycił pulsujący błysk kierunkowskazu, który zniknął po przeciwnej stronie — Sciss zawracał — wskoczył do auta i dając pełny gaz, ruszył: dłuższą chwilę nie mógł chryslera doścignąć i odczuł zarazem ulgę i dzikie zadowolenie, gdy w uciekających plamach światła wyłonił się przed nim szary tył wozu. Sciss wjechał na górny poziom przelotowej trasy północnej, ale na trzeciej sekcji opuścił go krętym rozjazdem. Jechali blisko siebie, Gregory mógł sobie na to pozwolić w natłoku innych aut; usiłował przez tylną szybę wypatrzyć, co się dzieje w sedanie, ale migały mu tylko kiedy niekiedy dwie ciemne, oddalone od siebie ludzkie sylwetki. Otworzyła się teraz wiel-

ka przestrzeń nowych osiedli, z rzędami oświetlonych domów. Sciss zatrzymał się nagle, nie zjeżdżając w bok. Gregory chcąc nie chcąc wyminął go i jadąc powoli, odwrócił się na siedzeniu, aby śledzić Scissa przez tylne okno. Ten ruszył jednak niespodziewanie, wyprzedził go i wjechał na okrągły placyk. Wracał teraz tą samą drogą, którą przyjechał, mając Gregory'ego za sobą o kilkanaście metrów. Sześciopiętrowe bloki stały jeden za drugim pośród rozległych trawników, na przemian z mniejszymi domami, otoczonymi drucianą siatką i żywopłotami. Sciss wjechał w szeroką wnękę chodników i wysiadł za dziewczyną. Gregory śledził ich, aż zniknęli w półmroku gazonów; mleczone kule nad wejściami domów dawały słabe światło i Gregory daremnie usiłował wypatrzeć w którymś z tych oświetlonych miejsc sylwetki obojga. Jakiś policjant podszedł do wozu Scissa i z dezaprobatą obejrzał go z przodu i z tyłu, bo jedno miejskie światło płonęło bardzo słabo, widać rozluźnił się styk żarówki, w końcu policjant odszedł. Oczekiwanie trwało już ponad pięć minut, ale Gregory był nie wiedzieć czemu pewny, że Sciss nic nie wskóra i zaraz wróci. Wysiadł i przechadzał się z wolna po chodniku, w pewnej chwili usłyszał kroki, Sciss wracał, w rozpiętym prochowcu, z gołą głową, włosy stały mu nad uszami na kształt nietoperzych skrzydeł, targane wzmagającym się wiatrem. Gregory wsiadł do auta nie domykając drzwi, aby ich trzaskiem nie zwrócić uwagi Scissa, i obserwowował go, szukając jednocześnie po kieszeniach pudełka z papierosami: gwałtownie zachciało mu się palić. Sciss stał dosyć długo obok swego samochodu z opuszczonymi rękami, potem przeciągnął końcami palców po masce, jakby sprawdzał, czy nie ma na niej kurzu, ale nie popatrzał na palce, tylko wsiadł i zgasił światła. Gregory zapalił natychmiast motor i czekał. Sciss nie ruszał z miejsca. Gregory wyłączył silnik; przypomniała mu się naraz serwetka, poszukał jej więc w kieszeni, rozprostował po ciemku i nie chcąc zapalać światła wewnątrz wozu, zbliżył papier do zegarów. W różowawym odblasku dostrzegł kilka słów, które odczytał z trudem. Był to adres Scissa wraz z numerem telefonu i jego nazwiskiem. Gregory'emu przyszło do głowy, że, być może, dziewczyna przebiera się, Sciss czeka na nią, lecz odrzucił natychmiast tę myśl. Był pewny, że Sciss na nic nie czeka i niczego się nie spodziewa. Fosforyzujący zielonkawo zegar na tablicy rozdzielczej pokazywał dziewiątą, stali już prawie pół godziny. Gregory wypalił dwa papierosy, niedopałki wyrzucił przez okno, jakiś czas bawił się nastawianiem radia, wreszcie, gdy miał tego zupełnie dość, wysiadł, trzasnął ostentacyjnie drzwiczkami i podszedł do wozu Scissa. Kilka kroków przed nim zawahał się, ale szedł dalej.

Sciss siedział z twarzą na rękach skrzyżowanych na kierownicy. Padające z boku, obcięte dachem światło lampy ulicznej błyszczało w srebrnych włosach, tworzących „nietoperze skrzydełko” na jego skroni. Gregory stał, lekko schylony, nie wiedząc, co począć. Naraz cofnął się, jak najciszej wrócił do buicka, zerknął za siebie — w wozie Scissa nic się nie ruszało — wsiadł, ruszył gwałtownie, zrobił zakręt w lewo, rozpędził się na sze-

rokiej, chwilowo pustej jezdni i jadąc z nadmierną szybkością, wrócił wielkim kołem na to, samo miejsce. Ciemna masa chryslera rosła mu w oczach; gdy zderzenie zdawało się nieuniknione, zdarł gwałtownie hamulcami, aż zawyło, i zastopował po krótkim, szarpiącym poślizgu, uderzając jednak porządnie w tylne zderzaki Scissa, aż blacha zazgrzytała. Natychmiast wyskoczył i pobiegł do chryslera.

— Najmocniej przepraszam pana! — zawołał. — Moje hamulce nie trzymają, mam nadzieję, że nic panu nie uszkodziłem. A, to pan! — dokończył ciszej, zatrzymując się.

Sciss, którego uderzenie rzuciło do przodu, otworzył drzwi, wystawił jedną nogę, jakby miał zamiar wysiąść, ale nie zrobił tego, i patrzył na Gregory'ego, który miał trochę głupią minę.

— A, to pan? Jak się pan... Gregory, co? Policja rozbija spokojnych obywateli... — powiedział.

Poszli zobaczyć tył wozu; był cały, cios, zgodnie z nadzieją Gregory'ego przyjęły na siebie zderzaki.

— Jak pan to właściwie zrobił? — spytał prostując się Sciss.

— Mam pożyczony wóz i przeceniłem hamulce. A prawdę mówiąc, jazda z tak zwanym fasonem jest moją słabością, może dlatego, że jestem niewyżyty. Nie mam auta.

Gregory'emu wydało się, że za dużo mówi, i raptownie umilkł.

— Pan nie ma auta? — powtórzył Sciss. Mówił mechanicznie, myśląc o czymś innym. Naciągnął prawa rękawiczką, zapiął ją i powoli zrolował lewą w dłoni. Stali wciąż przed wczepionymi w siebie samochodami.

„Teraz go zaproszę” — pomyślał Gregory.

— Nie, nie mam — powiedział. — Cnota ubóstwa jest w policji pilnie praktykowana. W każdym razie jestem winny, a może to tylko los chce, abyśmy spędzili wieczór, skoro zjedliśmy razem obiad. Właśnie pora na kolację.

— Chyba w automacie, ze względu na ubóstwo — mruknął Sciss. Rozglądał się po ulicy, jakby kogoś wypatrywał.

— Taki bardzo biedny to nie jestem. Proponuję zjazd gwiazdzisty do „Savoyu”. Co pan na to? Na gorze są tam ciche kąty. I dobre wino.

— Nie, dziękuję. Nie piję. Nie mogę. Nie wiem sam. Ostatecznie — Sciss podszedł do chryslera, wsiadł i całkiem cicho powiedział: — Jest mi wszystko jedno.

— A więc jedziemy, świetnie, pan pojedzie pierwszy, dobrze? — szybko rzucił Gregory, udając, że zrozumiał słowa uczonego jako przyjęcie zaproszenia. Sciss popatrzał na niego badawczo, wychylił się z auta, jakby chciał dobrze przypatrzeć się jego twarzy, nieoczekiwanie zatrzasnął drzwiczki i nacisnął starter. Silnik nie zapalił, bo Sciss zapomniał włączyć kluczyk. Gregory zauważył to, nic jednak nie powiedział. Sciss dobrać chwilę obracał martwym motorem, nareszcie się spostrzegł. Gregory, siadając za kierownicą, nie był wcale pewny, czy Sciss pojedzie do „Savoyu”, i kiedy ruszał za jego

autem, zapragnął raptem, żeby Sciss nie chciał. Ale już na pierwszym skrzyżowaniu zorientował się, że Sciss pójdzie z nim na tę kolację.

Do „Savoyu” mieli nie więcej niż dziesięć minut jazdy. Zostawili oba wozy na placyku postojowym. Było już wpół do dziesiątej, na parterze grała orkiestra, w środku, na wirującym podwyższeniu, oświetlonym od dołu kolorowymi żarówkami, tańczono. Musieli przejść pod kolumnami, by dostać się na górę, gdzie z balkonów widziało się całą salę, a zawieszane na długich łańcuchach świeczniki oślepiały wzrok. Gregory nie usłuchał kelnera, który chciał ich zaprowadzić w głąb, ku stolikom, zajętym przez rozochoczone towarzystwo, i siedł przed Scissem prawie do końca balkonu. Był tam mały stolik między kapitelami dwu kolumn, oddalony od innych. Zbliżyło się zaraz dwu kelnerów we frakach, jeden z kartą potraw, drugi z książką win, była to dość gruba książka.

— Zna się pan na tym? — spytał Sciss, zamykając oprawną w skórę księgę. Gregory uśmiechnął się do niego.

— Jako tako. Na początek, myślę, dobrze nam zrobi wermut. Pije pan z cytryną?

— Wermut? To gorzkie. A, niech będzie. Może być z cytryną.

Gregory spojrział tylko na kelnera, nie musiał już nic mówić. Drugi kelner czekał cierpliwie w pewnym oddaleniu. Gregory zadysponował po dłuższym namyśle, spytał przedtem Scissa, czy lubi surówki i czy nie szkodzi mu smażenina.

Sciss, przechylony w stronę balustrady, patrzył od niechcienia w dół, na wirowisko podrygujących głów. Orkiestra grała slow-foxa.

Gregory też patrzył przez chwilę w dół, potem podniósł pod światło kieliszek wermutu.

— Zdaje się, że to musi być powiedziane — odezwał się z pewną trudnością. — Ja... chciałem pana przeprosić.

— Co? — Sciss patrzył na niego z roztargnieniem. — A — zorientował się — nie, nie. Nie ma o czym mówić. To nie ma sensu.

— Dopiero teraz dowiedziałem się, dlaczego pan odszedł ze swego stanowiska przy Sztapie.

— A teraz już pan wie? — obojętnie spytał Sciss. Wypił swój wermut jak herbatę — trzema łykami. Płatek cytryny dostał mu się do ust, wyjął go, potrzymał w palcach i włożył do pustego kieliszka.

— Tak.

— To stara historia. Powinien pan być wiedzieć, skoro wziął mnie pan już pod lupę...

— Pan należy do ludzi, o których krążą tylko biegunowo sprzeczne sądy — powiedział Gregory, jakby nie dosłyszał jego ostatnich słów. — Wszystko albo gorące, albo zimne. Nic letniego. Tak i w tej sprawie. Wszystko zależało od informatora. Czy mógłby mi pan powiedzieć sam, dlaczego odebrano panu kierownictwo Zespołu Operacyjnego?

— I nazwano czerwonym — dodał Sciss. Wbrew oczekiwaniu Gregory'ego nie ożywił się. Zgarbiony, opierał się wyciągniętą ręką o balustradę. — Po co to? — spytał wreszcie. — To nie ma sensu, takie ekshumacje.

— Czy to prawda, że prorokował pan, w sposób nieodparty, zagładę? — pytał zniżając głos Gregory. — To dla mnie bardzo ważne, proszę pana. Pan wie, jak ludzie zniekształcają i przekręcają wszystko, każda sprawę, każdą rzecz. Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak to było?

— Po co to panu?

— Chciałbym się dowiedzieć, jeszcze dokładniej się dowiedzieć, kim pan jest.

— To taka stara historia — ze zniechęceniem raz jeszcze powiedział Sciss, który przez cały prawie czas zerkał z góry na tańczących. W dole panowała teraz czerwień, oblewająca nagie ramiona kobiet. — Nie, nie chodziło o zagładę. Naprawdę chce pan, żebym to opowiedział?

— Naprawdę.

— Taki pan ciekaw? To było mniej więcej w czterdziestym szóstym. Zaczął się wyścig atomowy. Wiedziałem, że kiedy zostanie osiągnięta granica — mam na myśli maksimum siły niszczącej — rozpocznie się rozwój środków przenoszących bombę... To znaczy rakiet. Musi wreszcie i tu dojść do stanu granicznego, to znaczy: obie strony mają rakiety z wodorowymi głowicami, istnieje też pewien dobrze umieszczony pulpit, ze sławetnym guzikiem. Kiedy się go na ciśnie, rakiety ruszają. Po jakichś dwudziestu minutach następuje koniec świata, obustronny — *finis mundi ambilateralis*...

Sciss uśmiechnął się. Kelner przyniósł wino, odkorkował flaszkę, nalał kilka kropel do kieliszka Gregory'ego, który skosztował, przeplukał usta i skinął głową.

Kelner nalał im do pełna i odszedł.

— Takie było pańskie zdanie w czterdziestym szóstym roku? — spytał Gregory przypijając do Scissa. Ten końcem języka spróbował rubinowego płynu, pociągnął ostrożnie, potem prawie duszkiem wychylił wino, odetchnął i z pewnym zdziwieniem czy zmieszaniem postawił kieliszek na stole.

— Nie, to były tylko przesłanki. Wyścig, raz zapoczątkowany, nie może ustać, rozumie pan? Musi trwać. Gdy jedna strona wymyśla grube działo, druga odpowiada jeszcze grubszym pancierzem. Granicą tego ciągu jest tylko starcie, wojna. Ponieważ w tej sytuacji oznacza ona *finis mundi*; wyścig musi iść dalej. Raz nadane przyspieszenie wysiłków bierze ludzi w niewolę. Musi zatem nastąpić dalsze doskonalenie narzędzi walki. Jednakże narzędzia te osiągnęły granicę. Co pozostaje? Mózgi. Mózgi dowodzących. Ludzkich mózgów perfekcjonować niepodobna, trzeba zatem przejść i tu na mechanizację. Następne stadium to automatyczny sztab główny, czyli elektronowe maszyny strategiczne. I tu powstaje bardzo ciekawy problem, a właściwie dwa problemy. McCatt zwrócił mi na to uwagę. Po pierwsze: czy istnieje granica rozwoju takich mózgów? One

są podobne do urządzeń zdolnych grać w szachy. Urządzenie, które może przewidywać ruchy przeciwnika na dziesięć posunięć naprzód, wygra zawsze z takim, które przewiduje te ruchy tylko na osiem czy dziewięć naprzód. Im bardziej dalekosiężne przewidywanie, tym większy musi być mózg. To jedno.

Sciss mówił coraz szybciej. Gregory'emu zdawało się, że zapomniał już o wszystkim, nawet o tym, do kogo mówi. Nalał wina. Sciss bawił się kieliszkiem przesuwając go po obrusie. W pewnej chwili kieliszek przechylił się niebezpiecznie. Sciss natychmiast podniósł go i wypił znów duszkiem. Na dole płonęły żółte reflektory, mandoliny zawodziły hawajską piosenkę.

— Budowanie coraz większych urządzeń do rozważań strategicznych oznacza, czy się tego chce, czy nie — konieczność zwiększenia ilości faktów, jaką ładuje się w taki mózg. To z kolei oznacza rosnące panowanie tych urządzeń nad zbiorowymi procesami w społeczeństwie. Mózg może uznać, że ten sławetny guzik należy umieścić inaczej. Albo że trzeba zmienić krój mundurów piechoty. Czy też, że trzeba zwiększyć produkcję pewnego gatunku stali, i zażąda na to kredytów. Jeżeli się taki mózg zbudowało, to trzeba go słuchać. Jeżeli jakiś parlament zacznie debatować nad tym, czy przyznać te kredyty, nastąpi zwłoka. Tymczasem druga strona może iść już dalej. Likwidacja decyzji typu parlamentarnego stanie się po pewnym czasie nieunikniona. Kontrola ludzi nad decyzjami mózgu zmniejsza się, w miarę jak koncentruje on w sobie coraz więcej wiedzy. Czy mówię jasno? Po dwu stronach oceanu powstają dwa rosnące mózgi. Jakie jest najpierwsze żądanie takiego mózgu, gdy przychodzi zrobić we wciąż trwającym wyścigu następny krok?

— Zwiększenie jego kompetencji — półgłosem powiedział Gregory. Spod przymrużonych powiek obserwował Scissa, którego policzki pokryły się czerwonymi plamami. Na dole nastąpiła nagła cisza, potem wybuchnęły oklaski. Kobięcy głos śpiewał. Młody chłopiec w smokingu ustawił obok ich stolika drugi, mniejszy, kelnerzy przynieśli tace pełną srebrnych kołpaków. Pojawiły się ogrzane starannie talerze, serwety, nakrycia.

— Nie — odpowiedział Sciss. — Pierwsze jest żądanie zwiększenia jego samego — to znaczy rozbudowy mózgu! Tamto jest pochodne.

— Jednym słowem, przewiduje pan, że ziemia stanie się szachownicą, a my — pionkami, którymi będą rozgrywać wiekuiistą partię dwaj mechaniczni gracze?

Duma jaśniała na twarzy Scissa.

— Tak. Tylko ja nie przewiduję. Wyciągam jedynie wnioski. Pierwszy etap procesu przygotowawczego ma się już ku końcowi i przyspieszenie rośnie. To brzmi wszystko nieprawdopodobnie, wiem. Ale to jest proszę pana. To jest!

— Tak... — mruknął Gregory. Pochylił się nad talerzem. — A... w związku z tym — co pan wtedy proponował?

— Porozumienie za wszelką cenę. Jakkolwiek to osobliwie brzmi, zagłada wydaje mi się, mimo wszystko, mniejszym złem niż ta partia szachów. Wyciągnąłem tylko wnioski. Nie mam złudzeń. To fatalne — nie mieć złudzeń, wie pan? — powiedział i nalał sobie wina. Niechętnie, niemal z przymusem, ale pił, i to coraz więcej. Gregory nie musiał się już troszczyć o kieliszki. Orkiestra na dole znowu zagrała. Obok ich stolika przechodziła para, smagły mężczyzna z cienkim wąsikiem, sine smugi zarostu podkreślały błądź jego twarzy. Dziewczyna, bardzo młoda, miała na nagich ramionach biały szal ze złotą nitką, koloru jej włosów. Sciss patrzył za odchodzącą, odprowadzał ją wzrokiem, wargi wykrzywił — mu grymas. Odsunął talerz, przymknął oczy i ukrył ręce pod obrusem. Gregory'emu wydawało się, że liczy sobie tętno.

— I cóż zrobimy z tak świetnie rozpoczętym wieczorem? — odezwał się po chwili, unosząc powieki, Przyglądził siwe, nastroszone nad uszami włosy, poprawił się w krześle. Gregory skrzyżował sztucce na talerzu. Natychmiast pojawił się kelner.

— Napije się pan kawy? — spytał Gregory.

— Owszem. Dobrze — zgodził się Sciss. Wciąż krył ręce pod obrusem.

— Zdaje się, że się upiłem... — powiedział ze wstydlwym uśmiechem, rozglądając się dokoła niepewnie, ze zdziwieniem.

— Od czasu do czasu jest to konieczne — powiedział Gregory. Nalał tylko sobie.

Kawa była gorąca i mocna. Pili ją w milczeniu. Było duszno, coraz duszniej. Gregory poszukał oczami kelnera, a nie widząc go, wstał. Znalazł go przy barze, za kolumną, i poprosił o otwarcie okna. Gdy wrócił, delikatny, chłodny powiew poruszał już parą unoszącą się nad filiżankami. Sciss siedział oparty silnie o balustradę, oczy miał zapadnięte i zaczerwienione. Oddychał głęboko, drobne, twarde żyłki wystąpiły mu na skroniach.

— Czy pan się źle czuje? — spytał Gregory.

— Nie znoszę alkoholu — Sciss mówił z zamkniętymi oczami. — To znaczy mój organizm nie znosi go. Staję się w środku mętny, po prostu mętny, nic więcej.

— Bardzo mi przykro — powiedział Gregory.

— Och, to nic — Sciss wciąż nie otwierał oczu. — Nie mówmy o tym.

— Czy pan był przeciwnikiem wojny prewencyjnej? Myślę, wtedy, w czterdziestym szóstym.

— Tak. Zresztą nikt nie wierzył w jej skuteczność, nawet ci, którzy ją propagowali. Nie było psychologicznej gotowości, wie pan. Ogólna euforia pokojowa. Pomału można doprowadzić nawet konklawe d« kanibalizmu. Byle postępować stopniowo, krok za krokiem. Właśnie jak teraz.

— Co pan robił potem?

— Różne rzeczy. Zaczynałem wiele, ale właściwie niczego nie mogłem skończyć. Byłem zwykłe tym kamieniem, na który trafiają kosy, wie pan, a z tego ma się niewiele.

Tej ostatniej sprawy też pewno nie skończę. Zawsze dochodziłem do martwego punktu. Ba, gdybym wierzył w fatalność... ale to tylko kwestia charakteru. Nie znoszę kompromisów.

— Pan nie ma żony, prawda?

— Nie.

Sciss patrzył podejrzliwie na Gregory'ego.

— Czemu pan pyta? Gregory wzruszył ramionami.

— Po prostu... chciałem wiedzieć. Przepraszam, jeśli...

— Przeszarżała instytucja... — mruknął Sciss. — Dzieci też nie mam, jeśli chce pan dokładnie wiedzieć. No, gdyby się je robiło głową... Nie lubię tej loterii genów, wie pan. Zdaje się, zdaje — się, że ja jestem gościem? A więc: chyba już pójdziemy.

Gregory zapłacił. Gdy schodzili, orkiestra pożegnała ich przeraźliwym jazzem, musieli przemykać się brzegiem tanecznego ringu, potrącani przez pary. Za obrotowymi drzwiami Sciss z ulgą wciągnął w płuca chłodne powietrze.

— Dziękuję panu... za wszystko — powiedział ociężale. Gregory szedł za nim ku samochodom. Sciss długo szukał kluczyka w kieszeni, otworzył drzwiczki, rozpiął płaszcz, potem zdjął go i rzucił, zmięty, na tylne siedzenie. Usiadł przy kierownicy. Gregsry wciąż stał.

Sciss nie zamykał drzwiczek i nie ruszał się.

— Nie mogę prowadzić... — powiedział.

— Odwiozę pana — zaofiarował się Gregory. — Może się pan przesunie?

Pochylił się, żeby wsiąść.

— Ale pan ma tu swój wóz.

— Głupstwo. Wróć po niego.

Gregory wsiadł, zatrzasnął drzwiczki i ruszył ostro z miejsca.

Rozdział VII

Puste auto zostało na podwórzu. Gregory wrócił do sieni. Sciss opierał się o poręcz schodów, z przymkniętymi oczami, na ustach błąkał mu się niewyraźny, trochę obolały uśmiech. Gregory nie żegnał się — czekał. Tamten odetchnął, wydawało się, że westchnął. Nagle otworzył oczy, patrzyli na siebie.

— Nie wiem — odezwał się wreszcie Sciss — czy pan ma... czas?

Gregory skinął głową i milcząc ruszył obok Scissa na górę. Nie mówili nic. Przed drzwiami, z ręką na klamce Sciss naraz znieruchomiał, coś chciał powiedzieć, przytrzymał nawet drzwi, które się już odmykały, ale znów je rozwarł.

— Pójdę pierwszy, bo ciemno — zauważył.

W przedpokoju paliło się światło. Drzwi do kuchni stały otworem, nie było w niej nikogo, tylko czajnik świszczał cicho, kipiąc na małym ogniu. Powiesili płaszcze.

Pokój w świetle białej kuli pod sufitem miał wygląd schludny i odświeżony. Na biurku stał zbudowany z książek jednakowego formatu długi murek, ołówki i pióra leżały symetrycznie, pod półkami bibliotecznymi przysunięto do szklanego stolika dwa klubowe fotele, bardzo niskie, zielone, z jaskrawymi poduszkami w geometryczne wzory. Stolik zastawiony był szklankami, kieliszkami, tackami pełnymi owoców i ciastek. Łyżeczki, widelczyki — wszystko było przygotowane dla dwu osób. Sciss zatarł swoje kościste, artretyczne ręce.

— Niech pan siada pod książkami, tam wygodniej — powiedział z nadrabianym animuszem. — Miałem gościa po południu, mogą służyć resztkami.

Gregory chciał odpowiedzieć lekko, wesoło, tak żeby pomóc Scissowi, ale nic nie był w stanie wymyślić, odsunął fotel i przysiadł na jego poręczy, zwrócony twarzą ku książkom.

Miał przed sobą imponujący zestaw różnojęzycznej literatury naukowej — półkę wypełniały dzieła antropologiczne, następna miała plastikowy szyldzik z napisem „Matematyka”. Kątem oka dostrzegł jakieś cieliste plamy na planszach wystających z otwartej szuflady biurka, ale gdy spojrzął w tę stronę, Sciss ruszył, a raczej rzucił się tam niemal na swoich długich nogach, kolanem wepchnął szufladę i zamknął z hałasem drzwiczki biurka.

— Nieporządki, nieporządki — wyjaśnił z wymuszoną swobodą, raz jeszcze zatarł ręce i usadowił się na kaloryferze pod oknem.

— Pana nowe zainteresowanie moją osobą winienem uznać za równie podejrzane jak to pierwsze — powiedział. — Jest zbyt... zbyt wszechstronne.

— Musi pan mieć wiele złych doświadczeń — zauważył Gregory. Wyjmował na chybił trafił grube tomy i przepuszczał pod palcami strumienie kartek, na których drgały i skakały formuły algebraiczne.

— Raczej tak. Napije się pan kawy czy herbaty? — przypomniał sobie Sciss obowiązki gospodarza.

— Napiję się tego, co pan.

— Dobrze.

Sciss poszedł do kuchni. Gregory odstawił „Principia mathematica” i przez chwilę patrzył na zatrzaśnięte drzwiczki biurka. Chętnie zajrzałby do szuflady, ale nie śmiał. Przez otwarte drzwi dobiegały odgłosy kuchennej krzątaniny Scissa. Wrócił z herbatą, nalał z wysoka wąskim strumieniem do szklanek i usiadł naprzeciw Gregory’ego.

— Ostrożnie, gorąca — ostrzegł. — Więc powiada pan, że jestem wyłączony z podejrzeń? — zagadnął po chwili. — A wie pan co? Mógłbym podsunąć jeszcze jeden motyw, którego nie brał pan pod uwagę. Powiedzmy, że chodziło mi o ukrycie jakiegoś nieboszczyka. Mojej ofiary, dajmy na to. W tym celu, dla uniezwyklenia sytuacji i ukrycia trupa, stworzyłem całą ich masę, wprawiłem je w ruch, zrobiłem zamieszanie, w którym moja ofiara zaprzepaści się z kretesem. Co pan na to?

— Zbyt literackie — odparł Gregory. Wertował ciężki, o gładkich, grubych kartkach, tom psychometrii. — Jest opowiadanie Chestertona na podobny temat.

— Nie czytałem tego. Nie lubię Chestertona. Więc nie? A dlaczego miałem to zrobić według pana?

— Nie wiem, dlaczego by pan miał to zrobić. Nie mogę przypisać panu żadnego motywu. Właśnie dlatego zrezygnowałem z podejrzeń.

— A czy grzebał się pan w mojej przeszłości? Układał kalendarz i mapę moich ruchów? Szukał śladów i odcisków? Nie zauważyłem nic, z jednym wyjątkiem.

— Dałem spokój rutynie od razu, bo mozaika nie układała się. Zresztą ja nie jestem systematyczny w prowadzeniu śledztwa. Improvizuję albo, jeśli pan woli, jestem bardzo nieporządny — wyznał Gregory. Wyczuł coś sztywnego między kartkami książki i powoli odwracał strony. — Dorobiłem nawet teorię do mego niedbalstwa: że z kolekcjonowania śladów nie wynika nic, dopóki nie schwyci się określonego kierunku.

— Jest pan intuicjonistą? Czytał pan Bergsona?

— Tak.

Kartki otworzyły się. Leżał między nimi negatyw fotograficzny sporego formatu. Na tle przeświecającej spod niego bieli papieru rysował się ludzki korpus, przechylony

w tył. Gregory podniósł powoli tom do oczu i znad jego brzegu zerknął na Scissa, który siedział niżej. Jednym palcem zaczął przesuwając negatyw po pasku nie zadrukowanego papieru między szpaltami. Równocześnie mówił:

— Sheppard powiedział mi, że pan był u niego wtedy, gdy znikło ciało w Lewes. Tak więc ma pan alibi. Zachowywałem się jak pies szukający zakopanej kości, biegałem od drzewa do drzewa i kopałem, chociaż nie było w czym. Sam siebie oszukiwałem. Nie było w czym kopać, żadnego gruntu, nic...

Przesuwał systematycznie zdjęcie po białym pasku między kolumnami druku, aż scalił obraz na negatywie. Było to zdjęcie nagiej kobiety, wpiętej na stole. Rozpuszczone, ciemne, więc w rzeczywistości jasne włosy, przewieszane przez ramię, którym opierała się o stertę czarnych cegieł, dosięgały prawie sutek, rysujących się mlecznymi plamkami. Długie łydki, zwisające ze stołu, okręcał sznur białych paciorków. W drugiej ręce trzymała niewyraźny, zamglony przedmiot, leżący w poprzek czerni stulonych ud. Wargi, rozchylone w grymasie nie do odcyfrowania, odsłaniały czarne punkty zębów.

— Myślę, że dostatecznie ośmieszyłem się przed panem — ciągnął Gregory.

Rzucił nagłe spojrzenie na Scissa. Ten, blado uśmiechnięty, skinął powoli głową.

— Nie wiem. Przedstawiał pan inny punkt widzenia. Gdybyśmy żyli w czasach Inkwizycji, może osiągnąłby pan swój cel.

— Jak pan to rozumie? — spytał szybko Gregory. Raz jeszcze spojrzął na negatyw, przyciśnięty mocno do kartki, i raptem pojął: to, co wziął za paciorki, było łańcuszkiem. Dziewczyna była skuta w kostkach. Zmarszczył brwi, zatrzasnął tom, wstawił go na miejsce i posunął się lekko z poręczy na siedzenie fotela.

— Jestem mało odporny na ból, wie pan. Torturami wycisnąłby pan ze mnie każde zeznanie. Połamałby mi pan kości, ale ocalił swój spokój duchowy.. Czy raczej: duchowy porządek.

— Nie pojmuję Shepparda co najmniej tak samo, jak samej sprawy — powoli powiedział Gregory. — Posłał mnie na tę misję straceńczą, a równocześnie od początku nie dawał mi żadnych szans. Ale te pana chyba nie interesuje.

— Właściwie nie — Sciss postawił pustą szklankę na stole. — Zrobiłem, co mogłem.

Gregory wstał i przeszedł się po pokoju. Na przeciwległej ścianie wisiała fotografia w ramkach, duże zdjęcie jakiejś rzeźby, w oddolnym skrócie, z ostro porozdzielanymi światłami i cieniami.

— To pan robił?

— Tak.

Sciss nie odwrócił głowy.

— Bardzo dobre.

Gregory ogarnął cały pokój spojrzeniem i w stole z negatywu rozpoznał biurko. „Te cegiełki — to książki” — pomyślał. Sprawdził okna; oprócz zwykłych, miały uniesione teraz i szczelnie zwinięte czarne rolety.

— Nie myślałem, że pan ma artystyczne zainteresowania — odezwał się wracając do stołu. Sciss zamrugał powiekami i podniósł się z pewnym trudem.

— Bawiło mnie to kiedyś. Mam tego całą masę, chce pan zobaczyć?

— O, bardzo chętnie.

— Zaraz — szukał po kieszeniach — gdzie klucze? Pewno w płaszczu.

Wyszedł, zostawiając otwarte drzwi i zapalił światło w przedpokoju. Nie wracał dłuższą chwilę. Gregory miał ochotę jeszcze raz zajrzeć do tomu psychometrii, lecz bał się ryzyka. Wtem dobiegł go odgłos szamotania, coś trzasnęło, jak darty materiał, w drzwiach pojawił się Sciss. Odmienił się zupełnie. Wyprostowany, nienaturalnie wielkimi krokami szedł do Gregory'ego, jakby chciał się na niego rzucić. Oddychał głośno. Dwa kroki przed Gregoryem otworzył rękę, wyleciało z niej coś białego, zmięty strzępek papieru. Gregory poznał serwetkę. Zakrzyżła w powietrzu i spadła na podłogę. Kąty małych ust Scissa ściągały się z niewysłowionym obrzydzeniem. Policzki, cała twarz zaczęła nagle palić Gregory'ego jak oparzona.

— Czego ci trzeba, robaku? — falsetem wyrzucił Sciss. Dławił się słowami. — Zeznania? Masz zeznanie: to ja. Słyszysz? To ja! Wszystko ja! Układałem, ustawiałem i zabierałem trupy. Bawiłem się trupami jak lalkami, tak mi się chciało, wiesz? Tylko nie dotykaj mnie, robaku, bo mogę zwymiotować!!! — Twarz mu zsiniała. Cofnął się, dotarł do biurka, podpierając się padł na krzesło, trzęsącymi się rękami wyłuskiwał z kieszonki szklaną rurkę, żabami wyciągnął korek, złajał, zlizując tłuste krople płynu. Powoli oddech jego zelżał i pogłębił się. Z głową opartą o rząd książek na półce oddychał forsownie, z rozrzuconymi szeroko nogami. Oczy miał zamknięte. Potem powoli zebrał się w sobie i usiadł. Gregory patrzył na niego. Nie ruszał się z miejsca. Twarz wciąż go paliła.

— Odejdź. Proszę odejdź — ochryple odezwał się Sciss nie otwierając oczu. Gregory jakby w ziemię wrósł. Milczał i czekał nie wiadomo na co.

— Nie? To nie — Sciss wstał, gwałtownie rozkaszłał się, chwytając łąpczywie powietrze. Przeciągnął się, dotknął kołnierzyka koszuli, który przedtem rozpiął, obciągnął surdut i wyszedł do przedpokoju. Za chwilę huknęły drzwi wyjściowe.

Gregory był sam w mieszkaniu. Mógł przejrzeć wszystkie szuflady, całe biurko, podszedł nawet do niego, ale wiedział, że nic nie robi. Zapalił papierosa i chodził wielkimi krokami od ściany do ściany. Nie mógł w ogóle myśleć. Zdusił papierosa, rozejrzał się, pokiwał głową i poszedł do przedpokoju. Jego płaszcz leżał na ziemi, kiedy go podniósł, zobaczył, że od targnięcia plecy rozdarły się niemal do połowy, ucho ze strzępkom materiału zostało na wieszaku. Stał z płaszczem w rękach, kiedy zadzwonił tele-

fon. Nasłuchiwał. Telefon wciąż dzwonił. Wrócił do pokoju, czekał na zamknięcie powtarzającego się dzwonka, lecz ten nie ustawał. „Za mało skrupułów i za mało konsekwencji” — pomyślał. — „Jestem szmata”. Nie, jak to było? Robak. Przyłożył słuchawkę do ucha.

— Halo?

— To pan? A więc jednak — poznał głos Shepparda.

— Tak, to ja. Skąd... skąd pan wiedział, że tu jestem? — spytał Gregory. Kolana miał jak z waty, poczuł to dopiero teraz.

— Gdzież jeszcze mógł pan być o dwunastej w nocy, jeśli w domu pana nie ma? — odparł Sheppard. — Czy będzie pan tam jeszcze długo? Sciss jest koło pana?

— Nie. Scissa nie ma. W ogóle nie ma w mieszkaniu.

— A kto jest? Siostra? — głos Shepparda zabrzmiał ostrzej.

— Nie, w ogóle nikogo...

— Jak to, pan jest sam? Jak się pan tam dostał? — podejrzliwa niechęć zabrzmiała w głosie Inspektora.

— Przyszliśmy razem, ale on... wyszedł. Mieliśmy... nastąpiła fatalna scysja — wyrzucił z największym trudem Gregory. — Ja... potem, to znaczy jutro, kiedy będę mógł... zresztą mniejsza z tym. Co się stało? Dlaczego pan dzwoni?

— Tak, stało się. Williams zmarł. Pan wie, o kim mówię.

— Wiem.

— Wrócił do przytomności przed śmiercią i chciał złożyć zeznania. Usiłowałem pana sięgnąć, próbowałem także przez radio.

— Ja... przepraszam, nie wiedziałem...

— Nie ma za co przepraszać. Zeznania nagraliśmy na taśmę. Chciałem, żeby pan posłuchał.

— Dziś!

— A czemu nie? Pan czeka na Scissa?

— Nie, nie... miałem właśnie wyjść...

— To dobrze. Czuje się pan na siłach przyjść do mnie teraz? Wolałbym nie odkładać tego do jutra.

— Mogę przyjść zaraz — powiedział Gregory bezbarwnie. Przypomniał sobie o płaszczu i dodał pośpiesznie:

— Muszę tylko przedtem wpaść do siebie. To potrwa pół godziny.

— Dobrze. Czekam.

Sheppard odłożył słuchawkę. Gregory wrócił do przedpokoju, podniósł płaszcz, przewiesił go przez ramię i zbiegł po schodach. Zajrzał na podwórze; szarego chryslera nie było. Za rogiem złapał taksówkę i pojechał do „Savoyu”; tam przesiadł się do buicka. Wystygły silnik długo nie chciał zapalić. Wsłuchując się w jego mamrotanie, myślał tylko o jednym: co powie Sheppardowi.

Pod domem państwa Fenshaw nie wolno było parkować, ale nie zważał na to; pobiegł do bramy po mokrym asfalcie, odbijającym jak lustro dalekie światła. Dłuższą chwilę daremnie usiłował przekręcić klucz w zamku, aż przekonał się ze zdziwieniem, że brama jest otwarta. To nie zdarzyło się jeszcze nigdy. Wielki hall nie był zupełnie ciemny; wypełniała go poruszająca się wolno poświata, drżący odbłask miarowo przygasał i rósł na sklepionym stropie wysoko nad schodami. Przeszedł na palcach drogę do sali z lustrami i zatrzymał się na progu.

Tam gdzie był przedtem stół, znajdowało się wzniesienie, okryte dywanami. Po obu stronach płonęły świece, których korowody powtarzały się ciemniejszymi ulicami płomyków w narożnych zwierciadłach. Powietrze wypełniała woń stopionej stearyny, żółtawe i sinawe płomyki wachlowały niespokojnie, któraś świeca skwierczała. Obraz ten był tak nieoczekiwany, że Gregory zamarł na długo, wpatrzony w puste, podługowate miejsce między szpalerami świec. Powoli podniósł wzrok, zdawało się, że liczy tęczowe iskry, rozpalające się i niknące w zawieszonym nisko kryształowym pająku. Rozejrzał się — było pusto. Musiał przejść przez salę, ruszył pod ścianą, przemykając się na palcach jak złodziej, potracił stopą bielejący niewyraźnie, zwinięty jak sprężyna, cienki, skręcony wiórek. Dopiero przy otwartych drzwiach usłyszał zbliżające się stapanie. Przyspieszył kroku w nadziei, że zdąży dojść do swego pokoju przed spotkaniem. Zobaczył w mroku przed sobą drżenie złotych iskierek. Z korytarza wynurzyła się pani Fenshaw. Szła powoli, na czarnej sukni miała fioletowy szal, wyszywany złotymi cekinami, które mieniły się przy każdym ruchu. Gregory nie wiedział, co robić, chciał ją wyminąć, ale nie ustąpiła mu ani na krok. Szła jak ślepa, musiał się cofnąć i jeszcze cofnąć, szedł tyłem, a ona kroczyła naprzeciw, jakby go nie dostrzegając. Gregory potknął się o brzeg dywanu i stanął. Byli już pośród luster.

— Moje życie! — załkała pani Fenshaw. — Moje życie! Już! Już! Zabrali go! — Przystąpiła tak blisko, że czuł na twarzy jej oddech. — Wiedział, że nie przetrzyma tego, wiedział, wiedział i mówił mi to, jeszcze dziś! A wszystko było jak co dzień, dlaczego nie mogło być tak dalej? Dlaczego?! — powtarzała paląc go oddechem, aż wreszcie te wyrazy, wypowiedane z przejmującym bólem, przestały dla niego cokolwiek znaczyć.

— O... nie wiem... czy naprawdę... strasznie mi przykro — mamrotał bezradnie Gregory z uczuciem zapadania się w jakiś nonsens, w jakieś niezrozumiałe nieszczęście, w teatr nieprawdziwych zdarzeń i prawdziwej rozpacz. Spod szala, którym pani Fenshaw była otulona, wychyliła się jej ciemna, ścięgnista ręka i porwała go mocno za przegub...

— Co się stało? Czy pan... pan... — nie dokończył, bo łkając bez głosu, samymi spazmatycznymi ruchami głowy przytwardziła. — Och... tak nagle — wybełkotał. To słowo otrzeźwiło ją. Patrzała na niego z wytężeniem, natarczywie, prawie z nienawiścią.

— Nie! Nie nagle! Nie nagle! Nie! Od lat, panie, od lat, i wciąż odsuwał to, odraczaliśmy to razem, miał wszystko najlepsze, co może mieć człowiek. Masowałam go co noc, a kiedy było źle, do świtu trzymałam go za rękę, siedziałam przy nim, sam mógł być tylko w dzień, w dzień nie byłam mu potrzebna, ale teraz jest przecież noc, jest noc!!! — znowu krzyczała strasznie, głos przedłużał się w nienaturalnie dzwoniącym echu. Noc... doszło załamane, zniekształcone, gdzieś z głębi domu, z mroku amfilady szeroko otwartej na klatkę schodową, znad głowy kobiety, która kurczowo wpiła się w jego przegub, a drugą ręką waliła w jego pierś. Zdumiony, zdławiony taką otwartością, taką szczerością i siłą rozpacz, zaczynając trochę rozumieć wszystko, Gregory patrzył w ruchliwe płomyki, oświetlające puste, zasłane dywanami miejsce pośrodku sali.

— O, panie, panie. O, panie! — wołała pani Fenshaw i nagłe jej okrzyki, którymi — nie wiedział, czy zwraca się do niego, czy do Boga, utonęły w łkaniu. Jedna z łez padła lśniącem światłem na klapę jego surduta; poczuł ulgę, że udało się jej rozpłakać. Równocześnie pani Fenshaw ścichła i głosem zdumiewająco spokojnym, choć drżącym od włamującego się weń płaczu, powiedziała:

— Dziękuję. Przepraszam. Niech pan... niech pan idzie. Nikt nie będzie panu przeszkadzał. O, nikt! Nikomu, nikomu...

Jej głos przy ostatnich słowach stał się znów niebezpiecznie bliski szaleńczego krzyku. Gregory struchlał, ale pani Fenshaw, zebrawszy mocniej fałdy liliowego szala, poszła ku przeciwnym drzwiom. Gregory doszedł do korytarza i puścił się prawie biegiem, aż pod rękami wyczuł drzwi swego pokoju.

Zamknął je za sobą starannie i mocno, zapalił małą lampę i przysiadł na biurku, wpatrując się do osłepienia w światło.

Więc był chory i umarł? Jakaś długotrwała, osobliwa, przewlekła choroba? Ona go pielęgnowała? Tylko w nocy? A w dzień? Życzył sobie być sam. Co mu było? Może jakieś duszności? Mówiła o masażach. Coś z nerwami? I bezsenność, może coś z sercem, wydawał się przecież zdrowy, to znaczy nie był chory obłożnie. Ile mógł mieć lat? Pod siedemdziesiątkę na pewno. Kiedyż to się stało? Dziś, to znaczy — wczoraj. Nie był w domu prawie przez całą dobę; raczej stało się to rano albo w południe, a zabrali go wieczorem. Inaczej, po cóż by te świece?

Podciągnął nogi, bo zaczynały mu drętwieć. „Więc tak się to wyjaśnia” — myślał — „był chory, pielęgnacja, jakieś długie, skomplikowane zabiegi, których wymagał, a kiedyż ona spała?...”

Zerwał się na równe nogi, tknięty przypomnieniem, że Sheppard wciąż czeka. Wziął z szafy stary płaszcz, narzucił go i wyszedł na palcach. Dom był cichy. W salonie dopalały się świece; w ich zamierającym blasku zbiegł ze schodów. Wszystko to trwało zaledwie pół godziny — stwierdził ze zdumieniem, siadając za kierownicą. Kiedy przejeżdżał koło Westminster, biła pierwsza.

Sheppard otworzył mu sam, jak za pierwszym razem. Weszli na piętro w milczeniu.

— Przepraszam, że musiał pan czekać dłużej — powiedział Gregory, wieszając płaszcz — ale mój gospodarz zmarł i musiałem... e... złożyć kondolencje.

Sheppard skinął chłodno głową i ruchem ręki wskazał mu otwarte drzwi. Pokój nie zmienił się — w świetle kolekcja fotografii na ścianach prezentowała się jakoś inaczej i Gregory'emu przyszło na myśl, że było w nich coś pretensjonalnego. Sheppard usiadł za biurkiem, na którym leżało wiele porozrzucanych papierów i teczek. Nie odzywał się dobrą chwilę. Gregory był jeszcze przepełniony atmosferą ciemnego, głuchego domu z nagle zamilkła ścianą obok jego łóżka, z dogasającymi świecami. Potarł mimo woli przegub ręki, chcąc zetrzeć ślad dotyku, który na niej trwał. Usiadł naprzeciw Inspektora i poczuł pierwszy raz tej nocy, jak bardzo jest znużony. Naraz przyszło mu do głowy, że Sheppard czeka na sprawozdanie z wizyty u Scissa. Ta myśl wzbudziła w nim taki opór, jakby miał zdradzić kogoś bliskiego.

— Śledziłem dziś przez cały wieczór Scissa — zaczął powoli, urwał i spojrzał badawczo na Inspektora. — Czy mam mówić?... — spytał.

— Myślę, że to potrzebne.

Sheppard był samym spokojem.

Gregory skinął głową. Ciężko było mu opowiadać wypadki wieczoru, starał się więc przynajmniej nie komentować ich. Sheppard słuchał go, odchylony w krześle, raz tylko, gdy usłyszał o fotografii, drgnęła mu twarz.

Gregory zatrzymał się, ale Inspektor nic nie powiedział. Gdy skończył, podniósł głowę i zobaczył uśmiech, który natychmiast znikł z twarzy Shepparda.

— A więc ma pan, ostatecznie, jego przyznanie się? — powiedział Inspektor. — O ile się orientuję, przestał pan podejrzewać Scissa na dobre — bodaj że wtedy, gdy zostawił pana samego. Czy tak?

Gregory zdziwił się. Siedział ze zmarszczonymi brwiami, nie wiedząc, co odpowiedzieć. To była prawda, choć nie zdawał sobie dotąd z tego sprawy.

— Tak — mruknął. — Pewno tak. Zresztą ja już przedtem nie miałem nadziei, że to coś da. Działalem samą bezwładnością, przykleiłem się do tego nieszczęsnego Scissa, bo nikogo innego nie było, nie miałem nikogo, czy ja zresztą wiem, może usiłowałem go skompromitować. Możliwe, że tak było. Po co, no, żeby uzyskać przewagę we własnym poczuciu — plątał się coraz bardziej — ja wiem, że to nie miało wszystko sensu — zakończył. — Ostatecznie nic nie wiem nawet o Scissie, nawet tego, co on może teraz robić.

— A chciałby pan wiedzieć? — spytał sucho Inspektor. — Być może, znalazłby go pan na grobie jego matki na cmentarzu albo przy Picadilly, w poszukiwaniu jakiejś młodziutkiej prostytutki. To mniej więcej jego skala. Nie chciałbym być pańską policyjną ciotką, ale na podobne przeżycia, z moralnym kacem, musi pan być przygotowany zawsze. Co chce pan robić dalej?

Gregory wzruszył ramionami.

— Parę tygodni temu dopingowałem was wszystkich, strasząc reakcją prasy i publiczności — podjął Sheppard, który bawił się, gnąc w palcach metalową linijkę — tymczasem nie zaszło nic z tego, czego się spodziewałem. Pojawiło się parę artykułów, w których tę sprawę przyszywano do latających spodków i — paradoksalne — to właśnie stało się kresem rozgłosu. Kilka listów do redakcji — na tym koniec. Nie zdawałem sobie sprawy z rozmiarów, jakie osiągnęło w naszych czasach zubożenie na niezwykłość. Możliwy jest spacer po księżycu, możliwe jest wszystko. Zostaliśmy z tą sprawą sami, poruczniku, tak sami, że — moglibyśmy ją najspokojniej odłożyć do akt...

— Czy po to mnie pan wezwał?

Inspektor nie odpowiedział.

— Pan chciał, żebym posłuchał tego, co mówił Williams, prawda? — odezwał się po chwili Gregory. — To może teraz... potem sobie pójdę. Już późno, nie chcę zabierać panu czasu.

Sheppard wstał, otworzył płaską walizkę magnetofonu, włączył radio i zauważył:

— Nagranie zrobiono na jego życzenie. Technicy spieszyli się, aparat nie był w zupełnym porządku i dźwięk nie jest najlepszy. Może siądzie pan bliżej? Uwaga.

W oku magicznym rozłożył skrzydełka zielony motyl i drgnął kilka razy. Z głośnika poniósł się miarowy szum, kilka stuknięć, chrobot i daleki głos, zniekształcony, jakby dochodzący przez blaszaną tubę:

— Mogę już mówić? Panie komisarzu, panie doktorze, mogę już? Miałem dobrą latarkę, żona mi ją dała, temu rok, na nocną służbę. Za jednym razem, jak szedłem, on leżał wciąż tak samo, z rękami tak, a za drugim posłyszałem gruchnięcie, jakby spadł worek kartofli. Zaświeciłem przez to drugie okno, on leżał na podłodze, pomyślałem, że wyleciał z trumny, a on już się ruszał, tak powoli nogi mu się ruszały. Ja pomyślałem, że mnie się to może śni i przetarłem oczy śniegiem, ale on tam dalej suwał się i wciąż się przewracał. Proszę to zabrać stąd, ja będę mówił. Proszę nie przeszkadzać. Panie komisarzu, ja nie wiem, jak to długo trwało, ale dosyć długo. Świeciłem latarką i nie wiedziałem, czy iść do środka, a on się tam składał i przewracał, i tak dołazł do okna, i już gorzej widziałem, bo był pod samym oknem, przy ścianie, a wciąż hałasował. To wtedy okiennica otworzyła się.

Niewyraźny głos pytał o coś, słów nie można było zrozumieć.

— Tego to nie wiem — rozległ się bliższy głos — i nie zauważyłem, aby się szkło sypało. Może i tak, ale nie wiem. Ja stałem z tej strony, nie, nie dam rady pokazać. Ja tak stałem, a on tak jakoś siedział czy co, widziałem tylko głowę, byłbym mógł dotknąć, panie komisarzu, bliżej było jak do tego stołka, poświeciłem dobrze do środka, a tam nic nie było, tylko się wióry w pustej trumnie zaświeciły i nic, i nikogo więc tam nie było. Jak się nachyliłem, to był na dole, nogi mu się rozjeżdżały, a tak się kiwał, panie dokto-

rze, jak pijany, na boki cały chodził i stukał, jak ślepy kijem stuka, a on to tak rękami, A może miał co. Powiedziałem: stój, co robisz, co to jest? — tak powiedziałem. Mniej więcej tak powiedziałem.

Nastąpiła krótka cisza, z nieustającym delikatnym chrobotem, jakby ktoś igłą drapał membranę.

— Tak się piął, aż znów się wywrócił. Ja mu kazałem, powiedziałem, żeby przestał, ale on nie żył, ja najpierw pomyślałem od razu, że on nie umarł i przebudził się, ale on nie był żywy, nie miał oczu, tylko tak, jak to jest, to nic nie mógł widzieć, a też nic nie czuł, jakby czuł, toby nie tłukł tak w te deski, a tłukł się jak potępieniec, więc nie wiedziałem, co krzyczałem do niego, a on tak i tak, zębami się za parapet złapał, co?

Znów niewyraźne, stłumionym głosem zadane pytanie, zrozumiałe tylko ostatnie słowo:... zębami?

— A ja mu całkiem z bliska w twarz poświeciłem, to takie mętne miał, no, te, jak u ryby śniętej, a co było dalej, nie wiem.

Inny, bliższy, niski głos:

— Kiedyście wyjęli rewolwer? Czy chcieliście strzelać?

— Rewolwer? Żebym wyjmował rewolwer, nie powiem, bo nie pamiętam. Że leciałem? Skąd mi się to wzięło? Nie wiem. Co tu jest na oku? Pa... panie doktorze...

Dalszy głos:

— ... nic nie ma, Williams. Zamknijcie oczy, teraz dobrze, teraz będzie wam lepiej.

Kobięcy głos, z głębi:

— Już nic, już nic.

Znów głos Williamsa, z zadyszka:

— Ja tak nie mogę. Czy ja... już wszystko? A żona jest? Nie? Dlaczego nie? Jest? Co ja mam z instrukcji, jak instrukcja o takim nic... nie... pisze...

Słychać było odgłosy krótkiej scysji, ktoś powiedział głośno:

— To dosyć! — i w słowa wpadł mu inny głos:

— Williams, auto widzieliście? Reflektory auta?

— Auta?... auta?... — powtarzał rozwlekle, zająkliwie głos Williamsa. — To mi stoi przed oczami, jak on tak się kiwał na boki i nic nie mógł, i wióry za sobą... ciągnął. Ja bym skombinował, żeby zobaczyć sznur. Nie było sznura.

— Jakiego sznura?

— Rogoża, nie? Sznur? Nie wiem. Gdzie? E... kto takie widział, światem się nie nacieszy, chociaż to niemożliwe jest, panie komisarzu, prawda? Wióry — nie. Słoma... nie... utrzyma...

Długa cisza, przerywana chrobotem i niewyraźnymi odgłosami, jakby z dala od mikrofonu kilka osób prowadziło zaciekłą rozmowę szeptem. Krótkie zachłyśnięcie się, odgłos czkawki i zgrubiały nagle głos:

— Ja wszystko oddam, a dla siebie nic nie chcę. Gdzie ona jest? To ręka, jej ręka? To ty?

Znowu chrobot, stukania, jakby przesuwano coś ciężkiego, odgłos pękającego szkła, krótki syk wypuszczanego gazu, seria ostrych trzasków i ogłuszającym basem wypowiedziane słowa:

— Ty, wyłącz. Koniec.

Sheppard zatrzymał bębny, taśma znieruchomiała. Wrócił na swoje miejsce za biurkiem. Gregory siedział zgarbiony. Patrzył na zbielałe kostki ręki, którą zacisnął na poręczy. Zapomniał o Sheppardzie.

„Gdybym mógł wszystko cofnąć” — pomyślał. — „Ale to wszystko, wszystko, o miśnię wstecz. Mało. O rok? Głupstwo. Nie wywinę się...”

— Panie inspektorze — powiedział naraz — gdyby pan wybrał kogoś innego, nie mnie, może miałby pan już dziś sprawcą w celi. Czy pan rozumie, o czym mówię?

— Być może. Niech pan mówi dalej.

— Dalej? W moim podręczniku fizyki, w ustępie o złudzeniach optycznych, był rysunek, na którym widziało się biały puchar na czarnym tle albo dwa czarne profile ludzkie na tle białym. Można było zobaczyć tylko jedno albo drugie, a ja myślałem jako chłopiec, że prawdziwy musi być tylko jeden z tych dwu obrazów, i tylko na razie nie wiem jeszcze, który. Czy to nie śmieszne, panie inspektorze? Pamięta pan naszą rozmowę w tym pokoju — o porządku. O tym naturalnym porządku rzeczy. Ten porządek można imitować, tak pan wtedy powiedział.

— Nie, to pan mówił.

— Ja? Możliwe. A jeżeli tak nie jest? Jeżeli nie ma nic do imitowania? Jeżeli świat nie jest rozsypaną przed nami łamigłówką, tylko zupą, w której pływają bez ładu i składu kawałki, od czasu do czasu zlepiające się przez przypadek w jakąś całość? Jeżeli wszystko, co istnieje, jest fragmentaryczne, nie donoszone, poronne, zdarzenia mają koniec bez początku albo tylko środek, sam przód albo tył, a my wciąż segregujemy, wyławiamy i rekonstruujemy, aż zaczynamy widzieć całe miłości, całe zdrady i klęski, chociaż naprawdę jesteśmy cząstkowi, byle jacy. Nasze twarze, nasze losy urabia statystyka, jesteśmy wypadkową ruchów brownowskich, ludzie to nie dokończone szkice, przypadkowo zarysowane projekty. Perfekcja, pełnia, doskonałość — to rzadki Wyjątek, zdarzający się tylko dlatego, że wszystkiego jest tak niesłychanie, niewyobrażalnie wiele! Olbrzymiość świata, nieprzeliczalna jego mnogość jest automatycznym regulatorem codziennej zwyczajności, dzięki niej uzupełniają się pozornie luki i wyrwy, myśl dla własnego zbawienia odnajduje i scala odległe fragmenty. Religia, filozofia są klejem, wciąż składamy i zbieramy rozpełzające się w statystykę ochłapy, żeby je złożyć w sens, jak w dzwon naszej chwały, żeby odezwały się jednym, jedynym głosem! Tymczasem jest tylko zupa. Matematyczny ład świata to nasza modlitwa do piramidy chaosu. Na

wszystkie strony wystają kawałki życia poza znaczenia, które ustaliliśmy jako jedyne, a my nie chcemy, nie chcemy tego widzieć! Tymczasem istnieje tylko statystyka. Człowiek rozumny to człowiek statystyczny. Czy dziecko będzie piękne czy brzydkie? Czy muzyka da mu rozkosz? Czy dostanie raka? O tym wszystkim decyduje gra w kości. Statystyka stoi u naszego poczęcia, ona wylosowuje zlepki genów, z których tworzą się nasze ciała, ona wylosowuje naszą śmierć. O spotkaniu kobiety, którą pokocham, o mojej długowieczności, o wszystkim decyduje normalny rozkład statystyczny, więc może także o tym, czy będę nieśmiertelny? Może ona staje się czymś udziałem na ślepo, przez przypadek, od czasu do czasu, tak samo jak uroda lub kalectwo? A skoro nie istnieją jednoznaczne przebiegi, skoro rozpacz, piękno, radość i brzydota są dziełem statystyki, statystyką jest podszyte nasze poznanie, istnieje tylko ślepa gra, wiekuiste układanie się przypadkowych wzorów. Nieskończona liczba Rzeczy szydzi z naszego umiłowania Ładu. Szukajcie — a znajdziecie; zawsze w końcu znajdziecie, jeżeli będziecie tylko dość żarliwie szukali, statystyka bowiem niczego nie wyklucza, czyni wszystko możliwym, jedynie mniej lub więcej prawdopodobnymi. Historia zaś jest ziszczaniem się brownowskich ruchów, statystycznym tańcem cząstek, które nie przestają marzyć o innym doczesnym świecie...

— Może i Bóg istnieje tylko czasami? — rzucił niegłęboko Inspektor. Pochylił się do przodu i z niewidzialną twarzą słuchał tego, co Gregory z takim trudem wyrzucał z siebie, nie śmiejąc nań spojrzeć.

— Może — obojętnie odparł Gregory. — A przerwy w jego istnieniu są bardzo długie, wie pan?

Wstał, podszedł do ściany i wpatrzył się niewidzącymi oczami w jakąś fotografię.

— Może i my... — zaczął i zawahał się — ...i my jesteśmy tylko czasami, to znaczy: raz mniej, niekiedy prawie znikamy, rozpływamy się, a potem nagłym skurczem, nagłym wysiłkiem, scalając na chwilę rozpadające się rojowisko pamięci... na dzień stajemy się...

Urwał. Po chwili powiedział innym głosem:

— Przepraszam. Dogadałem się sam nie wiem do czego. Może... tyle dzisiaj. Już chyba pójdę.

— Nie ma pan czasu?

Gregory zatrzymał się. Patrzył na Shepparda ze zdziwieniem.

— Mam czas. Ale już dosyć chyba...

— Czy zna pan auta Mailera?

— Mailera?

— Te wielkie ciężarówki na balonowych kołach, malowane w złote i czerwone pasy. Musiał je pan widzieć.

— A, ta firma transportowa. „Mailer dociera wszędzie” — przypomniał sobie Gregory treść reklam. — A co...? — nie dokończył.

Sheppard, nie wstając z fotela, podał mu gazetę i wskazał małą notatkę u samego dołu. „W dniu wczorajszym” — czytał Gregory — „ciężarowe auto f-my Mailer Company uległo pod Amber zderzeniu z pociągiem towarowym. Kierowca, który wjechał na rozjazd kolejowy mimo ostrzegawczego sygnału, poniósł śmierć na miejscu. Ofiar w obsłudze pociągu nie było”.

Podniósł oczy na Inspektora, nie rozumiejąc.

— Przypuszczalnie wracał pusty do Timbrigde Wells. Mailer ma tam bazę — powiedział Sheppard. — Około stu samochodów. Rozwożą żywność, głównie mięso i ryby w autach-chłodniach. Jeżdżą zawsze nocą, aby dostarczyć towar na rano. Wyjeżdżają późnym wieczorem, we dwóch, szofer z pomocnikiem.

— Tu jest mowa tylko o szoferze — powiedział powoli Gregory. Wciąż nic nie rozumiał.

— Tak, bo dojechawszy do celu, szofer zostawia pomocnika, aby pomagał przy przenoszeniu towaru do magazynów, i wraca sam.

— Pomocnik miał szczęście — obojętnie powiedział Gregory.

— Na pewno. Praca tych ludzi nie jest łatwa. Jeżdżą w każdą pogodę. Obsługują cztery trasy, przypominające krzyż: na północy Bromley i Lovering, na wschodzie Dover, na zachodzie Horsham i Lewes, a na południu Brighton.

— Co to ma znaczyć! — powiedział Gregory.

— Każdy szofer ma rozkład jazdy. Jeździ co trzecią albo co piątą noc. Jeżeli warunki są ciężkie, dostaje dodatkowe wolne. Tej zimy nie szczęściło im się. Początek stycznia był beśnieżny, pamięta pan? Opady wystąpiły dopiero w trzeciej dekadzie, a w lutym były już spore. Im większe trudności z usuwaniem śniegu miała służba drogowa, tym mniejsza stawała się przeciętna szybkość podróży aut. Z sześćdziesięciu kilometrów na godzinę na początku stycznia zmalała do czterdziestu w lutym, a w marcu przyszyły odwilże i gołoledzie, tak że szybkość spadła jeszcze o dziesięć kilometrów.

— Po co pan to mówi... — nieswoim głosem powiedział Gregory. Oparł się szeroko rozsuniętymi rękami o biurko i patrzył na Inspektora. Ten podniósł na niego oczy i spokojnie zapytał:

— Czy prowadził pan kiedyś auto w gęstej mgle?

— Prowadziłem. Co...

— Więc pan wie, jakie to wyczerpujące zajęcie. Godzinami trzeba wpatrywać się w płynne mleko przed szybą. Niektórzy otwierają drzwiczki i wyglądają bokiem, ale to nie pomaga. Szerokość szosy wyczuwa się tylko intuicyjnie, mgła rozprasza światła reflektorów, w końcu nie wiadomo, czy jedzie się naprzód, w bok czy w górę, mgła płynie, porusza się, oczy zachodzą łzami z wytężonego patrzenia. Po jakimś czasie wpada się w stan, w którym zaczyna się widzieć dziwne rzeczy... jakieś pochody cieni, jakieś znaki dawane z głębi mgły, przestaje się dostrzegać cokolwiek w ciemnej kabinie, traci się po-

czucie własnego ciała, nie wiadomo, czy ręce są jeszcze na kierownicy, człowieka ogarnia odrętwienie, z którego wyrывa go strach i tak jedzie się, ociekając potem, w jednostajnym odgłosie motoru, na zmianę zasypiając i budząc się w spazmatycznym skurczu. To jest jak koszmar. Niech pan sobie uzmysłowi, że od wielu lat, od bardzo dawna kielkują w panu pewne osobliwe obrazy, osobliwe myśli, takie, których nie ważyłby się pan nikomu opowiedzieć, nikomu powierzyć... może to są myśli o świecie, o tym, jaki jest nie do wiary, może o tym, co należałoby robić z innymi ludźmi za życia... albo po śmierci. Na jawie, w dzień, w pracy, zdaje pan sobie sprawę z tego, że to są majaki, fantasmagorie, zakazuje ich pan sobie jak każdy normalny człowiek. Ale te myśli żyją w panu, śnią się, stają się natrętne. Uczy się pan je ukrywać, dba pan o to, aby nikt nie poznał, aby nikt z głupich ludzi nie dowiedział się o nich, mogłoby to panu zaszkodzić. Nie może się pan różnić od innych. Potem dostaje pan dobrze płatne, szczególne zajęcie, które wymaga nocnego czuwania, pełnego wytężonej uwagi. Nocami, po pustkowiach, prowadzi pan olbrzymi ośmiotonowy samochód, ma pan wiele, bardzo wiele czasu na rozmyślanie, zwłaszcza kiedy jedzie pan pustym wozem sam, bez towarzysza, i nie może wrócić do trywialnej rzeczywistości odzywając się do niego, mówiąc o tych drobnych, banalnych rzeczach, które innym ludziom wypełniają życie, podczas kiedy pan... A więc jeździ pan długo, aż mija jesień, przychodzi zima, wjeżdża pan pierwszy raz w mgłę. Usiłuje pan otrząsnąć się z majaków, zatrzymuje pan wóz, wysiada, przeciera twarz i czoło śniegiem, i jedzie dalej. Godziny mijają we mgle. Mleko, płynne mleko, nieskończona, rozlewająca się biel, jakby nigdy nie było zwyczajnych dróg, błotnistych, oświetlonych ulic, małych miasteczek, domów. Jest pan sam, na wieki sam ze swoim ciemnym, niezgrabnym autem, z czarnej kabiny patrzy pan przed siebie i mruga oczami, usiłuje z nich zetrzeć to, co jawi się coraz wyraźniej, coraz natarczywiej. Jedzie pan, i to trwa może godzinę, może dwie, może trzy godziny, aż przychodzi chwila, w której to się staje nieodparte, nie do przewyciężenia, ogarnia to pana, staje się panem, i już dobrze, do końca, wie pan, co należy teraz zrobić, po zatrzymaniu auta wysiada pan...

— Co pan mówi! — krzyknął Gregory. Drżał.

— W bazie pracuje dwustu osiemnastu szoferów. W takim zbiorowisku ludzkim zawsze znajdzie się jeden, który... który jest trochę inny. Który — powiedzmy — nie jest zupełnie zdrow. Co pan o tym sądzi?

Głos Shepparda był wciąż spokojny, mówił miarowo, niemal monotonna, ale było w tym coś bezlitosnego.

— To, co się działo zawsze w drugiej połowie nocy w kostnicach małych, prowincjonalnych miejscowości, różniło się w pojedynczych przypadkach szczegółami, zostawała jednak ta więź, spajająca je w całość, owa prawidłowość, która nie mogła być zaplanowana przez człowieka, przez żadnego człowieka. Nikt, żaden umysł nie byłby do tego zdolny. Takeśmy ustalili, prawda?

Ale mogły ją narzucić okoliczności zewnętrzne. Po pierwsze: rozkład jazdy. Po wtóre, miejsce każdego następnego wypadku leżało coraz dalej od centrum Timbridge Wells, baza Mailera, do której wracają puste auta w drugiej połowie nocy, leży bardzo blisko naszego „centrum”. Dlaczego miejsce każdego następnego wypadku leżało coraz dalej od tego „centrum”? Bo przeciętna szybkość auta malała, bo szoferzy, choć wyruszyli z Timbridge Wells zawsze o tej samej porze, coraz później docierali do punktu końcowego, później rozpoczynali drogę powrotną, a zatem w jednakowym czasie pokonywali coraz mniejszy jej odcinek.

— A skąd ten czas jednakowy? — wyrzucił Gregory.

— Stąd, że działanie mgły, wywołujące urojenia w czasie samotnego powrotu, musiało trwać w przybliżeniu tak samo — około dwu godzin. W ciągu tych dwu godzin auto przejechało za pierwszym razem, przy dobrej drodze, przestrzeń większa niż za następnym, i tak dalej. A zatem druga regularność przejawiała się wskutek rosnącego oporu, jaki śnieg stawiał kołom samochodów ciężarowych. Śnieg zaś zalegał drogę tym uparczywiej, im niższa była temperatura; motory pracowały na mrozie gorzej, a stąd iloczyn z odległości miejsca wypadku od centrum i czasu między dwoma wypadkami należy pomnożyć przez różnicę temperatury, aby otrzymać wielkość stałą. W miarę pogarszania się warunków podróży dyspozytor Mailera wyznacza szoferom jazdy w rosnących odstępach czasu. Choć zatem w ciągu dwu godzin jazdy we mgle szofer przejeżdżał za każdym kolejnym wyjazdem przestrzeń coraz mniejszą, drugi mnożnik — czas, liczony w dniach, między dwoma wyjazdami — proporcjonalnie rósł i dlatego iloczyn pozostawał z grubsza nie zmieniony.

— A więc to znaczy... więc jakiś szofer — paranoik, tak? Jeździł nocą, zatrzymywał auto, kradł zwłoki — i — co z nimi robił?

— Nad ranem, gdy wyjeżdżał ze strefy mgły, wracała mu przytomność, powracał do zwykłego świata, usiłował wtedy, jak mógł, pozbyć się tego śladu szalonej nocy. Przejeżdżał przez tak wielki szmat terenu, pełen wzgórz, płytkich wąwozów, zarośli, rzek, krzaków... Ogarniał go strach, nie mógł uwierzyć w to, co się stało, postanawiał sobie, że będzie się leczył, ale bał się stracić miejsce, więc gdy dyspozytor wyznaczał mu datę następnego wyjazdu, bez słowa siadał za kierownicą. Że zaś musiał na pamięć znać topografię terenu, wszystkie drogi, osiedla, skrzyżowania, budynki, wiedział dobrze, gdzie znajdują się cmentarze...

Wzrok Gregory'ego zsunął się z twarzy Inspektora na rozpostartą gazetę.

— To on? — powiedział.

— Oblęd musiał narastać — odparł powoli Sheppard. — Pamięć o popełnionych uczynkach, obawa przed odkryciem, rosnąca podejrzliwość wobec otoczenia, chorobliwa interpretacja niewinnych uwag i słów kolegów — wszystko to musiało pogarszać jego stan, powiększać napięcie, w jakim żył. Można sądzić, że coraz trudniej powracał

do przytomności, że coraz gorzej, z malejącą uwagą, prowadził auto, łatwo mógł ulec wypadkowi. Na przykład — takiemu...

Gregory odszedł nagle od biurka, usiadł na stojącym pod półką krześle i przeciągnął ręką po twarzy.

— To tak? — powiedział. — Tak... A imitacja cudu... cha cha... I to jest prawda?

— Nie — spokojnie odparł Sheppard — ale może być. Albo, mówiąc ściślej: taka może być prawda.

— Co pan mówi? Inspektorze, dość tej zabawy!

— Nie ja ją wymyśliłem. Niech pan ostygnie, Gregory. Na sześć wypadków — uważa pan? — na sześć wypadków ten szofer — stuknął w gazetę — był trzy razy na pewno na odpowiadającej im trasie. To znaczy: trzy razy przejeżdżał w drugiej połowie nocy obok miejsca, z którego znikły zwłoki.

— A w tamtych...? — powiedział Gregory. Działo się z nim coś dziwnego. Niespodziany przypływ ulgi, nadziei rozprężył mu pierś, zdawało mu się, że lżej oddycha.

— W tamtych? Więc... o jednym wypadku... Lewes... nie wiemy nic. W drugim natomiast szofer ma... alibi.

— Alibi?

— Tak. Nie tylko nie miał wtedy służby, ale przebywał przez trzy dni w Szkocji. To pewne.

— A zatem to nie on! — Gregory wstał, musiał wstać; od wstrząśnienia, wywołanego tym ruchem, gazeta zsunęła się ze skraju biurka i spłynęła na podłogę.

— Nie, to nie on. Zapewne nie on, chyba że zaklasyfikujemy ten wypadek oddzielnie.

Inspektor spokojnie patrzył na Gregory'ego, którego twarz wykrzywił gniewny grymas. — Ale jeśli tego nie zrobimy, jeśli to nie był Mailer — szofer Mailera — są jeszcze inne cyrkulujące nocą pojazdy, są wozy pocztowe, są ambulanse, auta pogotowia, wozy techniczne, podmiejskie pociągi, autobusy... jest mnóstwo zjawisk, dających przez nakładanie się poszukiwaną prawidłowość.

— Pan drwi sobie ze mnie?

— Ależ nie, ja staram się panu pomóc!

— Dziękuję.

Gregory pochylił się i podniósł z podłogi gazetę.

— Ten szofer był więc, to znaczy miał być — poprawił się — paranoikiem, chorym działającym na zasadzie równania: mgła razy mróz razy obłąd... — spojrzał na Shepparda z dziwnym uśmiechem.

— A gdyby on miał w pozostałych razach inną marszrutę — przez przypadek, przez czysty przypadek — zostałby kozłem ofiarnym...

Uśmiechnął się szyderczo chodząc po pokoju.

— Muszę wiedzieć — powiedział. — Naturalnie... zaraz!

Ponownie chwycił gazetę, rozprostował ją.

— Tam brak pierwszej strony, z datą — zauważył Sheppard — ale mogę ją panu podać. Gazeta jest wczorajsza.

— A!

— Nie, nie wymyśliłem tego wszystkiego na poczekaniu. To, o czym mówiłem, zostało sprawdzone wczoraj, w ciągu całego dnia. Miejscowa policja i Farquart, który poleciał do Szkocji, jeśli to pana interesuje.

— Nie, nie, ale... chciałbym wiedzieć, dlaczego pan to zrobił?

— Ostatecznie... ja także pracuję w Scotland Yardzie — powiedział Sheppard.

Gregory zdawał się nie słyszeć tej odpowiedzi, poruszony, chodził po pokoju i patrzył na fotografię.

— Pan nie wie, co mam na myśli...? To byłoby rzeczywiście poręczne, bardzo, bardzo poręczne... nadzwyczaj wygodne! Sprawca jest, a nie żyje. Więc nawet przesłuchać go ani zbadać nie można... i bardzo humanitarne rozwiązanie, pomyłka sprawiedliwości wykluczona, nikt nie będzie cierpiał... Czy pan go podejrzewał? Czy też pan... czy pan chciał tylko dopasować elementy, które stały do dyspozycji, które zmuszały nas do działania, żeby ten bezład z pozorami ładu przekształcić, aby zamknąć tę otwartą sprawę z prostego poczucia porządku? O to chodzi.

— Nie widzę alternatywy — powiedział niechętnie Sheppard. Zdawał się mieć dość rozmowy. Nie patrzył już na Gregory'ego, który przystanął, tknięty nową myślą.

— A, można i tak — powiedział. — Oczywiście. Wiem, wierzę, że pan chciał mi pomóc. Nie można było już nic zrobić, w ogóle nic, a teraz znowu można. Można podważyć alibi. Albo wyłączyć ten jeden wypadek z serii, albo te i inne także, razem z nim, i śledztwo ruszy z martwego punktu! W każdym razie jest szansa — w chorobie! Choroba może wytłumaczyć najdziwniejsze rzeczy, nawet widzenia i stygmaty, nawet... nawet cud! Zna pan pewno prace Guggenheimera, Holpaya i Wintershielda? Na pewno pan je czytał, chociaż nie ma ich w naszym archiwum...

— Tych psychiatrów? Napisali wiele prac. Które pan ma na myśli?

— Te, w których dowodzili na podstawie analizy Ewangelii, że Jezus był szalony. W swoim czasie narobiły wiele szumu. Psychiatryczna analiza tekstów, z której wypłynęła hipoteza paranoi...

— Gdybym mógł panu radzić — zauważył Sheppard — proszę raczej zrezygnować z biblijnych analogii, bo to nie prowadzi donikąd. Można sobie było pozwolić na to u początków sprawy, kiedy szczypta soli, zaogniając problem, była przydatna... ale teraz, w zegarmistrzowskiej części śledztwa...

— Tak pan sądzi? — cicho spytał Gregory.

— Tak. Bo mam nadzieję, jestem przekonany, że nie chce pan zostać wołającym na puszczy...

— Więc co mam robić? — spytał z zaakcentowaną lekko służbistością Gregory i wyprostował się, patrząc na starego człowieka, który wstawał z fotela.

— Musimy ustalić określone wytyczne na przyszłość. Na najbliższą przyszłość. Będę pana oczekiwał jutro rano w Yardzie.

— Jak poprzednim razem, o dziesiątej? — nutka skrytego rozbawienia była w jego głosie.

— Tak. Przyjdzie pan? — dorzucił lekko, od niechcienia. Patrzyli na siebie, stojąc. Wargi Gregory'ego zadrgały, ale nic nie powiedział. Cofnął się ku drzwiom. Stał plecami do Shepparda, kładł rękę na klamce, a wciąż czuł na sobie jego niewzruszenie spokojny wzrok.

Otwierając już drzwi rzucił przez ramię:

— Przyjdę.

kwiecień 57 — styczeń 58

sic

SPIS TREŚCI

Rozdział I	2
Rozdział II	20
Rozdział III	39
Rozdział IV	59
Rozdział V	79
Rozdział VI	90
Rozdział VII	111